W CIENIU WOJNY

Polska nie powinna iść drogą Węgier – Piotr Semka o polityce Viktora Orbána

Bartosz Cichocki – ambasador Polski w Kijowie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/469 28 MARCA–3 KWIETNIA 2022 CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PIOTR GOCIEK TYPUJE ZDOBYWCÓW STATUETEK OSCARA

Kto poluje na Wojciecha Cejrowskiego

Izrael – ziemia obiecana rosyjskich oligarchów

ROMAN ABRAMOWICZ

WIACZESŁAW MOSZE KANTOR

MICHAIŁ FRIDMAN

WIKTOR WEKSELBERG

eprasa.pl f1d71c1b92

NARODOWY BANK POLSKI

WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI

SERIA WYJĄTKOWYCH SREBRNYCH MONET KOLEKCJONERSKICH

NOWE MONETY

DOROBEK TYCH WIELKICH POLAKÓW TWORZY HISTORIĘ RODZIMEJ EKONOMII

21 kwietnia 2022 r. Narodowy Bank Polski wprowadzi do obiegu kolejną monetę z serii WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI – Władysław Grabski, natomiast 5 maja 2022 r. ukażą się dwie kolejne monety z serii WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI - Leon Biegeleisen oraz Jan Stanisław Lewiński.

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Monety kolekcjonerskie NBP są dostępne w Oddziałach Okręgowych NBP oraz na stronie: **KOLEKCJONER.NBP.PL**

eprasa.pl f1d71c1b92

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Za wcześnie na lekceważenie

Każdy kryzys, pokazała to doskonale historia tzw. walki z pandemią, sprawia, że na scenie publicznej pojawia się plejada różnej maści ekspertów medialnych, którzy to, wyposażeni w rzekomo głębszą i bardziej rzetelną wiedzę, tłumaczą maluczkim rzeczywistość. Co się tyczy agresji Rosji na Ukrainę, w roli tej występuje kilku polskich generałów, którzy na szczęście nie stoczyli żadnej prawdziwej bitwy, oraz analityków spraw międzynarodowych, chętnie dzielących się z dziennikarzami swoimi przemyśleniami. Otóż problem z medialnymi ekspertami polega na tym, że wyjątkowo często mówią oni to, co publiczność chce usłyszeć, a nie to, co wynika z badania faktów. Są organizatorami zbiorowych emocji, a nie przenikliwymi obserwatorami.

Gdybym miał zebrać razem różne wypowiedzi na temat obecnej wojny, to obraz, jaki wyłania się z wypowiedzi ekspertów, jest jasny i wyjątkowo optymistyczny. Mianowicie okazałoby się, że Rosja już wojnę przegrała, rosyjskie wojsko znajduje się w stanie całkowitej rozsypki, rosyjska gospodarka się załamała i znajduje u progu totalnego bankructwa, Rosja już nie jest mocarstwem, a jedynie pariasem, z którym nikt o zdrowych zmysłach nie chce mieć nic wspólnego. Właściwie jedyne pytanie, które sobie należy zadać, brzmi: Kiedy i w jaki sposób skończy Putin? Czy zawiśnie na szubienicy? A może jakaś pomocna dłoń wbije mu sztylet? A może ktoś się zlituje i dosypie do jedzenia nieco arszeniku? Jest też jeszcze wersja z czyniącą gwałtowne postępy chorobą Parkinsona, która to, co za zbieg okoliczności, lada chwila wyeliminuje moskiewskiego satrapę.

Nic dziwnego, że gdyby przyjąć taki punkt widzenia, można by wyciągnąć śmiałe wnioski. I tak słyszę, że Rosjanie są za słabi, żeby odpowiedzieć NATO, że nawet gdyby to zrobili, to kilka rakiet może by i spadło na Polskę, ale wielkich szkód by nie poczyniły, że gdyby doszło do konfrontacji, to NATO „w kilka chwil wyeliminowałoby rosyjskie dowództwo", że wreszcie kilka tysięcy rosyjskich głowic nuklearnych jest być może niesprawnych.

Każdy, kto ma elementarną wiedzę historyczną, musi wiedzieć, że główną przyczyną wszystkich katastrof wojennych w dziejach było niedoszacowanie sił przeciwnika. Dlaczego Polacy o tym zapominają? Dlaczego od strachu tak łatwo przechodzą do euforii? Dalibóg, nie wiem. Wiem natomiast, że na początku września 1939 r. polskie gazety zapowiadały zajęcie Berlina w ciągu dwóch tygodni, i wiem, że podobnego błędu – lekceważenia wroga – należy za wszelką cenę uniknąć. Moralne potępienie, a na nie zasługuje Putin jako agresor i odpowiedzialny za zbrodnie dyktator, nie może prowadzić do iluzji.

Jakie są zatem fakty? Wbrew wielu ekspertom nałożone przez Zachód na Rosję sankcje na razie do bankructwa nie doprowadziły. Co więcej, po pierwszym dramatycznym spadku wartości rubel zaczął odzyskiwać siłę. Ropa i gaz tak jak z Rosji płynęły na Zachód, tak płyną. Zamiast firm amerykańskich, francuskich i niemieckich zaczęły pojawiać się firmy chińskie. Wielkie kontrakty z Zachodem zostały przez Moskwę zastąpione przez porozumienia z Pakistanem czy, być może wkrótce, Indiami. Znowu, wbrew opiniom ekspertów, dodam, że nigdy jeszcze najbardziej bolesne i niszczące sankcje gospodarcze – nawet te, które w czasie pierwszej wojny światowej doprowadziły do głodowej śmierci tysięcy Niemców – nie spowodowały klęski militarnego mocarstwa. Wniosek: sankcje same w sobie, bez użycia siły wojskowej, mają ograniczone znaczenie.

Podobnie nie jest jasne, czy udało się zrobić z Rosji międzynarodowego pariasa. Owszem, państwa Zachodu solidarnie potępiły agresora. Ale tylko one. Jak wiadomo, Moskwa cały czas cieszy się mniej lub bardziej wyraźnym poparciem Pekinu. Co gorsza, na jej potępienie nie zdecydowały się jednak również inne regionalne potęgi – Izrael czy Turcja. Tak samo mało wyraziste jest stanowisko Indii czy Ligi Państw Arabskich.

Najtrudniej ocenić sytuację na froncie. Nie wiadomo bowiem, ile tak naprawdę sił użyli Rosjanie, jakie są ich straty, a jakie są straty ukraińskie. Opierając się na – wydaje się, wiarygodnych – doniesieniach Pentagonu, można stwierdzić, że Ukraińcy wykazują się determinacją i bohaterstwem większym, niż oczekiwano, a rosyjska ofensywa utknęła. Ponadto, co też wydaje się rozsądne, opowieści o rosyjskiej potędze, doskonałym wyposażeniu, wysokim morale są mocno przesadzone. Jednak od tego do przekonania, że Moskwa lada moment upadnie, droga jest bardzo, bardzo daleka. Walki toczą się pod Kijowem i wokół Mariupola, a nie na przedpolach Moskwy czy Petersburga. Osłabiona Rosja to wciąż mocarstwo atomowe.

To wszystko powinno skłaniać do otrzeźwienia. Jeden z polskich publicystów napisał niedawno, że „nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz". To skrajna nieodpowiedzialność. Państwo zawsze musi brać pod uwagę cenę i ryzyko – a te mogą być znacznie wyższe, niż by to wynikało z opowieści medialnych prestidigitatorów. Upojenie własnymi wizjami to bardzo niebezpieczny stan. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

TEMAT TYGODNIA

14 WITOLD REPETOWICZ
ZIEMIA OBIECANA OLIGARCHÓW
Dokąd Rosjanie uciekają z miliardami?

18 OLIVIER BAULT
PRZYJACIELE ROSJI

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
W KTÓREJ LIDZE MA GRAĆ POLSKA?
Nie powinniśmy iść drogą Węgier

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZAS ZAGUBIENIA

26 KAMILA BARANOWSKA
AMBASADOR CZASU WOJNY

28 ROZMOWA Z JACKIEM HOGĄ
PRAWO DO BRONI, PRAWO DO ŻYCIA

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
GDZIE SIĘ SCHRONIMY?

32 TOMASZ ROWIŃSKI
NIEUDANE KASOWANIE CEJROWSKIEGO

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy roku 2021

38 PIOTR SEMKA
EGIPSKIE CIEMNOŚCI, EGIPSKIE „ŚWIATŁOŚCI"

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 JACEK PIEKARA
TAJNY PLAN KACZYŃSKIEGO
Pokojowa misja NATO

52 WOJCIECH GOLONKA
O CO JEST TA WOJNA

54 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMAT I WOJNA

HISTORIA

56 TOMASZ CUKIERNIK
POZA CENZURĄ
45. rocznica powstania ROPCiO

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
OBLĘŻONA TWIERDZA „WYZWOLICIELI"
W oparach denazyfikacji

64 TERESA STYLIŃSKA
LEGION UKRAINY

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI
DROGO, WOJNA, CORAZ DROŻEJ
Inflacyjny szok

DODATEK SPECJALNY

69
GOSPODARCZY CZEMPIONI POLSKI
Najprężniejsze, najsłynniejsze, najbardziej stabilne polskie firmy

FELIETONY:

SEMKA (7), GMYZ, GOCIEK (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl f1d71c1b92

KOSZULKA TRENINGOWA TERMOAKTYWNA - HUSARIA NIEUSTRASZENI WOJOWNICY

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEP STACJONARNY
Warszawa,
ul. Jagiellońska 88/24

RED IS BAD™

eprasa.pl f1d71c1b92

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Mikhail Svetlov, Chesnot/Getty Images (2), Reuters/Forum, Alexander Ryumin/TASS/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Niewdzięcznicy

„Polska chce zapomnieć o żołnierzach sowieckich, którzy pokonali faszyzm, wypędzili najeźdźców z polskich miast i nie dopuścili do zbombardowania Krakowa, uwolnili więźniów Auschwitz i Majdanka" – raczył nas obsztorcować Dmitrij Miedwiediew, wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.

Odwrotnie, panie przewodniczący. Polska nie chce zapomnieć i na pewno nigdy nie zapomni. Pamiętamy, że hitlerowcy nigdy nie doszliby w Niemczech do władzy, gdyby nie jednoznaczne wsparcie Stalina. Później mieliby nieporównanie większe problemy, na granicy nieskuteczności, w wojnie z Polską, gdyby nie wsparcie surowcowe, wywiadowcze, polityczne, a wreszcie po dwóch tygodniach również militarne ze strony swych czerwonych przyjaciół. Oczywiście o ile w ogóle by do tej wojny doszło, co bez wcześniejszego paktu obu głównych zbrodniarzy wcale nie byłoby pewne. Gdy po niewyobrażalnym zniszczeniu, spustoszeniu i rozkradzeniu Polski oraz wymordowaniu jej najlepszych obywateli przez dwa zbrodnicze reżimy między lewicowymi bandytami spod znaku hakenkreuza oraz sierpa i młota doszło w 1941 r. do morderczego zwarcia, ci ostatni w pogoni za pierwszymi przetoczyli walec swojej wojennej machiny przez Polskę, bo krótszej drogi z Rosji do Berlina nie ma. Niestety, rozkradzenie resztek ocalonych przez Polaków dóbr, masowe gwałty, fizyczna eksterminacja resztek inteligencji i patriotów oraz zawłaszczenie połowy terytorium Polski nie były wystarczającą ceną dla czerwonych zbrodniarzy. Podbili Polskę, urządzając się w niej na 45 lat i stawiając na głowie wszystko: pojęcia patriotyzmu i zdrady, dobra i zła, w miejsce normalnej, wolnorynkowej gospodarki wprowadzając system biedy, niedoboru, wyzysku i absurdu.

Na to wszystko pan Miedwiediew ma do nas pretensje, że nie wyrażamy Rosji wdzięczności. Równie dobrze Niemcy mogliby mieć do nas pretensje, że nie wyrażamy wdzięczności żołnierzom Wehrmachtu i SS, dzięki którym nie było więcej zbrodni jak w Katyniu, nie było kolejnej „operacji polskiej" NKWD, nie było masowych wywózek na Sybir, przepędzono najeźdźców i czasowo wyzwolono Polskę.

Na szczęście pamięć Polaków – wbrew obawom pana Miedwiediewa – ma się świetnie i dobrze pamiętamy „zasługi" naszych sąsiadów.

Tomasz Gracz

eprasa.pl f1d71c1b92

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czego oczy nie widzą

Nie ma bardziej inspirującego dla publicysty zajęcia niż porządkowanie dziennikarskich szpargałów. W czasie ostatnich porządków trafiła w moje ręce teczka z materiałami dotyczącymi książki niejakiej Hanki Zach pt. „Mój wróg, moja miłość". Ten pamiętnik wydany w 2016 r. to wspomnienia dziewczyny żyjącej w okupowanej Warszawie. Panienka jest nastoletnia, dojrzała ponad wiek i ma ochotę w czasie okupacji nieźle się bawić. A ponieważ dzięki niemieckiej guwernantce nauczyła się dobrze mówić po niemiecku, korzysta z tego i zawiera znajomości z niemieckimi wojskowymi. Nie ma większych problemów z uzasadnianiem swoich erotycznych perypetii z teutońskimi zdobywcami Warszawy, choć oczywiście miewa na temat Niemców rozmaite zjadliwe obserwacje.

Odnalezionej w papierzyskach książce towarzyszyło parę entuzjastycznych recenzji, które ukazały się wówczas w polskiej prasie. Nie tylko postępowcy zachwycili się tym dziełkiem. Na łamach szacownego niegdyś kwartalnika „Znak" w grudniu 2016 r. ukazała się recenzja z książki pod wyzywającym tytułem: „Hanka, co chciała Niemca". Autorka recenzji, Eliza Szybowicz, pisze: „Przez ten czas, kiedy pamiętnik Hanki leżał gdzieś w kącie, przyzwyczailiśmy się do innych wizerunków polskich dziewcząt czasu okupacji. Konspirujących harcerek, kierujących się obowiązkiem wobec ojczyzny. Ze wstrętem odwracających się od okupantów i pożądających dzielnych polskich chłopców. Długi szereg słodkich, niezłomnych istot zamykają ostatnio wynalezione »panny wyklęte«. Ich dziewczęcość jest zawsze ważna, ale ze względów ideologicznych. Sukienka w kwiatki podkreśla genderowy ład [...], przydaje się też, gdy harcerka pada ofiarą tego lub owego okupanta – wówczas jej niedojrzała kobiecość jest najmocniejszym oskarżeniem i powodem narodowego wzruszenia. Wobec nasilenia propagandy związanej z Inką Hanka Zach ze swoją niczemu niesłużącą dziewczęcością i błędami ortograficznymi, choć tak spóźniona, zjawia się w samą porę, by stać się antidotum na sadomasochistyczne wzorce".

Pomyślałem sobie, co by było, gdyby jakiś rusofil pornograf napisał obecnie pikantną powieść o mieszkance Mariupola czy Charkowa, która ochoczo idzie w krzaki z sowieckimi sołdatami spod znaku litery „Z". Ciekawe, czy przyjęłyby ją do druku Krytyka Polityczna lub Znak? Mam wrażenie, że raczej nie. No ale niby czemu? Dlaczego puszczanie się z ruskimi okupantami w marcu 2022 r. miałoby być gorsze od romansowania z niemieckimi oficerami w czasie drugiej wojny światowej? Czy Niemcy nie bombardowali Warszawy we wrześniu 1939 r., tak jak teraz niszczony rakietami jest Mariupol? Czy romans z rosyjskim żołnierzem nie zapewnia jedzenia tak samo cennego w czasie wojny i na Ukrainie, i w Polsce? Gdzie jest różnica?

Pewnie jest taka, że obrazki z płonącej Ukrainy wywołują dziś lęk nawet u najbardziej wyzwolonych zwolenniczek transgresji. A wspomnienia z drugiej wojny światowej w 2016 r., gdy wydawano pamiętnik Hanki Zach, wydawały się przybladłe. No, ale mimo to nikt za peany na cześć puszczalskiej licealistki z okupowanej Warszawy raczej nie ma zamiaru przepraszać. W końcu najważniejsze było dowalić wtedy nielubianemu kultowi Inki Siedzikówny. ©℗

FOT. Z ARCHIWUM FUNDACJI PAFERE

POŻEGNANIE JANA MICHAŁA MAŁKA

16 marca w wieku 93 lat odszedł inżynier Jan Michał Małek. Był osiadłym w Kalifornii przedsiębiorcą, filantropem, antysocjalistą. Uważał, że naturalnym fundamentem ładu gospodarczo-społecznego są poszanowanie i ochrona własności prywatnej. Dlatego w jego światopoglądzie ważna była też religia chrześcijańska, która potępia kradzież jako grzech. Mimo swojego bogactwa w życiu prywatnym był bardzo skromny i oszczędny.

Prowadził niemal ascetyczny tryb życia. Zatroskany losem Polski wolał finansować inicjatywy i organizacje, które promowały wolny rynek, własność prywatną, chrześcijańską myśl ekonomiczną, a potępiały lewicowe ideologie. Dlatego tłumaczył i wydawał książki, wspierał wiele NGO, finansował konferencje. Wraz ze Zbigniewem Zarywskim ufundował Literacką Nagrodę im. Józefa Mackiewicza. Założył też Polsko-Amerykańską Fundację Edukacji i Rozwoju Ekonomicznego oraz Polonia Institute. W 2016 r. za całokształt działalności dla dobra Polonii i Polski został odznaczony przez prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. ©℗

Tomasz Cukiernik

eprasa.pl f1d71c1b92

dwaj panowie g

Zaczynamy od zabawnych historii zza kulis wizyty Wujka Joe w Warszawie. Chłopaki z PeŁo na uszach stawały, żeby Biden spotkał się z Donaldem. Opowiadały, że sprawa pewna, bo ich nowy friend, ambasador Mark Brzezinski, to załatwi. Niestety, Mark nie dał się poznać w biedzie i nie załatwił. Co gorsza, Departament Stanu też zamilkł. Jakże nam przykro.

W związku z tym powstała nowa narracja. Najtęższe głowy w Eine Totalopposition (znanej też jako Połnaja Opozycija lub Grażdanskaja Koalicyja) ją stworzyły: Biden nie spotka się z Tuskiem, to prawda, ale nie spotka się też z Kaczyńskim! Problem w tym, że Kaczyński nigdy o to nie zabiegał.

Jeszcze o Eine Totalopposition. Wyjaśniamy, czemu nagle Zły Donald z Sopotu ogłosił, że jedzie do Brukseli, by „dopinać sprawę pieniędzy dla Polski", i to akurat w poprzednim tygodniu. Przyczyna jest prosta. Tak jak w czasach premierostwa oraz eurokrólowania Donald nie lubi się napracować, ale lubi przyjść na gotowe.

Teraz szczegóły objaśnień. W zakulisowe przeciąganie liny w sprawie uruchomienia kasy z KPO dla Polski włączyli się friendzi z USA, którzy sugerują eurokratom, żeby przestali się wydurniać. Wuj Joe mówił o tym podczas konsultacji z Niemcami, Francją i resztą ferajny kilka dni przed szczytem NATO. Wieści dotarły do Złego Donalda. Via Berlin, rzecz jasna. Więc na wszelki wypadek się uaktywnił, żeby spić śmietankę, gdyby się taka ujawniła.

Inna sprawa, że wiewiórki brukselskie opowiadają rzecz następującą: Komisja Europejska już właściwie się przełamała i jest gotowa uruchomić KPO dla Polski. Ale wciąż boi się reakcji Parlamentu Europejskiego, nastawionego zdecydowanie na nie. A wiecie, europarlament to taka instytucja, która nie jest, co prawda, w stanie zrobić niczego dobrego, za to może zrobić wiele złego. Coś jak Donald.

Tymczasem nababowie Eine Totalopposition brną w opowieść o sojuszniku Putina, którym jest rzekomo Kaczyński SWP. Mimo że „elity polityczne kierowane przez PiS, partię Kaczyńskiego, sterowane przez amerykańskich panów zrobiły wszystko, aby zablokować normalne relacje polsko-rosyjskie". Tak ogłosił w Moskwie Dmitrij Miedwiediew. Sikorski chyba powinien wierzyć Miedwiediewowi, w końcu chciał go przyjmować do NATO.

Teraz kierunek Berlin. Jak pisaliśmy tydzień temu, nowym polskim ambasadorem w Niemczech miał zostać Dariusz Pawłoś, były rzecznik tej placówki. Donosiliśmy też, że kandydatura nie budzi entuzjazmu w Pałacu Prezydenckim. Do tego stopnia nie budziła, że została wycofana. Pawłoś obejmie za to odcinek współpracy młodzieży polskiej i niemieckiej jako dyrektor instytucji znanej jako Jugendwerk. Na horyzoncie pojawiła się natomiast inna kandydatura. W naszym przekonaniu tak dobra, że na razie jej nie będziemy ujawniać, żeby jej nie spalić. Mamy nadzieję, że długo to nie potrwa.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

To teraz w drugą stronę: wszyscy w minionym tygodniu podniecali się faktem zablokowania ruskiej ambasadzie kont bankowych. A nie podniecali się innym faktem. Może dlatego, że go nie znali. Więc piszemy o tym jako pierwsi. Otóż dziwnym trafem polska ambasada w Moskwie dzień wcześniej wyczyściła wszystkie swoje konta w banku rosyjskim, nie zostawiając Moskalom na nich ani kopiejki. Przypadek? Nie sądzimy. Tak czy inaczej ambasadorowi Krajewskiemu gratulujemy.

Kiedy fale historii wzbierają, piana unosi się ku górze. Dlatego nie może w naszej rubryce zabraknąć Radka Sknerusa Sikorskiego. Rozbawił nas ostatnio setnie, strofując pewną niemiecką europosłankę, gdyż „Niemcy nie słuchały naszych ostrzeżeń o Putinie". Cóż, gdyby akurat słuchano Radka, to Rosja dawno byłaby przyjęta do NATO. W końcu to właśnie Sikorski ten pomysł promował.

Każdy ma kumpla na swoją miarę. Prezydent Andrzej Sebastian na przykład Wołodymyra Zełenskiego albo Żółtowłosego Borisa. Ewentualnie Wujka Joe jako całkiem nowego frienda, zamiast Dobrego Donalda z Waszyngtonu. Tymczasem chcieliśmy przypomnieć, kto był wielkim kumplem Bronisława Komorowskiego Wąsatego. Otóż nie kto inny, jak zapoprzedni prezydent Ukrainy, Wiktor Janukowycz, obalony w niesławie w roku 2014. Przyjaźń była głęboka. Panowie spotykali się częściej, niż Macron dzwoni do Putina.

Trochę to trwało, ale osoba premiera w końcu podpisała nominację Dariusza Barskiego na prokuratora krajowego. Nie kryjemy, że bardzo nas to cieszy. Barry – jak wiadomo – jest melomanem, a nawet audiofilem. A muzyka – wiadomo – łagodzi obyczaje. Jest też wielbicielem art déco i posiada imponującą kolekcję mebli i innych artefaktów w tym stylu. A my lubimy ludzi ze stylem.

Ze sportu. Szwedzi boją się meczu barażowego z Polską o wyjazd na mistrzostwa świata, gdyż Chorzów leży zaledwie 350 km od granicy z Ukrainą, a tam – jak wiadomo – wojna. Mamy dla dzielnych wikingów znacznie gorszą wiadomość. Otóż 312 km od Chorzowa jest Budapeszt, gdzie czyha złowrogi Viktor Orbán. A teraz wiadomość jeszcze gorsza – mniej niż 300 km dzieli Chorzów od Warszawy, gdzie swą kryjówkę ma szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. Panowie Szwedowie, czy wasze postępowe głowy są w stanie to wszystko pomieścić? ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

Wizyta Bidena wzmocniła więzi Ameryki i Europy

FOT. STEPHANIE LECOCQ/EPA/PAP

USA i Unia Europejska ogłosiły nowe partnerstwo w celu zmniejszenia zależności kontynentu od rosyjskiej energii. – Dołożymy wszelkich starań, żeby zapewnić UE w tym roku dodatkowo 15 mld m sześc. gazu LNG – zadeklarował w piątek prezydent USA Joe Biden, podkreślając, że Amerykę i Europę łączy wspólny cel. W kolejnych latach na Stary Kontynent powinno więc docierać jeszcze więcej gazu zza oceanu. Amerykański przywódca nie pozostawił jednak złudzeń: tanio nie będzie. – Odejście od gazu z Rosji będzie kosztować Europę, ale to moralnie słuszne – mówił Joe Biden po spotkaniu z szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen. Komisja Europejska ma we współpracy z krajami członkowskimi zapewnić infrastrukturę zdolną do odbioru ok. 50 mld m sześc. LNG do 2030 r.

Dzień wcześniej, podczas nadzwyczajnego szczytu NATO poświęconego wojnie na Ukrainie w Brukseli, prezydent Joe Biden zapowiedział opracowanie planów wzmocnienia obrony sojuszu „dodatkowymi siłami i zdolnościami". Pierwszym krokiem ma być rozmieszczenie czterech nowych grup bojowych w Bułgarii, na Węgrzech, w Rumunii i na Słowacji.

W piątek prezydent USA poleciał do Rzeszowa, gdzie wziął udział w spotkaniu poświęconemu napływowi uchodźców do Polski. W sobotę miał przylecieć do Warszawy, by spotkać się z prezydentem Andrzejem Dudą. ©℗ ***(jap)***

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl f1d71c1b92

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pożegnanie maseczki

Mniej więcej ok. 24. dnia ubiegłego miesiąca zaginął bez śladu koronawirus. Po prostu wyszedł z mediów i już tam nie powrócił. Nie mówię, że zniknął zupełnie: ludzie nadal chorują, może jeszcze częściej, bo przecież pojawiły się nagle w Polsce 2 mln uchodźców, od których nikt nawet nie próbował domagać się noszenia maseczek ani okazywania certyfikatów. Zarówno oni, jak i Polacy czasem się zarażają, ale potem zdrowieją. Pokaszlą, pogorączkują, podratują się paracetamolem, ibufenem, w cięższych przypadkach acetylosalicylem i tyle. Nikt nie wpada z tego powodu w histerię, bo przestano w telewizji odliczać, ile wczoraj testów wyszło pozytywnie, ile jest miejsc w szpitalach, respiratorów i tak dalej. Jak nożem uciął skończyło się też judzenie przeciwko niezaszczepionym, które w kontekście napływu uchodźców brzmiałoby jak najgorzej. Znalazłem tylko jedną publiczną wypowiedź lekarza, wyrażającą troskę niskim stopniem „wyszczepienia" ukraińskiej populacji, ale i on martwił się nie COVID, tylko krztuścem, odrą i gruźlicą.

W końcu sytuację poczuł się zmuszony usankcjonować minister Niedzielski, oficjalnie znosząc przymus rytuałów maseczkowych, i tak już od tygodni powszechnie ignorowanych. To oczywiście miło, że nie dało się dłużej ignorować zdrowego rozsądku, trudno jednak opędzić się przed myślą, że od dobrych paru miesięcy – konkretnie od czasu, gdy upowszechnił się wariant omikron, niepowodujący letalnej dla wielu „burzy cytokinowej" – robiono z nas idiotów. Za nienoszenie maseczek straszono mandatami, nękano ludzi w sklepach i taksówkach, media społecznościowe bezlitośnie kasowały posty i blokowały kanały, prześladowano ludzi mówiących, że z medycznego punktu widzenia zarządzona oficjalnie histeria od dawna już nie ma sensu, nawet jeśli mieli wszelkie tytuły w sprawie tej rozstrzygać. Ktoś na tym zbijał fortuny, kto inny kapitał polityczny.

I nagle prawdziwe nieszczęście, które spadło na ludzi, pokazało, jak bardzo tamto wszystko było picem i wydmuszką. Szkoda tylko, że nikt tego uczciwie nie przyzna ani za to nie przeprosi. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wojenko, wojenko!

Odwaga jest zawsze w cenie. Napoleon pod Arcole, Piłsudski pod Bezdanami, de Gaulle 18 czerwca – indywidualne czyny przywódców zawsze tworzą nową jakość, nadają polityce nową dynamikę. Wyjazd naszych premierów do Kijowa może budzić tylko uznanie.

A pobyt? Wzywanie do „zbrojnej misji pokojowej"? To ciąg dalszy polityki, w której Polska ma być „reżyserem sankcji", „organizatorem oporu", krótko mówiąc – heroldem krucjaty, której nikt nie zwołuje i na którą się nikt nie wybiera. Oczywiście możemy i powinniśmy się tym martwić. Bezczynne NATO jest słabym gwarantem bezpieczeństwa. Bez militarnej presji, umiejętnie dozowanej groźby użycia siły i realnej gotowości jej użycia na Ukrainie nie będzie pokoju. My w tej presji możemy brać udział, możemy jasno deklarować gotowość takiego udziału, ale nie możemy ani jej sami inicjować, ani zmusić do niej naszych sprzymierzeńców! Nie jest więc celowe budowanie wizerunku kraju, który swą rację stanu opiera na przekonaniu o nieuchronności rozszerzenia wojny i nawet specjalnie nie zamierza tego opóźniać.

Mało kto pamięta, jaki był polityczny sens Magdeburga (który zresztą naprawdę zaczął się w Ostrowie Wielkopolskim). Piłsudski wyszedł z wojny pierwszy (wstrzymując rekrutację do Legionów już po wyzwoleniu Warszawy), a pod koniec życia apelował, żeby do następnej wojny Polska wchodziła ostatnia. Czasem mam wrażenie, że niektórzy się martwią, że jeśli będziemy tak myśleć, to się na kolejną wojnę spóźnimy.

Nie jestem też w stanie bez konsternacji czytać niektórych manifestów radykalnej centroprawicy. Wojna jako „nowy karnawał Solidarności"! Obrona Charkowa jako drugie powstanie warszawskie! „Nadzieja", że jako państwo frontowe zbudujemy międzynarodową pozycję, byle Putina nie obalono za wcześnie! A obok nas druga Syria… Nie mamy w tej chwili wielkiego manewru politycznego, ale nawet zjeżdżając po równi pochyłej, nie należy dawać po gazie. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O miłośnikach Putina

Prezydent Zełenski, z wirtualną wizytą we włoskim parlamencie, został przyjęty z wszelkimi honorami. Witali go przewodniczący Izby Deputowanych i Senatu, żegnał premier Mario Draghi, a aula drżała w posadach od braw na stojąco.

Aż kilkudziesięciu wybrańców narodu zbojkotowało jednak nowego bohatera wolnego świata. Tłumaczyli się na trzy sposoby. Po pierwsze, jako pacyfiści uznali, że nie będą słuchać awanturnika. Po drugie, chcieli wyrazić sprzeciw wobec przekazywania Ukrainie broni. A po trzecie, jako pacyfiści-symetryści, przy tym fanatycy wolności słowa, domagali się, by po Zełenskim przemówił do nich Putin. Chodzi o parlamentarzystów, którzy wspierają bardzo proukraiński włoski rząd. Był wśród nich również przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu.

Można gorzej? Można. Pani senator Bianca Laura Granato: „Putin toczy bardzo istotną bitwę nie tylko w imieniu Rosji, lecz także za nas wszystkich. Putinowi mówię: zjednoczmy siły i walczmy z globalizmem".

We włoskich mediach w programach publicystycznych często występuje dobrze mówiący po włosku ideolog Kremla prof. Aleksandr Dugin, którego z kapłanem Putina, patriarchą Cyrylem, łączą nie tylko plugawa broda, lecz także poglądy. Wielką karierę w mediach robi również profesorek Alessandro Orsini. To wybitny politolog z publikacjami w USA i Wielkiej Brytanii. Uczony mąż tłumaczy, że aby pokojowo zakończyć wojnę na Ukrainie, należy izolować, czyli zamknąć, Zełenskiego i brytyjskiego premiera Borisa Johnsona, bo to najwięksi podżegacze wojenni. Przyczynę wojny widzi w tym, że Wielka Rosja, Rosjanie i Putin zostali poniżeni przez Zachód. Powiada, że najpierw trzeba w trybie pilnym rehumanizować demonizowanego przez zachodnią propagandę Putina, czyli jakoś przeprosić, a potem nawiązać z nim dialog, dać mu pół Ukrainy i będzie spokój.

Na odtrutkę: po włosku suki.syn to „figlio di putana". Dziennik „Libero" wyszedł z wielkim zdjęciem rosyjskiego prezydenta na pierwszej stronie i tytułem: „Figlio di Putin". ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

JAK ON SIĘ NIE ODZYWA!

Aktor Antoni Królikowski niedawno brał ślub w świetle jupiterów, a potem w ich świetle opowiadał o swoim małżeństwie i dziecku, by na koniec odejść od ciężarnej żony i mieć pretensje, że plotkarskie media się tym interesują. On sam nie chce bowiem komentować sprawy, i trudno mu się dziwić, bo jest ona dla niego wizerunkowo nieciekawa. – Mam wrażenie, że coś się dziwnego dzieje w moim życiu, bo faktycznie coraz więcej ludzi, którzy mnie spotykają, właśnie pyta mnie, jak ja znoszę w ogóle to wszystko... – stwierdził w rozmowie z dziennikarką magazynu „Party". – To mnie niepokoi, że ludzie wierzą w to, co czytają na jakichś durnych portalach – dodał. Na koniec stanowczo stwierdził, że „nie zamierza się w ogóle odzywać na jakiś żaden temat, na który nie chce się odzywać, i tego nie zmieni". – Nikt tego nie zmieni. Nikt mnie do niczego nie zmusi i nie dam po prostu sobie wejść na głowę jakimś dziwnym, złym ludziom, którzy, nie wiedzieć czemu, się wtrącają w moje życie – grzmiał poirytowany. Tak bardzo „nie zamierza się w ogóle odzywać", że aż udzielił na ten temat wywiadu plotkarskiej gazecie! Nas przekonał.

WRZENIE ŚWIATA

Weronika „Wersow" Sowa to znana youtuberka i influencerka młodego pokolenia. Jest narzeczoną innego popularnego youtubera – Friza. Na wszystkich kontach w mediach społecznościowych obserwuje ją nawet 8 mln użytkowników, dzięki czemu Weronika zarabia ogromne pieniądze na kontraktach sponsorskich i reklamowych. Żyjąc sobie w ten sposób, Weronika nie kryje, że na inne rzeczy brakuje jej czasu i energii. Na przykład na studia prawnicze, które porzuciła. – Faktycznie wiem, że jestem nieodpowiedzialna, że rezygnuję ze studiów na piątym roku, bo szkoda tego jednego roku i mogłabym to dokończyć. Dla mnie ten piąty rok byłby mimo wszystko bardzo wymagający, żeby napisać pracę, zdać egzaminy, mam jeszcze taki zaległy egzamin. Po prostu stwierdziłam, że to nie jest dla mnie, nie czuję się na siłach, żeby to dokończyć na razie – tłumaczyła. – Do niczego nie jest mi to potrzebne, nawet jeśli bym nie nagrywała na YouTube i nie była influencerką, to i tak pewnie robiłabym coś innego. Teraz mam najlepsze lata swojego życia, mam to swoje pięć minut, które muszę wykorzystać na maksa. Mogę żyć życiem, które jest spełnieniem moich marzeń. Nie chcę robić niczego na siłę tylko po to, żeby powiedzieć komuś, że mam papierek, bo skończyłam prawo. Internet teraz zawrze, bo „Wersow" rzuciła studia – głosiła. Bez przesady. Zawrzałby może, gdyby je skończyła. A tak?

FOT. PAWEŁ GROMADA

SORRY, PANIE STINGU!

Maciej Stuhr nie pojawi się na gali wręczenia Wiktorów, mimo że został nominowany w jednej z kategorii. Twierdzi, że nie dostał zaproszenia na galę, ale nawet gdyby dostał, to i tak by nie przyszedł, bo... galę będzie transmitować TVP, a on TVP nie lubi. Stuhr ubolewa jedynie, że na gali ma wystąpić Sting, jeden z jego ulubionych wykonawców. – Nawet gdybym zaproszenie dostał i nawet gdyby mój ukochany Sting śpiewał mi przez godzinę prosto do ucha, to nie mógłbym z czystym sumieniem pojawić się na imprezce stacji, która sieje nienawiść, dzieli społeczeństwo, okłamuje każdego dnia miliony ludzi, stwarza i piętnuje rzekomych wrogów publicznych, niszczy pluralizm i wolność słowa! – stwierdził. – Zatem Kochany Stingu! Jestem Twoim wielkim fanem! Jestem nominowany do jednej z nagród w gali, którą masz uświetnić. Niestety, z wielu powodów nie zobaczymy się tego wieczoru. Szkoda – dodał. Biedny Sting, jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że zagra dla publiczności, wśród której nie będzie młodego Stuhra. Co za cios!

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

ZAROBIONA JAK INSTAGRAMERKA

Agnieszka Włodarczyk, aktorka i celebrytka, narzeka, że odkąd została mamą, ma mało czasu i z niczym się nie wyrabia. – Są takie dni, kiedy wykorzystujesz każde trzy minuty, żeby coś zrobić. Wstawić jajka na śniadanie, odkurzyć chociaż salon, odciągnąć mleko, wszystko w biegu, bo mały marudzi. Ma już swój charakterek i wymusza „na rączki" – pisze Włodarczyk. Dodała jednak, że na szczęście może liczyć na pomoc partnera. – Dobrze, że jest tatuś, bez niego byłoby trudno – wyznaje. – Czasami, żeby przerwać trudniejsze dni, wyobrażam sobie, że jestem w jakiejś grze i muszę wszystko skończyć na czas – żali się Agnieszka. A przecież jeszcze w tym wszystkim trzeba znaleźć czas na opisanie tego wszystkiego na Insta! I wrzucenie odpowiednio wystylizowanych fotek. Ciężkie jest życie instagramerki! ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z zażenowaniem pomieszanym z niedowierzaniem przyjmujemy ostatnie rewelacje, jakoby Polska miała dołączyć do grupy G20. Na szybko doczytaliśmy, co to za grupa, wcześniej wydawało nam się, że skoro „20", to pewnie jakaś elitarna, skupiająca najważniejsze kraje, elitę – i nie myliliśmy się.

Otósh Grupa G20 dyskutuje nad wspólną polityką finansową i rzeczywiście – są to najbogatsze, największe i najfajniejsze kraje na świecie oraz Unia Europejska.

I teraz zastanówcie się sami – w jaki niby sposób ten kraj miałby aspirować do takiego towarzystwa? To tak, jakby na cywilny świecki humanistyczny ślub LGBT w Warszawie przyjechał ten jeden mało znany kuzyn spod Sanoka. Taki nie do końca zapraszany, ale dowiedział się, iż zwalnia się miejsce, więc trochę na siłę, trochę podstępem, a trochę na bezczela się wprosił.

Wszyscy inni uczestnicy imprezy na poziomie i będą musieli oglądać, jak ten nie umie się zachować, żłopie piwsko zamiast chardonnaya, dłubie widelcem w zębach i krzyczy, żeby jemu dać, bo jemu się należy, bo bąbelki, bo tamto i siamto.

Teraz jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak to może wyglądać? Jaka to może być skala kompromitacji? Niech im tam ktoś weźmie i przetłumaczy o praworządności, dyskryminacji itd., bo będzie siara, jakiej świat nie widział.

Pisząc te słowa, nie wiemy tego jeszcze na pewno. Widzieliśmy tylko nieoficjalne zapowiedzi, iż od 28 marca został zniesiony w tym kraju obowiązek zakrywania ust i nosa w pomieszczeniach zamkniętych, transporcie itd. Słowem – nie trzeba już nosić maseczek.

Jeśli więc dziś w drodze do korpo uderzyła was w zbiorkomach przytłaczająca liczba wąsatych niepozakrywanych twarzy, to już wiecie, dlaczego tak się stało.

Wielokrotnie wspominaliśmy i ostrzegaliśmy, iż nakaz zasłaniania twarzy powinien być znoszony stopniowo. Przez te ostatnie dwa lata odzwyczailiśmy się od mimicznej agresji typowego Polaka i teraz, stojąc np. w kolejce do kasy, jadąc tramwajem czy siedząc w kinie, jesteśmy narażeni na wstrząsy wynikające z powrotu do stanu sprzed kwietnia 2020 r.

A wam radzimy: bądźcie ostrożni i nie uśmiechajcie się zbyt wiele, iż z drugiej strony są janusze, które mogły się od uśmiechu odzwyczaić, a na widok odsłoniętych przez was zębów (mimo iż w uśmiechu) mogą reagować agresywnie.

Studio CD Projekt zapowiedziało prace nad kolejną częścią gry o Wiedźminie. Nie jest to najlepsza wiadomość, iż do tej pory w grach o Wiedźminie brakowało diversity, najważniejszą postacią był klasycznie maskulinistyczny Geralt z Rivii, a krasnoludy były jednolite etnicznie.

Obawiamy się też, iż będzie to niepotrzebna konkurencja dla wizji wiedźmińskiego świata wykreowanej przez Netflixa, a która odpowiada nam znacznie bardziej. Polacy of kors nie byli na nią gotowi, ale tym bardziej cenną, choć pewnie i bolesną lekcją było dla nich oglądanie serialu.

Mamy nadzieję, iż nowa gra nie zaprzepaści tego postępu i nie sprawi, iż cofniemy się mentalnie do jakiegoś 2015 r. Chcemy mieć nadzieję, iż tym razem zostanie zapewniona odpowiednia różnorodność i nie będziemy się wstydzić przed światem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Milion zgonów

Człowieku, wstawaj! Kto cię tu wpuścił?! Niby ochrona w ministerstwie jest, a tu jakiś menel mi pod gabinetem siedzi...
Panie ministrze... To ja przecież!

Pan profesor? No, niechże pan wstanie, niech pan na podłodze nie siedzi. Co się stało? Koszmarnie pan wygląda. I... tak szczerze mówiąc, to kąpiel by się chyba przydała.
Kąpiel? Nic nie da. Ale jakby chociaż jakieś małe obostrzenie, to stanąłbym na nogi. Obostrzonko, malutkie. Żeby chociaż maseczki w autobusach! No, nawet tylko w tramwajach!

Nie mogę, kochany, nie mogę. Sytuacja się zmieniła, okoliczności, rozumie pan...
Ale ja już od półtora miesiąca w żadnej telewizji nie byłem! Rada rozwiązana... Co ja mam zrobić ze sobą? Ministrze kochany, szczepionka obowiązkowa chociaż dla rybaków, ich i tak prawie nie ma...

Pan pił!
Bo jak tu nie pić... Ale nie to nie! Przeklinam cię i powiadam: za miesiąc będzie milion zgonów!

... Halo, ochrona? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdy Ukraina walczy w Kijowie z Moskwą, PiS próbuje zainstalować w Warszawie Moskwę".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl f1d71c1b92

Objęty sankcjami rosyjski oligarcha Roman Abramowicz w saloniku dla VIP-ów na lotnisku Ben Guriona w Izraelu, skąd odlatywał 14 marca do Stambułu FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

Ziemia obiecana oligarchów

eprasa.pl f1d71c1b92

DOKĄD ROSJANIE UCIEKAJĄ Z MILIARDAMI?

Witold Repetowicz

Sankcje na Rosję uderzyły w interesy rosyjskich oligarchów, którzy przez lata masowo wyprowadzali pieniądze ze swej ojczyzny. Teraz w panice przenoszą swoje aktywa tam, gdzie będą bezpieczne. Takim miejscem jest Izrael

Izrael od początku wojny zachowuje dwuznaczne stanowisko, co wynika ze szczególnych związków, jakie ten kraj łączą zarówno z Rosją, jak i Ukrainą. W ciągu kilkunastu lat po rozpadzie ZSRS do Izraela wyemigrowało stamtąd ok. 1 mln osób deklarujących żydowskie pochodzenie. Większość z nich mieszkała w europejskiej części ZSRS, przede wszystkim w Rosji i na Ukrainie. Znaczna część tych emigrantów nie miała przy tym żadnego poczucia żydowskiej tożsamości, a ich wyjazd motywowany był ekonomicznie. W tym czasie liczba Żydów w Izraelu wynosiła zaledwie niespełna 4 mln osób, więc rosyjscy Żydzi, a często raczej Rosjanie żydowskiego pochodzenia, stworzyli potężną i słabo zintegrowaną społeczność, dominującą w wielu miastach. Na przykład w wielu dzielnicach Hajfy przeważają napisy w języku rosyjskim, który de facto jest obecnie trzecim, obok hebrajskiego i arabskiego, językiem Izraela.

Rosyjscy Żydzi bardzo szybko odnaleźli się również w polityce tego państwa. W 120-osobowym Knesecie jest dziś ośmiu deputowanych urodzonych w byłym ZSRS. Za głównego przedstawiciela interesów społeczności rosyjskojęzycznej w Izraelu uważana jest partia Yisrael Beiteinu, której liderem jest Awigdor Lieberman, urodzony w Kiszyniowie (wówczas Mołdawska SRS) jako Ewet Lwowicz Lieberman. W obecnym rządzie Lieberman jest ministrem finansów, co nie jest bez znaczenia w kontekście stanowiska Izraela w stosunku do nałożonych na Rosję sankcji i ich skutków dla relacji izraelsko-rosyjskich. Lieberman nie jest zresztą jedynym członkiem obecnego izraelskiego rządu, który urodził się w byłym ZSRS. Stamtąd jest też minister turystyki Jo'el Razwozow z partii Yesh Atid oraz minister budownictwa oraz spraw Jerozolimy i dziedzictwa Ze'ew Elkin z partii Nowa Nadzieja.

INWESTYCJA W ELKINA

Ze'ew Elkin urodził się jako Władimir Borisowicz Elkin w 1971 r. w bombardowanym obecnie przez rosyjskiego agresora Charkowie. Do Izraela wyemigrował w 1990 r., a w 2006 r. został deputowanym do Knesetu. Do 2020 r. był członkiem rządzącego wówczas Likudu, na którego czele stał Beniamin Netanjahu.

Elkin towarzyszył ówczesnemu premierowi w jego wizytach w Rosji, a było ich niemało, bo Netanjahu, obok Recepa Tayyipa Erdoğana, był najczęstszym petentem u Putina. Tylko w latach 2015–2020 izraelski premier odbył 10 oficjalnych wizyt w Rosji.

Elkin najwyraźniej nie zapominał w czasie tych wyjazdów o własnych interesach. W 2018 r. media izraelskie donosiły, że zebrał 1,68 mln dol. na swoją kampanię dzięki gwarancjom pożyczkowym udzielonym mu przez rosyjskich oligarchów. W grudniu 2020 r. opuścił obóz Netanjahu i przeszedł do partii Nowa Nadzieja, z której ramienia po marcowych wyborach w 2021 r. znów został wybrany do Knesetu, a następnie zasiadł w nowym rządzie Naftalego Bennetta. I znów przy nowym premierze odegrał starą rolę doradcy-tłumacza, jadąc z nim 5 marca do Moskwy na spotkanie z Putinem. Celem tego wyjazdu była rzekomo próba mediacji między Rosją a Ukrainą.

Inwestycja w Elkina nie była niczym wyjątkowym. Podobnie jak afery korupcyjne z udziałem izraelskich polityków. Rosyjscy oligarchowie żydowskiego pochodzenia zadbali przy tym o to, by mieć w ostateczności bezpieczną przystań w Ziemi Obiecanej. Dotyczy to m.in. takich tuzów rosyjskiego biznesu jak Roman Abramowicz, Wiktor Wekselberg, Mosze Kantor czy Michaił Fridman.

PRZYPADEK ABRAMOWICZA

Według informacji publikowanych w mediach izraelskich Abramowicz, którego majątek wyceniany jest na 12–13 mld dol., w ciągu ostatnich 20 lat wsparł różne inicjatywy obywatelskie, edukacyjne i zdrowotne w Izraelu na łączną kwotę 500 mln dol. Już po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę instytut Yad Vashem w Jerozolimie poinformował o planowanej

eprasa.pl f1d71c1b92

dotacji od Abramowicza w wysokości kilkudziesięciu milionów dolarów. Nic więc dziwnego, że kilka dni później Yad Vashem, a także kilka innych wpływowych organizacji i instytucji izraelskich, m.in. Centrum Medyczne Sheba z Tel Haszomer oraz Uniwersytet w Tel Avivie, zaczęły lobbować w USA, by nie nakładać sankcji na rosyjskiego miliardera. Za Rosjaninem wstawił się też naczelny rabin aszkenazyjski Izraela David Lau, który uznał, że sankcje wobec Abramowicza będą szkodzić interesom żydowskim. Gdy starania te zakończyły się porażką, Yad Vashem natychmiast odciął się od Abramowicza.

Nie zrobiły tego natomiast inne żydowskie organizacje lobbingowe, współpracujące z Abramowiczem w związku z jego zaangażowaniem finansowym w kampanie przeciwko antysemityzmowi na świecie. W 2019 r. Abramowicz przekazał Agencji Żydowskiej 5 mln dol. na ten cel, co spotkało się z publicznym uznaniem ze strony ówczesnego przewodniczącego tej instytucji, a obecnego prezydenta Izraela, Icchaka Herzoga. Rok wcześniej Abramowicz uzyskał izraelskie obywatelstwo, które było mu już wówczas potrzebne w związku z problemami z przedłużeniem jego brytyjskiej wizy. Tymczasem to do Wielkiej Brytanii rosyjski biznesmen wyprowadził większość swojej fortuny, kupując w 2003 r. piłkarski klub Chelsea za kwotę 240 mln dol. Prawdopodobnie zrobił to z polecenia samego Putina, który w ten sposób chciał uzyskać instrument soft power ocieplający wizerunek Rosji na Wyspach, a także wpływy w FIFA. Obecnie Chelsea wyceniane jest na 1,66 mld dol., ale Abramowicz stracił nad nim kontrolę i nie może go też sprzedać, gdyż wszystkie jego brytyjskie aktywa zostały zamrożone.

W styczniu 2018 r. z inicjatywy Abramowicza Chelsea rozpoczęło światową kampanię „Say no to antisemitism" („Powiedz nie antysemityzmowi"). W komitecie firmującym tę inicjatywę znalazł się m.in. prezydent Światowego Kongresu Żydów Ronald Lauder, dyrektor Ligi Antydefamacyjnej (ADL) Jonathan Greenblatt i przedstawiciel Konferencji Prezydentów Głównych Organizacji Żydowskich w Ameryce Malcolm Hoenlein. Żadna z tych osób nie wycofała się z tej kampanii po wybuchu wojny na Ukrainie, a z informacji podawanych przez media izraelskie wynika, że reprezentowane przez te osoby organizacje nie odcięły się od Abramowicza, tylko schowały głowę w piasek. Warto dodać, że w 2020 r. Abramowicz zainwestował jeszcze w jedno wpływowe środowisko w Izraelu, tj. w lobby osadników na terenach palestyńskich. Fundacja Ir Dawid, znana również jako Elad, otrzymała od niego 102 mln dol.

ROSYJSKA FILANTROPIA

Abramowicz nie jest jedynym proputinowskim oligarchą żydowskiego pochodzenia, który budował sobie wpływy w Izraelu i w międzynarodowych kręgach żydowskich.

Urodzony we Lwowie Michaił Fridman, współzałożyciel jednego z największych rosyjskich banków – Alfa Banku – i według Forbesa 11. najbogatszy oligarcha rosyjski, założył Grupę Filantropijną Genezis, hojnie finansującą różnego rodzaju inicjatywy w Izraelu, w tym Yad Vashem i Przyjaciół IDF (izraelskie wojsko). Partnerami Fridmana, w tym i innych przedsięwzięciach, jest dwóch kolejnych rosyjskich oligarchów żydowskiego pochodzenia: German Chan i Piotr Awen. Od 2012 r. fundują oni również Nagrodę Genesis (1 mln dol.), zwaną Żydowskim Noblem, przyznawaną za zasługi związane z „wartościami żydowskimi". W 2022 r. laureatem tej nagrody został szef Pfizera Albert Bourla, a w latach wcześniejszych m.in. Michael Douglas, Steven Spielberg i burmistrz Nowego Yorku Michael Bloomberg.

W 2016 r. Fridman otrzymał obywatelstwo Izraela. Obywatelem Izraela jest również German Chan. Po wybuchu wojny na Ukrainie Fridman ją skrytykował i pośpiesznie wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie ma posiadłość Athlone House o wartości 85 mln dol. Fundacja Genezis przeznaczyła natomiast 10 mln dol. na „społeczność żydowską na Ukrainie".

Fridmana, którego majątek przed wojną na Ukrainie wyceniany był na 14 mld dol., nie ominęły jednak sankcje. Nie pomogło wsparcie ze strony tak wpływowych Izraelczyków rosyjskiego pochodzenia jak słynny sowiecki dysydent, urodzony w Doniecku Natan Szarański. Szczególnie dotkliwe były sankcje UE, gdyż pozbawiły Fridmana kontroli nad zarejestrowaną w Luksemburgu firmą LetterOne zarządzającą inwestycjami o wartości 23 mld dol. Według Bloomberga spowodowało to, że majątek Fridmana skurczył się do 10 mld dol. Mogłoby być jednak znacznie gorzej, gdyby nie to, że Fridman i Awen uniknęli sankcji personalnych USA, które jedynie nałożyły drugorzędne sankcje na Alfa Bank. Na ile wpływ na to miał skuteczny lobbing środowisk żydowskich w USA, można się jedynie domyślać.

Inny prokremlowski biznesmen żydowskiego pochodzenia Wiktor Wekselberg (majątek o wartości ponad 9 mld dol.), podobnie jak Fridman urodzony na Ukrainie (w Drohobyczu) i uznawany za magnata aluminium i tytanu, inwestował w firmę Fifth Dimension, gdy na jej czele stał obecny minister obrony Izraela Beni Ganc. Z kolei Wiaczesław Mosze Kantor jest prezydentem Europejskiego Kongresu Żydów oraz Światowego Forum Holokaustu, a także donatorem instytutu Yad Vashem. Majątek Kantora oceniany jest na 3,7 mld dol. W 2020 r. to właśnie on stał za organizacją obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz w Jerozolimie, na których wykluczono prezydenta Andrzeja Dudę z listy przemawiających, a obecny tam Putin promował swoją zakłamaną wersję historii. Żydowskie pochodzenie ma również rosyjski król aluminium Oleg Deripaska. Na opublikowanej przez Times of Israel liście kluczowych miliarderów żydowskiego pochodzenia powiązanych z Putinem, którzy mogą usiłować wyprowadzać swoje aktywa do Izraela, znalazło się łącznie 19 biznesmenów dysponujących majątkami wartymi łącznie ponad 120 mld dol.

Michaił Fridman, współzałożyciel jednego z największych rosyjskich banków – Alfa Banku, założył Grupę Filantropijną Genezis, hojnie finansującą różnego rodzaju inicjatywy w Izraelu

DWIE DROGI RATOWANIA MAJĄTKÓW

Gdy próby wykorzystania budowanych wpływów dla uniknięcia sankcji w dużym stopniu zawiodły, stanowiący

eprasa.pl f1d71c1b92

finansową podporę Kremla oligarchowie zaczęli pośpiesznie przenosić w bezpieczne miejsce, co tylko się da. A Izrael dla oligarchów żydowskiego pochodzenia z całą pewnością takim miejscem jest. W połowie marca izraelskie media donosiły o lądowaniu 14 prywatnych samolotów, które przyleciały z Rosji. Brak było przy tym informacji, do kogo należały i w jakim celu się tam pojawiły, choć związek tego faktu z sankcjami nie budzi wątpliwości. Wiadomo też, że już dzień po rozpoczęciu inwazji na lotnisku Ben Guriona wylądował prywatny samolot Romana Abramowicza. Sam miliarder pojawił się w Izraelu 13 marca, po czym następnego dnia poleciał do Stambułu, a we wtorek wrócił do Moskwy. Według mediów izraelskich władze tego kraju nie pozwoliły Abramowiczowi na przechowanie jego samolotu na lotnisku Ben Guriona. Z kolei przystanek w Turcji związany był prawdopodobnie z planami zakupu Chelsea przez tureckiego biznesmena Muhsina Bayraka. Wiele wskazuje przy tym na to, że zakup ten ma również służyć ominięciu sankcji. Turcja ma przy tym bliskie relacje z Rosją i nie przyłączyła się do żadnych sankcji nałożonych na ten kraj. Ostatnio też, po wieloletnim kryzysie w relacjach turecko-izraelskich, doszło do ocieplenia stosunków między obydwoma krajami, czego wyrazem była wizyta prezydenta Icchaka Herzoga w Turcji na początku marca.

Media izraelskie wskazują na dwie drogi, jakie rosyjscy biznesmeni żydowskiego pochodzenia wykorzystują w celu ratowania swoich majątków. Pierwsza to lokowanie środków w nieruchomościach w Izraelu, którymi zainteresowanie ze strony podmiotów rosyjskich po rozpoczęciu wojny na Ukrainie znacznie wzrosło. Druga to przechowanie drogich ruchomości, takich jak samoloty czy jachty, co związane jest z brakiem uregulowań w Izraelu przewidujących zajęcie takiego mienia.

Abramowicz jest właścicielem dwóch jachtów: „Solaris", wartego 600 mln dol., oraz „Eclipse", wartego 700 mln dol. „Solaris" na początku marca zdołał opuścić port w Barcelonie i 13 marca zawinął do portu w Czarnogórze, by następnie skierować się w kierunku Turcji. Z kolei „Eclipse" pod koniec lutego znajdował się w rejonie St. Martin na Karaibach i stamtąd ruszył w kierunku zachodniego wybrzeża Afryki, a następnie na Morze Śródziemne, mijając 18 marca wybrzeże Algierii. Otwarte jest pytanie, czy miejscem docelowym jest Turcja czy Izrael.

Media izraelskie wskazują również na to, że faktyczny sojusz, jaki powstał między Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Izraelem, otwiera rosyjskim oligarchom żydowskiego pochodzenia drogę do chronienia swojego majątku również w Dubaju.

Oficjalnie władze Izraela zadeklarowały, że nie pozwolą, by Izrael stał się miejscem obchodzenia sankcji nałożonych na Rosję, ale w praktyce może być inaczej. Izraelskie banki zaczęły wprawdzie dostosowywać się do sankcji nałożonych przez Unię Europejską, Wielką Brytanię i USA, ale rosyjscy miliarderzy mogą wykorzystać izraelskie prawo pozwalające na nieujawnianie źródeł dochodu przez 10 lat. Sprzyjać im może też to, że ministrem finansów jest Lieberman. Gdy międzynarodowe firmy wycofały się z ubezpieczeń lotów z Izraela do Moskwy, Lieberman natychmiast doprowadził do zwołania Komitetu Finansowego Knesetu, który na nocnym posiedzeniu zatwierdził państwowe gwarancje w wysokości 2 mld dol. dla izraelskiego przewoźnika El Al, co pozwoliło na utrzymanie dwóch lotów dziennie do Moskwy.

Ponadto Izrael nie może ignorować faktu związków między tym krajem a Ukrainą. Wprawdzie fakt, że wielu rosyjskich oligarchów żydowskiego pochodzenia urodziło się na Ukrainie, nie miał dotąd znaczącego wpływu na ich związki z Kremlem, ale być może obecna sytuacja spowoduje zmianę w tym zakresie i podobną falę emigracji jak ta, która nastąpiła po zmianie ery Jelcynowskiej na Putinowską. W opozycji do Putina stanęło wówczas wielu oligarchów żydowskiego pochodzenia, takich jak np. Michaił Chodorkowski czy Borys Bieriezowski. Były wspólnik Chodorkowskiego, Leonid Nevzlin, któremu udało się 20 lat temu uciec do Izraela, teraz zrzekł się obywatelstwa rosyjskiego w proteście przeciwko wojnie Putina. Z wypowiedzi Fridmana, Abramowicza czy innych oligarchów mających podwójne obywatelstwo nie wynika jednak, że planują zwijać swoje interesy z Rosji i występować przeciwko Putinowi.

Żydowskie pochodzenie ma jednak również prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, a także były premier Wołodymyr Grojsman. To powodowało, że dotychczas relacje ukraińsko-izraelskie były bardzo dobre. Ponadto położony na Ukrainie Humań jest bardzo ważnym miejscem dla chasydów ze względu na znajdujący się tam grób rabina Nachmana. W oddziałach ukraińskich walczących z rosyjskim agresorem znalazło się też wielu żydowskich ochotników.

Mimo to Izrael z dużymi oporami zareagował na starania Zełenskiego, by wystąpić przed Knesetem z podobnym przemówieniem, które miał już m.in. przed brytyjskim parlamentem, polskim Sejmem czy też amerykańskim Kongresem. Ostatecznie jednak zgodzono się na to w drugiej połowie marca. Państwo żydowskie w dość specyficzny sposób podeszło również do przyjmowania uchodźców z Ukrainy, wykorzystując sytuację do trwałego przesiedlenia Ukraińców żydowskiego pochodzenia. Jest to zgodne z polityką zwiększania populacji żydowskiej w Izraelu. Ocenia się przy tym, że osób uprawnionych do osiedlenia się w Izraelu jest na Ukrainie ok. 200 tys. Na razie do Izraela przybyło ok. 3 tys. takich osób i znacznie więcej Ukraińców niemających żydowskich korzeni, lecz mających tam krewnych lub przyjaciół. Izrael jednak nałożył restrykcje w odniesieniu do tych uchodźców i blisko tysiąc z nich opuściło już ten kraj, co spotkało się z otwartą krytyką ukraińskiej ambasady w Izraelu.

Na stosunek Izraela do wojny na Ukrainie wpływa również kruchość koalicji, która objęła władzę w ubiegłym roku. Tworzy ją aż osiem partii, które łącznie mają zaledwie 62 mandaty w 120-osobowym Knesecie. To ułatwia Rosji oddziaływanie na władze Izraela przez swoich ludzi. Wpływają na to również interesy geopolityczne Izraela. To z nimi, a nie z rzekomą mediacją, należy wiązać ostatnią wizytę Naftalego Bennetta w Moskwie, po której zresztą, według relacji mediów izraelskich, izraelski premier miał namawiać Zełenskiego do kapitulacji.

Rosja od dawna udziela Izraelowi przyzwolenia na atakowanie celów irańskich w Syrii. Również perspektywa reaktywacji układu nuklearnego z Iranem połączyła interesy obu krajów, gdyż wejście irańskiej ropy i gazu na rynek w tym momencie uderza w interesy Rosji. Zważywszy nie tylko na wpływy rosyjskich oligarchów w Izraelu, lecz także ich związki z amerykańskim środowiskiem żydowskim, można się spodziewać, że te wspólne interesy przełożyły się również na lobbing za oceanem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić i prezydent Rosji Władimir Putin w Soczi, 25 listopada 2021 r.

FOT. SPUTNIK/REUTERS/FORUM

Przyjaciele Rosji

Olivier Bault

Nie wszyscy na świecie stanęli murem za Ukrainą. Dlaczego?

Niecałe dwa dni przed rozpętaniem przez Rosję wojny przeciw Ukrainie – 22 lutego – prezydent Serbii Aleksandar Vučić domagał się, aby Wołodymyr Zełenski publicznie potępił „straszliwą, tragiczną agresję na Serbię ze strony USA, Wielkiej Brytanii, Niemiec i innych krajów", której dopuściły się w 1999 r. To jego warunek. Dopiero wówczas sam potępiłby uznanie przez Rosję dwóch separatystycznych republik Donbasu. W ten sposób Vučić odpowiedział na oczekiwania ambasadora Ukrainy w Belgradzie, by Serbia jednoznacznie potępiła działania Rosji.

Serbia stara się o członkostwo w Unii Europejskiej, ale jej prezydent podkreślił w telewizyjnym wywiadzie z 22 lutego, że pozostaje ona krajem neutralnym i choć „zawsze popierała integralność Ukrainy", to nie zamierza odwrócić się od przyjaźni z Rosją. „Naród serbski nie chce być w NATO" – przypomniał Vučić już wcześniej.

CO PAMIĘTAJĄ SERBOWIE

17 marca, gdy zaczynał się czwarty tydzień rosyjskiej ofensywy na Ukrainie, retoryce prezydenta wtórowali belgradzcy fani piłkarzy Czerwonej Gwiazdy w rozgrywkach Ligii Europejskiej UEFA. W czasie meczu rozwinęli bannery, na których widniały daty i miejsca wojskowych interwencji zagranicznych Stanów Zjednoczonych, począwszy od 1950 r. (w tym data misji przeciw Serbii w 1999 r.) oraz napis: „All we are saying is give peace a chance" (refren antywojennego utworu Johna Lennona – „Wszystko, co my mówimy, to dajcie szansę pokojowi").

Przypomnijmy – naloty NATO na Serbię i Czarnogórę rozpoczęły się 24 marca 1999 r. i trwały 78 dni. Według organizacji Human Rights Watch bomby zrzucone wówczas na Serbię zabiły ok. pół tysiąca cywilów. Naloty zakończyły się oderwaniem Kosowa od reszty Serbii i wypędzeniem lub ucieczką wielu Serbów z tej historycznie serbskiej prowincji, zamieszkiwanej w większości przez etnicznych Albańczyków. Zatem choć Serbowie mogą współczuć Ukraińcom i przyjmują uchodźców z tego kraju (12,5 tys. uchodźców z Ukrainy przekroczyło granice serbskie do połowy marca według danych ONZ-owskiego wysokiego komisarza ds. uchodźców, ale tylko 2,5 tys. z nich pozostało w Serbii), to nie przyłączą się do sankcji przeciwko Rosji i pozostaną wstrzemięźliwi w potępianiu Moskwy.

Podobne racje przyświecają Węgrom, choć ich uwarunkowanie historycznie sięga dalej i jest głównym powodem, dla którego rząd Viktora Orbána nie zgodził się na dostarczenie Ukraińcom broni czy na nałożenie embarga na ropę i gaz z Rosji.

WĘGIERSKA TRAUMA

Traktat z Trianon wymuszony na Królestwie Węgier w 1920 r. do dziś pozostaje narodową traumą. Węgrzy z pewnością nie były głównym winowajcą wybuchu pierwszej wojny światowej, ale to właśnie one zostały przez zachodnie demokracje należące do ententy najsurowiej za nią ukarane. Odebrano Węgrom prawo do samostanowienia, mające być rzekomo nowym wyznacznikiem granic po przegranej państw centralnych. Węgry utraciły niemal dwie trzecie terytorium i tyle samo ludności, w tym 3,3 mln etnicznych Węgrów, którzy znaleźli się nagle poza granicami własnej ojczyzny. O traktacie tym brytyjski premier Lloyd George powiedział po fakcie: „Cała dokumentacja, którą dostarczyli nam niektórzy z naszych sojuszników podczas negocjacji pokojowych, była kłamliwa i sfałszowana, podjęliśmy decyzje oparte na fałszerstwach". A ówczesny francuski prezes rady ministrów Aristide Briand przyznał przed parlamentem rok po podpisaniu traktatu z Trianon: „Kto mógłby

eprasa.pl f1d71c1b92

wątpić w to, że granica węgierska została wyznaczona w sposób nieco arbitralny?".

Dlatego też większość Węgrów nie jest skłonna dać się wciągnąć kolejny raz w wojnę wielkich mocarstw i nie bardzo wierzy w szczerość zachodnich polityków, gdy ci mówią o zasadach i wartościach. Wolą zadbać o własne interesy i o interesy węgierskiej mniejszości na Ukrainie. Nie głoszą wzniosłych haseł i nie wychodzą odważnie przed szereg, jak to czyni Polska. Owszem, węgierska opozycja, podobna do polskiej „opozycji totalnej" w swoim zamiłowaniu do wszystkiego, co zachodnie, domaga się większego zaangażowania Węgier po stronie ukraińskiej, łącznie z dostarczeniem broni i nałożeniem embarga na import surowców z Rosji. Jednakże rząd Viktora Orbána tak jak dotychczas blokował współpracę Ukrainy z NATO ze względu na politykę językową Kijowa wobec mniejszości węgierskiej w obwodzie zakarpackim, tak dziś wypowiada się otwarcie przeciw przyszłemu wstąpieniu tego kraju do sojuszu północnoatlantyckiego – jego zdaniem mogłoby to doprowadzić do wojny między NATO a Rosją.

Z kolei węgierska polityka energetyczna bazuje na długoterminowych kontraktach z Gazpromem. Pozwoliło to na razie uchronić gospodarstwa domowe i przemysł na Węgrzech przed ogromnymi zwyżkami cen, których jesteśmy świadkami w Europie od ponad roku. Z drugiej strony wiąże się to z całkowitym uzależnieniem od dostaw z Rosji.

Według sondażu opublikowanego przez instytut Századvég 9 marca, czyli na mniej niż miesiąc przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi, 66 proc. Węgrów jest zdania, że obecny premier jest politykiem, „który potrafi najskuteczniej zagwarantować bezpieczeństwo Węgier w czasie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego".

Należy przy tym pamiętać, że wśród krajów UE przeciwko zakazowi importu rosyjskich surowców energetycznych wypowiedziały się nie tylko Węgry, lecz także takie kraje jak Niemcy, Włochy czy Holandia, które są również mocno uzależnione od rosyjskiego gazu. Trzeba też zaznaczyć, że Węgrzy przyjęli setki tysięcy ukraińskich uchodźców, zagłosowali za dotychczas przyjętymi sankcjami w Radzie UE i – choć nie zgadzają się na dostarczenie Ukraińcom broni z własnego terytorium – pozwalają na przejazd transportów z bronią przeznaczoną dla Ukraińców przez zachodnią część Węgier.

ROLA TURCJI

Wśród krajów należących do NATO także Turcja dba o dobre relacje z Rosją. Kupuje rosyjski gaz płynący gazociągiem TurkStream otwartym na początku 2020 r., którego odnoga transportuje gaz do Serbii i Węgier, omijając w ten sposób Ukrainę. Ankara kupuje także rosyjskie uzbrojenie. Zakup systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej S-400 poskutkował wykluczeniem Turków przez Amerykanów z programu zakupu samolotów bojowych V generacji F-35, aby nie dać Rosjanom możliwości opracowania metod wychwytywania tych teoretycznie niewidzialnych dla radarów samolotów. Ankarze zależy również na utrzymywaniu poprawnych stosunków z Moskwą ze względu na obecność rosyjskiego wojska w Syrii.

Jednakże Turcja ma też dobre stosunki z Kijowem i dostarczyła Ukraińcom drony bojowe, o których mówi się, że miały decydujący wpływ na pokonanie Ormian przez wojsko azerskie w Górskim Karabachu w ubiegłym roku. Wątpliwe jest jednak, aby Turcy dostarczyli Ukraińcom swoje systemy S-400 rosyjskiej produkcji. A do tego – według mediów – mieli ich namawiać Amerykanie.

Nawet jeśli Turcja jednoznacznie potępiła rosyjską agresję na Ukrainę, to w połowie marca turecki minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu wyraźnie wykluczył możliwość dołączenia Turcji do zachodnich sankcji przeciwko Rosji. To zresztą dzięki takiej postawie rząd turecki jawi się dziś jako akceptowalny dla obu stron konfliktu mediator w negocjacjach między Rosjanami a Ukraińcami.

Rola Turcji w tym zakresie wzrosła, gdy Izrael zaczął być postrzegany przez Ukraińców jako stojący zbyt wyraźnie po stronie rosyjskiej i to pomimo jego sojuszu z Amerykanami.

Na początku marca to właśnie izraelski premier jako pierwszy podjął się mediacji między Rosją a Ukrainą, udając się do Moskwy na spotkanie z Władimirem Putinem, a następnie do Kijowa na rozmowy z Wołodymyrem Zełenskim. Według izraelskich mediów Bennett miał doradzać ukraińskiemu prezydentowi, aby ugiął się przed żądaniami Kremla. Choć zostało to formalnie zdementowane przez władze izraelskie i ukraińskie, to krótko potem rozmowy przeniosły się na grunt turecki. 10 marca w Antalyi doszło do spotkania między rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Sergiejem Ławrowem a jego ukraińskim odpowiednikiem Dmytrem Kulebą.

IZRAEL, CHINY, INDIE

Mimo że izraelski minister spraw zagranicznych Ja'ir Lapid w ostrych słowach potępił atak rosyjski już 24 lutego, izraelskie władze zachowują się wstrzemięźliwie, a premier tego kraju woli nie mówić o osobistej odpowiedzialności Putina w wywołaniu wojny. Izrael potrzebuje bowiem przyzwolenia Rosjan na bombardowanie pozycji Hezbollahu i Irańczyków w Syrii oraz wsparcia, by uniemożliwić Iranowi opracowanie własnej broni atomowej. Ponadto wielu dzisiejszych Izraelczyków ma swoje korzenie w Rosji lub na Ukrainie, gdyż ok. 1,1 mln izraelskich Żydów pochodzi z byłego Związku Sowieckiego. Dlatego też Izrael nie chce sprzedawać broni Ukraińcom pomimo presji amerykańskiej administracji.

Części izraelskich polityków i mediów nie spodobało się też przemówienie ukraińskiego prezydenta, które wygłosił 20 lutego on-line przed Knesetem. Zełenski – sam będący pochodzenia żydowskiego – porównał rosyjskie działania wojenne na Ukrainie do ludobójstwa Żydów przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej.

Gdy patrzymy na mapę świata, wart odnotowania jest fakt, że obok Chin także Indie, które tradycyjnie mają dobre stosunki handlowe z Rosją i kupują od Rosjan uzbrojenie, nie przyłączyły się do sankcji i nie potępiły Kremla. Nie jest to bez znaczenia, gdyż pod względem liczby mieszkańców Indie to największa demokracja na świecie.

Gdy 2 marca Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych przyjęło rezolucję potępiającą Rosję za inwazję na Ukrainę, obok Indii wstrzymały się od głosu 34 inne kraje, m.in. Chiny, Pakistan, Iran i Irak, kilka innych krajów azjatyckich, republiki byłego ZSRS, 17 krajów afrykańskich i cztery kraje latynoamerykańskie. Przeciw rezolucji głosowało pięć krajów: Rosja, Białoruś, Korea Północna, Syria i Erytrea. Rezolucję poparło natomiast aż 141 krajów, w tym wymienione powyżej Izrael, Turcja, Węgry i Serbia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

W której lidze ma grać Polska?

Piotr Semka

Można powiedzieć górnolotnie, że historia wywołała nas do tablicy i zadała bardzo wymagające pytanie: Do jakiej roli w nowej sytuacji aspirujemy?

Na jaką miarę Polska jest skrojona? Mimo że mija już 30 lat naszej formalnej niepodległości, to wciąż wydajemy się być sami siebie niepewni. Wahamy się między kompleksem kraju traktowanego jako przedmiot w grze wielkich mocarstw a całkowicie już dobrowolnym przekonaniem, że wszelkie marzenia o prowadzeniu samodzielnej polityki to śmieszne mrzonki. Problem w tym, że sytuacja w naszym regionie jest tak dramatyczna i groźna, że musimy podejmować śmiałe decyzje. A każda decyzja ma swoje konsekwencje i jest jakimś ryzykiem.

W naszej dyskusji o polityce Polski wobec Ukrainy pojawiło się niedawno na łamach „Do Rzeczy" porównanie polityki Warszawy i Budapesztu. Czy możemy przy naszym położeniu geopolitycznym przyjąć jedynie rolę biernego obserwatora konfliktu na Ukrainie tak jak Węgry? Moim zdaniem nie. I to zdecydowanie nie.

PROXY WAR

Ten konflikt musiał w końcu wybuchnąć. Narastające od wielu lat agresywne cechy polityki Rosji sprzęgły się z narastającym konfliktem chińsko-amerykańskim. Tak jak w latach 70. można było tylko czekać na tzw. proxy war, czyli wojnę zastępczą. Mogła wybuchnąć w postaci agresji Chin na Tajwan i wtedy cała uwaga Ameryki skupiłaby się na azjatyckim teatrze wydarzeń politycznych. Jednak wojna ta wybuchła w Europie i to wywróciło do

eprasa.pl f1d71c1b92

Polska delegacja na czele z prezydentem Andrzejem Dudą na nadzwyczajnym szczycie NATO w Brukseli, 24 marca FOT. WOJCIECH KRÓL/MON

góry nogami wszystkie dotychczasowe układy sił. Rosja zakładała, że Ameryka Bidena będzie słaba i będzie się jedynie przyglądać atakowi na Ukrainę, bezsilnie protestując. Ukraina z kolei miała być krajem, który powtórzyłby swoją bezsilność z 2014 r., gdy Kijów dość bezradnie obserwował zabór Krymu i okupację republik donieckich.

Rzeczywistość zaskoczyła Putina i pokazała, że Ameryka potrafi się zmobilizować, a Ukraińcy mają odwagę, by walczyć. Można więc górnolotnie powiedzieć, że sama historia wywołała nas do tablicy i zadała bardzo wymagające pytanie: Do jakiej roli w nowej sytuacji aspirujemy? Ekipa PiS nigdy nie miała w tej kwestii zbyt wielu dylematów. Jarosław Kaczyński od wielu lat uważał Rosję za czynnik, który należy zastopować, zanim zagrozi ona niepodległości Polski i państw bałtyckich. Dlatego bez wahania podjęliśmy trud udzielania pomocy w postaci dostaw sprzętu wojskowego dla Ukrainy i bez żadnych problemów przyjęliśmy sporą masę uchodźców ukraińskich.

Przy okazji skorzystaliśmy politycznie ze zmiany spojrzenia Ameryki na Europę. Wcześniej Waszyngton hołdował doktrynie, że to Niemcy mają być głównym gwarantem stabilności na kontynencie europejskim, a Ameryka zajmie się rywalizacją z Chinami. W sytuacji jednak, gdy konflikt wybuchł w Europie, a Niemcy wykazały się absolutną biernością wobec Rosji, uwaga Ameryki przeniosła się na Polskę. Ziściło się to, o czym pisałem już w ciągu ostatniego półrocza. Niemcy nie mogą być skutecznym partnerem Ameryki, gdyż w odróżnieniu od USA stały się krajem zdemilitaryzowanym faktycznie i psychicznie. A nawet postępowa Ameryka zrodzona przez demokratów nie jest w stanie zamknąć oczu na faktyczną degradację potencjału militarnego Niemiec.

Trio Duda-Morawiecki--Kaczyński zyskało znacznie większy niż wcześniej wpływ na decyzje całego Zachodu

Alarmistyczne teksty w niemieckiej prasie o Bundeswehrze jako niemal złomowisku nieczynnych helikopterów, rozbieranych na części myśliwców i pamiętających lepsze czasy czołgów Leopard czytane były uważnie w Pentagonie. Ale jeszcze ważniejsze było co innego. Skoro polem rywalizacji z Rosją stała się Ukraina, to Polska w naturalny sposób stała się głównym obszarem przerzutu amerykańskiej pomocy do walczącego kraju i militarnym punktem oparcia dla wojsk amerykańskich. Taką rolę w latach 1949–1989 odegrały właśnie Niemcy jako państwo frontowe. Potem nastąpiło 30 lat złudzenia i przekonania, że Rosja przestała być zagrożeniem dla Zachodu. Wywołało to dziwną sytuację. RFN przestała być kluczowym zapleczem US Army w Europie, ale jednocześnie Polska nie zyskała w pełni nowego frontowego statusu. Teraz, jak słusznie wskazuje Jan Rokita, obszar Polski jest geopolitycznym „sworzniem", czyli tym jedynym miejscem na mapie, które przesądza o możliwości oddziaływania Zachodu na ów kryzys. To przez Polskę trafia broń na Ukrainę, do Polski z kolei uciekają ukraińscy uchodźcy. I to w Polsce nastąpić może rosyjska dywersja albo atak, jeśli wojna rozleje się poza Ukrainę.

I ten fakt, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sprawił, że trio Duda-Morawiecki-Kaczyński zyskało znacznie większy niż wcześniej wpływ na decyzje całego Zachodu. Można to uważać za szansę, a można też uważać to za śmiertelne zagrożenie i cały czas zastanawiać się, czy każdy kolejny nasz ruch nie spowoduje ataku Rosji na Polskę. Pytanie jednak brzmi: Czy gdybyśmy zachowali się biernie albo oszczędnie wobec Ukrainy, to czy Polska zyskałaby na bezpieczeństwie? Moim zdaniem nie, gdyż Rosja po schrupaniu Ukrainy zaczęłaby wysuwać roszczenia wobec Polski i państw bałtyckich. Jeśli teraz minister Siergiej Ławrow głosi, że Rosja czuje się zaniepokojona potencjałem militarnym na Ukrainie, to po przesunięciu rosyjskich czołówek na granicę polsko-ukraińską Rosja zaczęłaby głosić, że potencjał militarny NATO na terenie Polski jest dla FR jeszcze większym zagrożeniem. Jeśli dziś propagandyści Kremla ordynarnie kłamią, że Ameryka utworzyła na terenie Ukrainy ośrodki przygotowujące wojnę bakteriologiczną przeciwko Rosji, to po zdobyciu Charkowa, Kijowa i być może Lwowa dowiedzielibyśmy się, że takie same ośrodki broni bakteriobójczej czyhają na Rosję z terytorium Polski.

Musimy sobie uświadomić, że bez pozycji przyjaznego zaplecza dla Ukrainy być może opór tego kraju byłby znacznie słabszy. Ukraińscy wojownicy skupialiby się na ratowaniu i wywożeniu swoich żon i dzieci na Zachód, zamiast walczyć z rosyjskimi czołówkami pancernymi. A ani Węgry, ani Słowacja nie mają takiej infrastruktury militarnej, aby realnie zapewnić łańcuchy dostaw wyposażenia wojskowego na Ukrainę. Zresztą równie ważna była praktyka współpracy pomiędzy naszym wojskiem a US Army. Swoje znaczenie miał wspólny udział w akcjach w Iraku i w Afganistanie na nieporównanie większą skalę niż w wypadku symbolicznych

eprasa.pl f1d71c1b92

oddziałów czy to czeskich, czy to słowackich w czasie misji pokojowych. Skoro staliśmy się ważnym graczem, to trzeba z tego umiejętnie korzystać. I tu oczywiście pojawia się pytanie, jak to robić w sposób rozsądny i korzystny dla naszej racji stanu.

WĘGIERSKA „SONDERWEG"

Tym, którzy zadają pytanie, czy węgierski dystans wobec wojny nie okaże się per saldo lepsza opcją, warto wskazać na parę czynników, które odróżniają nas od kraju Madziarów. Węgry nie znajdują się – tak jak Polska – na obszarze strategicznego korytarza militarnego między Rosją a zachodnią Europą. Węgry są w dość bezpieczny sposób oddzielone od głównego kierunku działania Rosji poprzez łańcuch Karpat. Węgry są od Polski wyraźnie mniejszym krajem ze znacznie mniej liczną populacją. Od 1989 r. nigdy nie miały aspiracji budowania silnej armii. W niewielkim stopniu uczestniczyły w misjach pokojowych razem z Amerykanami. Nie są też w mentalności Wielkorusów odwiecznym wyzwaniem i obiektem rywalizacji.

Węgry to państwo, w którym trauma po utracie rozlicznych terytoriów dawnej Korony św. Stefana jest nieporównywanie silniejsza niż w Polsce żal po utracie naszych Kresów. Przez długi czas wielu polityków w Polsce bagatelizowało ten czynnik węgierskiej polityki, sprowadzając go jedynie do emocjonalnej urazy. Jednak przykład relacji węgiersko-ukraińskich pokazuje, że żal po utracie węgierskiego Zakarpacia praktycznie wpływa na obojętność wobec zmagań Ukrainy o swoją niepodległość z Rosją. Tak być nie musiało, bo teoretycznie już pierwsza agresja rosyjska na Ukrainę w 2014 r. mogła wywoływać uczucie solidarności wynikłe z pamięci inwazji sowieckiej na Węgry w 1956 r. A jednak, jak widzimy, żal o zabranie Mukaczewa, Uschorodu i Chustu jest w praktyce silniejszy niż lęk przed rosyjskim niedźwiedziem.

Jednocześnie trzeba zauważyć, że Węgry tak wyraźnie dystansując się od Ukrainy, też podejmują wybór, który ma swoje konsekwencje. Po pierwsze, jest to kierunek, który zauważa Ameryka, i wpływa on na relacje z USA. Po drugie, rozluźnia on – wydawało się, wzorcowe dotąd – relacje polsko-węgierskie i wreszcie każe zadać pytanie, na jakim układzie sojuszników chce się oprzeć premier Viktor Orbán w najbliższym czasie. Odreagowywanie przez węgierskiego przywódcę pewnego ochłodzenia relacji z Warszawą poprzez demonstracyjne zbliżenie z Serbią to mało przyszłościowy wybór. Politycy z Belgradu, którzy wyraźnie popierają Rosję w konflikcie z Ukrainą, to nie jest zbyt przyszłościowy partner.

NIESPRAWDZONE PONURE PRZEPOWIEDNIE

Obecny konflikt to okazja do jeszcze jednego niewielkiego podsumowania. Po prawej stronie polskiej opinii publicznej dość częsty był błąd publicystów zapowiadających banderyzację Ukrainy. Były oczywiście do tego pewne podstawy. Po zwycięstwie pomarańczowej rewolucji w 2004 r., za rządów Wiktora Juszczenki, Polaków nieprzyjemnie zaskoczyło wykonywanie przez ówczesnego prezydenta Ukrainy ukłonów wobec tradycji UPA i Stepana Bandery. Podobnie zdarzało się za rządów Petra Poroszenki. Jednak czas pokazał, że był to po części wynik kokietowania wyborców na zachodniej Ukrainie ze strony pochodzących z centralnej części kraju Juszczenki i Poroszenki, a po części wynik wpływu na ośrodki decyzyjne Ukraińców z emigracji, gdzie kult Bandery kwitł przez wiele powojennych lat.

Trzeba zauważyć, że Węgry tak wyraźnie dystansując się od Ukrainy, też podejmują wybór, który ma swoje konsekwencje

Na polskiej prawicy jako sztandarowy przykład zagrożenia wskazywano partię Swoboda, która brała na sztandary upowskich dowódców i przywódców politycznych. A jednak czas pokazał, że ten nurt okazał się chwilowy. Owszem, pomniki Bandery czy Romana Suchewycza dalej stoją w galicyjskich miastach, ale w ostatnich wyborach do parlamentu na Ukrainie Swoboda uzyskała 2,2 proc. i tylko jednego deputowanego. Bardzo szczęśliwym rozwojem wydarzeń okazało się zwycięstwo Wołodymyra Zełenskiego i jego partii Sługa Ludu. Zełenski potrafił wymyślić nowoczesną formułę ukraińskiego patriotyzmu, która bez ostentacji, ale skutecznie zdystansowała się od wzorców galicyjskiego szowinizmu z lat 1918–1956.

Dziś podstawą do budowy nowoczesnego patriotyzmu ukraińskiego będzie wojna z Putinem, co Polaków powinno akurat satysfakcjonować. Pokazuje to, że cierpliwość prezydenta Andrzeja Dudy, który unikał gwałtownych reakcji na mniejsze lub większe nietakty ze strony Ukraińców, miała swój głęboki sens. Równie ważne było oswojenie się przez Polaków z Ukraińcami przez osobiste, zazwyczaj dobre doświadczenia z życiem i pracą przybyszy zza wschodniej granicy w naszym kraju. Wśród bardzo licznych oskarżeń o romantyzm i lekceważenie ewentualnych zagrożeń masowym transferem Ukraińców do Polski optymiści formułują pozytywne scenariusze z dużą ostrożnością.

Ale nasuwać się musi wspomnienie o przykładzie relacji polsko-litewskich ponad 800 lat temu. Tylko specjaliści pamiętają, że między XIII a XIV w. Polska była ofiarą licznych łupieżczych wypraw ze strony Litwy dynastii Mendoga. Były więc rachunki krzywd, mordów, podpaleń. A jednak wszystkie te fatalne wydarzenia zbladły z czasem wobec zagrożenia krzyżackiego, a potem moskiewskiego. Tak samo teraz trudno się dziwić tym, którzy myślą o strategicznym sojuszu polsko-ukraińskim jako o czynniku większej równowagi między wschodem a zachodem na naszym kontynencie.

Wiem jedno. Bez takiego wizjonerstwa polska polityka będzie jałowieć i słabnąć. I tutaj polityka węgierska może być dla nas ostrzeżeniem. Hasło „Nasza chata z kraja" prowadzi do polityki, w której nie zauważa się historycznych szans, a te niewykorzystane będą się mścić. Nie musi to jednak oznaczać jakiegoś szalonego zapominania o zagrożeniach. Tak samo jak nierozsądne byłoby jakiekolwiek myślenie o udziale Polski w misji pokojowej na Ukrainie bez zaangażowania w niej całego NATO na czele z USA. Ale jest to zupełnie inna kwestia. Można zastanawiać się, jak taka misja by wyglądała i jaki potencjał ryzyka by ze sobą niosła, ale wymaga to oderwania się od ciasnego pseudopragmatyzmu. Ów specyficzny pragmatyzm, który jak zły duch wlecze się za polską prawicą, bywał wielokrotnie parawanem dla małoduszności i tchórzostwa. To dla Polski polityczny ślepy zaułek.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

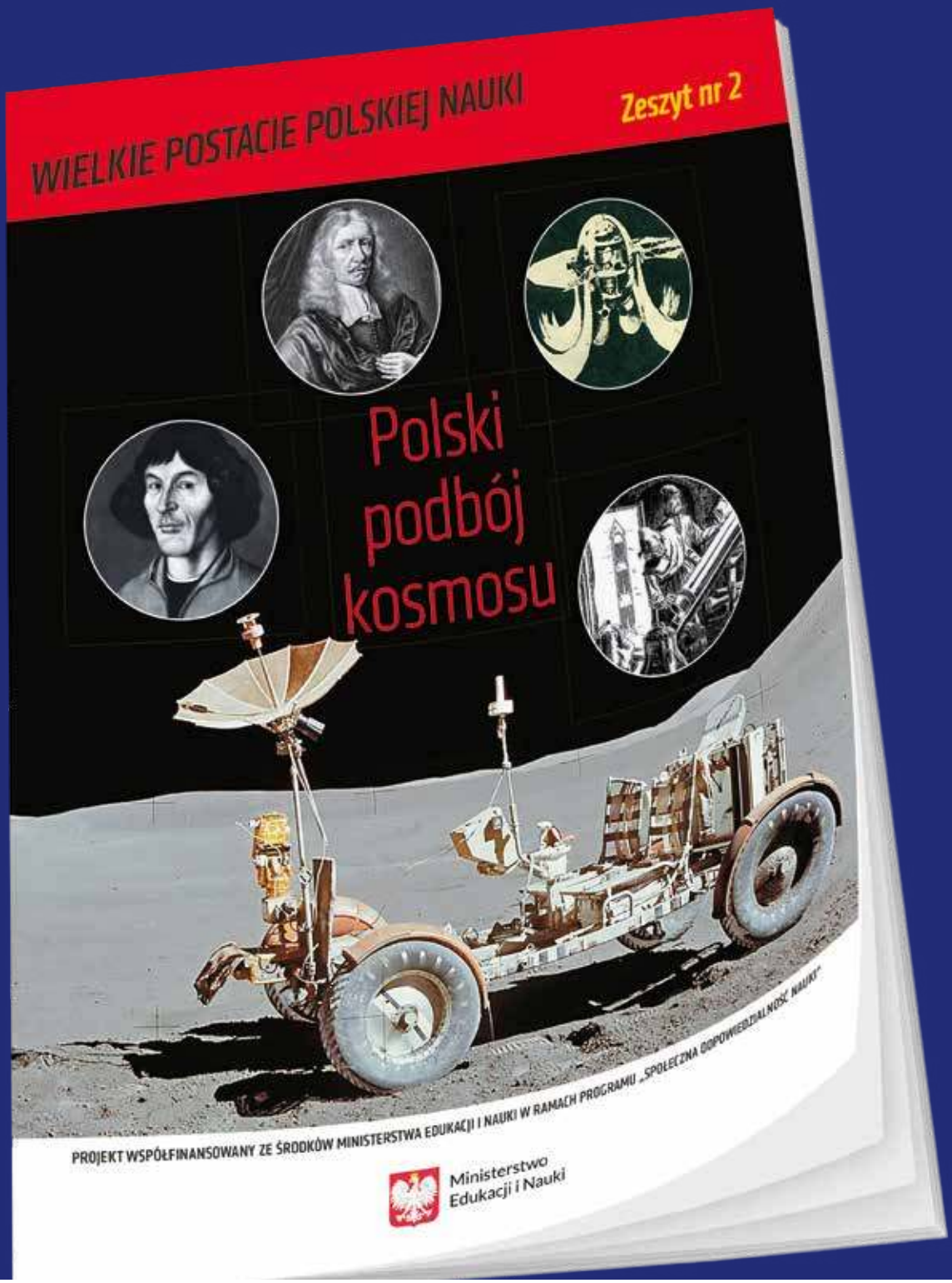

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Czas zagubienia

Rafał A. Ziemkiewicz

W obliczu wojny z Rosją opozycja stała się jeszcze bardziej niepotrzebna, niż była do tej pory. Polityczne rachuby Donalda Tuska zostały unieważnione przez nowe okoliczności

Jeśli któryś z moich ludzi powie, że ma jakąś wizję, to go wyślę do psychiatry" – deklarował w czasach swoich sukcesów Donald Tusk. I wtedy to się podobało: „ciepła woda w kranie", „nie róbmy polityki", „chcę tylko, żeby pamiętano mnie jako fajnego kolesia". Dziś stało się problemem Tuska i całej lewicowo-liberalnej opozycji, niezdolnej do znalezienia lepszego przywódcy. Czasy zmieniły się diametralnie, a wraz z nimi – nastroje społeczne. Szok, którym jest wojna, perspektywa poniesienia rozmaitych jej kosztów i stawienia czoła nowym wyzwaniom odsyła do lamusa większość stereotypów i przyzwyczajeń. Ci sami Polacy, którzy 10 lat temu chcieli mieć u steru państwa „fajnego kolesia", niezawracającego im głowy żadnymi wizjami, tylko załatwiającego kasę z Unii na nowe aquaparki i wypasione centra handlowe, dziś oczekują właśnie przedstawienia im jakiejś wizji: wizji przyszłej Polski, przeprowadzenia jej przez wojnę i spodziewany wskutek tej wojny światowy kryzys.

Nawet gdyby Tusk chciał na to oczekiwanie odpowiedzieć, trudno byłoby mu zrobić to w sposób wiarygodny. Mógł, co prawda (teraz czas na to chyba już minął), zbudować zupełnie nowy wizerunek siebie, wizerunek męża stanu, który – sprawując ważne funkcje w Unii Europejskiej – dojrzał, nabrał szerokiej, międzynarodowej perspektywy i jest dzisiaj innym politykiem niż tamten dawny „fajny koleś", który nie chciał robić polityki, tylko patronować radosnej konsumpcji. Ale i tu napotkałby poważny problem – dotychczasowy PR Tuska jako „ważnego w Europie" budowany był na dobrych kontaktach czy wręcz na patronacie tych akurat państw i środowisk politycznych, które w konfrontacji z wojenną rzeczywistością najbardziej się skompromitowały.

NIE WYSTARCZY BYĆ

To jednak akademickie rozważania, bo Tusk po powrocie do polityki krajowej i do przewodzenia opozycji najwyraźniej nie dostrzegł potrzeby opowiedzenia siebie na nowo. Trudno w to uwierzyć, mając w pamięci spryt wykazywany przez niego w dawniejszych czasach, ale najwyraźniej uznał, że jego legenda i popularność są tak wielkie, iż wystarczy mu tylko być, a do władzy wyniesiony zostanie bez żadnych starań ze swej strony. PiS przecież w końcu musi zużyć się u władzy, irytacja z powodu jego prawdziwych czy nie, ale wypełniających przestrzeń medialną błędów czy afer musi się skumulować i przekroczyć ten sam punkt krytyczny, którym dla PO były kelnerskie taśmy, a wcześniej dla SLD firanki w limuzynie łapówce posła Pęczaka, no i w końcu przecież Polacy, w 80 proc. deklarujący poparcie dla członkostwa w UE, będą musieli uwierzyć, że rządy Kaczyńskiego prowadzą do utraty europejskich dostatków. A kiedy

eprasa.pl f1d71c1b92

już Polacy się do PiS zniechęcą, to na kogo zagłosują? Oczywiście „z braku laku" na PO.

Tak postrzegając scenę polityczną i spodziewając się takiego rozwoju wydarzeń, musiał lider opozycji dojść do wniosku, że jedynym wyzwaniem, które przed nim stoi, jest zmonopolizowanie szyldu „zjednoczona opozycja" i utrzymanie dominacji nad środowiskiem lewicowo-liberalnym. Dlatego zajęty był głównie dalszym wasalizowaniem PSL, marginalizowaniem ruchu Hołowni i rozbijaniem lewicy, polemikę z rządzącymi ograniczając do rutynowych obelg pod ich adresem i powtarzania, że wypychają Polskę z Europy wprost w objęcia Putina i przez upór tracą unijne fundusze. Składana od czasu do czasu obietnica, że w końcu sam osobiście pojedzie do Europy, spotka się tam z ważnymi politykami i załatwi dla Polski pieniądze, zakrawała już w jego przekazie na finezję.

Najbardziej zdumiewające jest to, że ani Tusk, ani nikt w jego otoczeniu nie zauważył, że o ile strategia „wystarczy być" przez ostatnie miesiące była tylko nieskuteczna, o tyle po rosyjskiej inwazji na Ukrainę stała się wręcz samobójcza. Główne atuty Tuska – poparcie Niemiec i Europejskiej Partii Ludowej – przestały się liczyć, albo – wobec ogólnego rozczarowania niemieckim kunktatorstwem i prorosyjskością – zaczęły wręcz być obciążeniem. Straszenie odebraniem Polsce funduszy unijnych także zaczęło działać w sposób odwrotny do zamierzonego: w sytuacji, gdy Polacy przyjmują miliony uchodźców, zamiast niechęci do PiS budzi raczej złość na wbijających nam nóż w plecy eurokratów i niemieckich zdrajców Sprawy, co wzmacnia korzystny dla PiS efekt „konsolidowania się wokół flagi".

Zapowiadane wielokrotnie kontakty Tuska z „najważniejszymi światowymi politykami" jakoś nie mogą dojść do skutku, za to Polacy zalewani są informacjami o międzynarodowej aktywności premiera, prezydenta i prezesa PiS tudzież o kolejnych podnoszących się na Zachodzie głosach oddających im, że mieli rację i Zachód zrobił błąd, nie słuchając Polski. Wzmacnia ten efekt jeszcze bardziej to, że sytuacja potwierdziła trafność intensywnie przez opozycję wyszydzanych pomysłów, takich jak budowa Baltic Pipe czy przekop Mierzei Wiślanej. A narracja, że „pomagają tylko zwykli ludzie (pardon: Polki i Polacy), a rząd i Kościół nic nie robią dla uchodźców", sprawia wrażenie malkontenctwa, tym bardziej że łatwo pokazać, jak sprzeczna jest z faktami.

COŚ WIĘCEJ NIŻ NARZEKANIE

Sytuacja byłaby trudna dla opozycji, nawet gdyby miała ona w ręku jakieś programowe atuty. Niemniej inteligentny polityk na miejscu jej liderów powinien uznać obecny czas za moment dogodny do politycznych inwestycji. Objaśniać konkretne słabości w postępowaniu rządu i proponować rozwiązania na nadchodzące czasy, co opozycji zawsze robić łatwiej – jeśli jej propozycje będą dobre, to rząd będzie musiał je realizować i opozycja zyska w ten sam sposób, w jaki dziś PiS zyskuje na wspomnianych wyżej inwestycjach, a jeśli okażą się chybione, to nikt o tym w przyszłości nie będzie pamiętał.

W taki sposób w „a nie mówiliśmy" inwestuje np. Konfederacja, ostrzegając przed „nadmiernym" przychylaniem przez władzę nieba ukraińskim uchodźcom – co na razie odbierane jest z niechęcią – choć przecież w przyszłości mogą pojawić się w związku z uchodźcami problemy (a zapewne się pojawią, w końcu nie przybyły do nas 2 mln aniołów, tylko 2 mln ludzi, wśród których na mocy statystyki trafić się muszą i naciągacze, i złodzieje, i osoby wywołujące rozmaite problemy). Jednak Konfederacja sama siebie postrzega jako ugrupowanie, którego „szklany sufit" lokuje się na kilkunastu procentach poparcia, i może nie dbać o niechęć, jaką w ten sposób ściąga na siebie poza własną niszą. PO czy aspirujący do jej zastąpienia Hołownia muszą zwrócić się do Polaków z czymś więcej niż jałowe narzekanie na każdy ruch władzy.

I tego właśnie Tusk zupełnie nie potrafi. Zamiast mówić o nowym geopolitycznym układzie świata, o wielkich wyzwaniach, przestrzegać przed nieprzygotowaniem do kryzysu, przed Putinowskim głodem, spodziewaną falą migracji z krajów biednych, które np. sprowadzały dotąd z Ukrainy od 80 proc. do 100 proc. zużywanych nawozów i spożywanej pszenicy – lider opozycji wyżywa się w iście pętackich złośliwościach na Twitterze, nawet już nie pod adresem Kaczyńskiego i PiS, tylko TVP. W istocie nieustająca „jazda" po Tusku, która codziennie odbywa się w „Wiadomościach", szkodzi raczej PiS niż samemu Tuskowi i więcej by on zyskał, nie wdając się w szarpaninę z „Wiadomościami". Skądinąd trudno zresztą zrozumieć, po co TVP ten festiwal codziennego łojenia zdjęciami z molo w Sopocie i Smoleńska oraz „für Deutschland" – czy to jakaś rachuba na podtrzymywanie Tuska na pozycji głównego wroga PiS, dzięki swej przeciwskuteczności uznanego za idealnego z punktu widzenia dla rządzących, czy też prezes telewizji publicznej stara się w ten sposób dogodzić emocjonalnej niechęci do Tuska czy wręcz obsesji nienawiści do niego, o którą bywa oskarżany Jarosław Kaczyński?

Jeśli to pierwsze – to wysiłek „Wiadomości" jest całkowicie zbędny. Nie widać w obozie lewicowo-liberalnym nikogo, kto by był w stanie nazwać nowy świat, porzucić skompromitowaną z dnia na dzień narrację, „byle być posłusznym, to Unia wszystko nam da i przed wszystkim obroni", i przedstawić jakąś wizję przyszłości. Miesiąc wojny nie skłonił do powiedzenia czegokolwiek mądrego żadnego z polityków PO, nie został też wykorzystany przez Hołownię, który jeszcze bardziej niż dotąd okazuje się polityczną wydmuszką. A ponieważ natura próżni nie znosi, przekaz całego obozu lewicowo-liberalnego określają ludzie tacy jak produkujący jakieś nowe, antypisowskie „Protokoły mędrców Syjonu" Giertych z asystującymi mu w tym Sikorskim, Lisem czy Żakowskim. Nawet jeśli budzi to irytację części tego obozu (patrz: ostry atak na Giertycha Leszka Jażdżewskiego, który skądinąd też swego czasu solidnie opozycji i samemu Tuskowi zaszkodził swym radykalizmem, w jego wypadku antyklerykalnym), to ta irytacja jest bezsilna, bo narracji obsesyjno-spiskowej, konsolidującej najbardziej żelazny elektorat, nie ma liberalna lewica w tej chwili do przeciwstawienia żadnego modelu opozycyjności rozsądnej i racjonalnej. Jak kpina brzmi dziś przypomnienie, że właśnie czegoś takiego spodziewano się po wracającym do kraju po mniemanych sukcesach w „wielkiej", europejskiej polityce Tusku.

To prawda, że obóz rządzący też na razie nie tworzy żadnych większych narracji przygotowujących Polaków do zbliżających się wyrzeczeń i wyzwań. Ale władza i tak jest siłą rzeczy w centrum uwagi, administrując sprawami bieżącymi. Natomiast opozycja bez pomysłu na Polskę w zmienionym świecie i na siebie samą w zmienionej Polsce stała się jeszcze bardziej niż dotąd niepotrzebna i śmieszna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Ambasador czasu wojny

Kamila Baranowska

Bartosz Cichocki, ambasador Polski w Kijowie, jako jedyny unijny dyplomata pozostał na placówce pomimo trwającej na Ukrainie wojny. Jego obecność stała się symbolem solidarności Polski z Ukrainą

FOT. ANDRZEJ LANGE/PAP

Kiedy pytamy ambasadora Bartosza Cichockiego o to, czy nie miał momentu zawahania i kto podjął decyzję o tym, że ma trwać na posterunku, odpowiada, że decyzja była wspólna. – Dla nas wszystkich było to oczywiste – mówi „Do Rzeczy" Cichocki. – Jesteśmy państwem sąsiadującym z Ukrainą, mamy mnóstwo wspólnych spraw. Ani nikt mnie nie musiał zmuszać do pozostania, ani nikt nie wzywał do powrotu do Warszawy. To, że nasza ambasada pracuje, to element większej całości, tego, jak zachowuje się cały polski aparat państwowy: MSZ, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i wszyscy inni, zaangażowani w pomoc Ukrainie na różnych poziomach – dodaje. I zapewnia, że ktokolwiek inny na jego miejscu trwałby tak samo. – To nie są decyzje jednostkowe, lecz zespołowe – podkreśla.

Czy czuje się bezpiecznie? Odpowiada, że nie ma za bardzo czasu, aby się nad tym zastanawiać. – Mam codzienną pracę do wykonania i na tym się skupiam – mówi.

KTOŚ BARDZIEJ STANOWCZY

Bartosz Cichocki (rocznik 1976), z wykształcenia historyk, ambasadorem w Kijowie został w marcu 2019 r., zastępując na tym stanowisku Jana Piekłę. Nie wszystkim ta nominacja się spodobała. Grupa ekspertów, dziennikarzy i publicystów od lat zajmujących się problematyką wschodnią wystosowała nawet list do prezydenta Andrzeja Dudy z postulatem, by Polskę w Kijowie nadal reprezentował Piekło. „Uważamy, że w działaniach – zarówno związanych ze wspieraniem Ukrainy na polu dyplomatycznym, jak i dotyczących dwustronnych relacji w wymiarze historycznym i bieżącej polityki – zasadnicze jest budowanie zaufania" – pisali w liście m.in. Agnieszka Romaszewska, Maria Przełomiec czy Bogumiła Berdychowska. Zmiany ambasadora dokonywano rzeczywiście w specyficznym czasie, bo Cichocki objął placówkę zaledwie kilka tygodni przed wyborami prezydenckimi na Ukrainie. Tymi, które wygrał Wołodymyr Zełenski.

Ludzie, z którymi rozmawialiśmy przy okazji tamtej zmiany, podkreślali, że aby odwoływać ambasadora w tak ważnym momencie, trzeba mieć naprawdę ważne powody, a takich w przypadku Piekły nie było. I mieli za złe Cichockiemu, że przyjął to stanowisko. Ówczesny minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz tłuma-

eprasa.pl f1d71c1b92

czył jednak, że nominacja dla Cichockiego to „de facto wzmocnienie przedstawicielstwa politycznego i wzmocnienie, jeżeli chodzi o relacje z MSZ". Bo Cichocki, zanim został ambasadorem, był wiceministrem spraw zagranicznych. – Minister Cichocki ma swój zdecydowany styl działania, jasno, otwarcie mówi o pewnych problemach, a przecież nie o to chodzi, żeby udawać, że ich nie ma, bo te problemy są. Trzeba je w sposób dyplomatyczny artykułować i rozwiązywać – dodał Czaputowicz.

Nieoficjalnie mówiło się wtedy, że rząd chciał mieć w Kijowie kogoś, kto będzie bardziej stanowczy i bardziej podatny na uwagi i współpracę z Warszawą. MSZ uważało bowiem, że Piekło w niektórych kwestiach zbyt mocno ulegał narracji ukraińskiej. Rządzący mieli pretensje np. o to, że niewystarczająco bronił polskiego stanowiska choćby w sprawach historycznych. Cichocki, związany z MSZ i rządem PiS, mający poparcie premiera Morawieckiego, miał to zmienić. Czy tak się stało?

W rządzie można usłyszeć dziś różne opinie. Także taką, że przed wybuchem wojny dość poważnie rozważano w MSZ kolejną zmianę ambasadora w Kijowie. Wojna unieważniła jednak zastrzeżenia pod adresem Cichockiego. Dziś wszyscy przyznają, że w tym specyficznym czasie sprawdza się świetnie, stając się symbolem solidarności Polski z Ukrainą i zaangażowania naszego państwa w pomoc Ukrainie i Ukraińcom. A także jest wizerunkowym atutem polskiego rządu – o tym, że jako jedyny zachodni dyplomata pozostał w Kijowie, piszą zagraniczne media, a on sam udziela wywiadów zagranicznym dziennikarzom. – Nawet jeśli trochę przy tym gwiazdorzy, to robi to w sposób budzący sympatię i szacunek – śmieje się nasz rozmówca z rządu.

„Polski ambasador pozostał w Kijowie jako ostatni. Chce podtrzymać ducha stolicy" – pisał o nim brytyjski dziennik „The Guardian". „Ubrany w chinosy i koszulkę piłkarską Szachtara Donieck Cichocki oferował gościom whisky i papierosy w sali konferencyjnej ambasady" – można było przeczytać w tekście. „Bartosz Cichocki, polski ambasador w Kijowie, to ostatni zachodni dyplomata w stolicy. Ma szkocką, hełm i kamizelkę" – to z kolei fragment tekstu z amerykańskiego portalu BuzzFeed.

W STYLU ZEŁENSKIEGO

Cichocki w wywiadach stanowczo zaznacza, że jego zdaniem Rosjanie nie zajmą Kijowa, dlatego nie myśli o tym, by stąd wyjeżdżać. – To się nie wydarzy. Kijów jest „niezajmowalny". Na ulicach są ludzie, których nie chciałbym spotkać, gdybym był Rosjaninem – stwierdził w rozmowie z brytyjskimi i amerykańskimi dziennikarzami. – Czujemy się bardzo dobrze bronieni przez najdzielniejszych żołnierzy w Europie. Nie sądzę, żeby Rosjanie byli w stanie tutaj [do Kijowa – przyp. red.] wejść [...]. To jest być może ich plan, ale nie sądzę, że im się uda. Będąc wewnątrz, bardziej się martwię o weekendowy wynik Legii Warszawa niż o moje bezpieczeństwo – to z kolei słowa ambasadora z wywiadu dla Radia RMF FM.

Ambasador Polski w Kijowie wcześniej pracował w MSZ. Bartosz Cichocki odpowiadał tam m.in. za sprawy polityki wschodniej

Kiedy Cichocki obejmował placówkę w Kijowie, jego krytycy twierdzili, że jak na dyplomatę jest mało dyplomatyczny, zbyt wyrazisty i zbyt bezpośredni w mówieniu tego, co myśli. Nawet jeśli tak było i jest, to – jak słyszymy w MSZ – w czasie wojny na Ukrainie ta jego cecha ma więcej zalet niż wad, a jego styl przypomina nieco styl prezydenta Zełenskiego.

Choć zdarzył się i pewien zgrzyt. Chodziło o wywiad dla TVN24, podczas którego Cichocki stwierdził, że w przeciwieństwie do Amerykanów jest zwolennikiem przekazania polskich samolotów MiG-29 Ukrainie. – Tak, mam inny pogląd. Uważam, że te samoloty powinny zostać Ukrainie udostępnione, a państwa NATO powinny zamknąć przestrzeń powietrzną nad Ukrainą – oświadczył. W tym samym wywiadzie nadmierną ostrożność Zachodu nazwał błędem. – Dlatego, że myśmy powinni przejąć inicjatywę i spowodować, żeby to Władimir Putin się bał najpotężniejszego sojuszu militarnego w historii ludzkości, a nie odwrotnie – tłumaczył. Wtedy postanowiono nieco przyciąć jego medialną aktywność. Od tej pory nadal chętnie udziela wywiadów, ale już nie tylu co wcześniej.

Zanim Bartosz Cichocki wyjechał do Kijowa, pracował w MSZ, do którego trafił w 2017 r., gdy ministrem był Witold Waszczykowski. Jako podsekretarz stanu Cichocki odpowiadał wówczas za sprawy bezpieczeństwa, polityki wschodniej i polityki europejskiej. Następca Waszczykowskiego – Jacek Czaputowicz – powie potem o nim, że to „profesjonalista, który nadzorował Departament Wschodni MSZ i zna świetnie sprawy ukraińskie". – To człowiek od wielu lat zajmujący się polityką wschodnią, z doświadczeniem w dyplomacji. Ma własne poglądy, nie zawsze się z nim zgadzam, ale uważam, że gdyby stworzyć kryteria, które musi spełniać idealny kandydat na ambasadora, to on spełniałby wszystkie – mówił o jego wyborze na ambasadora także zajmujący się tematyką wschodnią Paweł Kowal, polityk Koalicji Obywatelskiej, a wcześniej PiS.

Z POPARCIEM MORAWIECKIEGO

Kluczowe dla decyzji o wysłaniu Cichockiego na tak ważną i trudną placówkę miało być poparcie premiera Mateusza Morawieckiego, który dobrze oceniał jego pracę przy okazji kryzysu związanego z nowelizacją ustawy o IPN. Mało kto dziś pamięta, że Cichocki stanął wówczas na czele zespołu do spraw dialogu prawno-historycznego z Izraelem, który miał załagodzić napięte relacje dwustronne.

Lata spędzone w resorcie spraw zagranicznych w rozmowie z „Do Rzeczy" określił jako „ciekawe i pracowite". Wcześniej pracował także w polskiej ambasadzie w Moskwie (był m.in. rzecznikiem prasowym), doradzał również szefowi Agencji Wywiadu. Polityką zagraniczną zajmował się także, pracując w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Jako ekspert był związany m.in. z Ośrodkiem KARTA, Ośrodkiem Studiów Wschodnich i Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych.

Dziś swoją wiedzę ekspercką i historyczną wykorzystuje w praktyce.

– Ukraina już wygrała tę wojnę, bo zademonstrowała ogromną determinację, zdolności wojskowe, społeczne zaangażowanie – przekonuje „Do Rzeczy". – Rosjanie planowali, że wojna będzie trwała kilka dni i skończy się paradą w Kijowie. To się nie udało i nie uda.

Jak wszyscy obawia się jednak tego, że jeśli nie nastąpi dalsza zdecydowana reakcja Zachodu, to obecność wojsk rosyjskich może okazać się długotrwała i kosztować jeszcze więcej ludzkich istnień i zniszczeń. – Wciąż nie wszyscy na Zachodzie zrozumieli, że to nie jest wojna lokalna, lecz wojna o przyszłość całej Europy – mówi ambasador Cichocki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Z Jackiem Hogą, prezesem fundacji Ad Arma
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prawo do broni, prawo do życia

FOT. ADOBE STOCK

RYSZARD GROMADZKI: Sejm przyjął przy ponadpartyjnej zgodzie Ustawę o obronie Ojczyzny, której intencją jest budowa silnej armii. W ustawie nie ma jednak zapisów, które ułatwiałyby Polakom powszechny dostęp do broni. Dlaczego?

JACEK HOGA: Rozdzieliłbym te dwie kwestie. Rzeczywiście w sensie technicznym czy legislacyjnym ta ustawa nie była dobrym miejscem, żeby zajmować się dostępem do broni dla obywateli. Dostępem do broni cywilnej. To jedna kwestia. Druga to konsensus polityczny, o którym pan wspomniał. Nie zawsze jest tak, że jak wszyscy mówią to samo, to znaczy, że to jest z pewnością dobre. To jest ta wrodzona wada demokracji, którą poznali już starożytni. Ustawa o obronie Ojczyzny ma wiele wewnętrznych wad, które były sygnalizowane w trakcie obrad sejmowej podkomisji, m.in. przeze mnie, jako przedstawiciela Ad Army. Niestety, pan Jach, przewodniczący podkomisji i Komisji Obrony Narodowej, oświadczył, cytuję: „Żebyśmy przekazali swoje uwagi na maila lub gdzieś", co pokazuje, że w tym hurrapatriotycznym pośpiechu nie ma zainteresowania ze strony rządzącej poważną analizą technicznych rozwiązań prawnych. A przecież nie tylko intencje się liczą, powinno liczyć się przede wszystkim to, że prawo powinno być dobrze wprowadzone.

Jeśli chodzi o dostęp do broni dla obywateli, to nie wszyscy rozumieją, że prawo do broni wynika z prawa do życia, które mamy gwarantowane jako prawo przyrodzone w konstytucji. Nie ma prawa do życia, jeśli nie mamy prawa do obrony życia. Zmiany w zakresie dostępu do broni, zmiany w sensie obrony koniecznej i przekroczenia obrony koniecznej są niezbędne. Wiele osób w parlamencie się nad tym pochyla. Jednak istotny jest efekt, czyli czy to, co deklarują politycy, obojętnie, czy z opozycji czy ze strony rządzącej, rodzi skutek. Mam nadzieję, że ten skutek już niedługo zobaczymy w postaci różnych projektów, które trafią do opinii publicznej, bo w tej sprawie powinna odbyć się debata publiczna.

Ta debata powinna się odbyć, opierając się na dwóch kryteriach. Pierwszym kryterium jest to, żeby nikomu w niczym nie pogorszyć dostępu do broni, bo czasem są takie pomysły, żeby komuś ten dostęp poszerzyć, a komuś odebrać. Drugie kryterium, absolutnie kluczowe, sprowadza się do tego, na ile dany projekt daje dostęp do broni, która będzie bez pozwolenia i bez rejestracji, bo tylko taka broń w sytuacji zagrożenia wojennego jest bronią, której można użyć do obrony przed dezerterami czy zwykłym bandytyzmem, który szerzy się podczas wojny. A jak widzimy, teraz na Ukrainie rosyjskich dezerterów jest całkiem sporo.

Polacy są gotowi na niereglamentowany dostęp do broni?

Oczywiście, że tak. To jest przywrócenie prawa naturalnego. Jeżeli będziemy mieli dostęp do broni nierejestrowanej, bez pozwoleń, to nie będzie to wcale oznaczało jakiejś radykalnej anarchizacji, lecz powtórzę: przywrócenie prawa naturalnego, na co jesteśmy gotowi.

Nie musimy uciekać się do refleksji filozoficznej czy socjologicznej. Nie musimy odwoływać się do żadnych badań. Po naszej stronie są fakty. Od 2004 r. każda osoba w Polsce może kupić bez pozwolenia broń czarnoprochową, która ma zasięg skuteczny i celność taką samą jak broń współczesna, do tego jest od niej trudniejsza w obsłudze. Według różnych szacunków tej broni są setki tysięcy, w sklepach trudno ją kupić. Od kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, ludzie kupują ją masowo, nie w celu rekreacji, tylko obrony rodziny. Nie powinno być tak, żeby Polacy byli zmuszeni do posługiwania się bronią z czasów powstania styczniowego, kiedy nasi sąsiedzi Ukraińcy mają broń samoczynną rozdawaną przez własny rząd. My, jako fundacja, nie wzywamy do tego, żeby nasz rząd rozdawał broń, ale żeby rząd zlikwidował bariery, które stoją na przeszkodzie temu, żeby obywatele sami podjęli decyzję co do tego, w jaki sposób zapewnić bezpieczeństwo własnej rodzinie.

W ostatnim czasie w przestrzeni publicznej słychać głosy o potrzebie pilnego przywrócenia przysposobienia obronnego w szkołach. Czy powszechny dostęp do broni nie powinien być komplementarnym elementem krzewienia postaw proobronnych?

Obie te regulacje są potrzebne, ale należą one do innych porządków. Przysposobienie obronne to przygotowanie cywili do reagowania w sposób społeczny na zagrożenia. Chodzi o to, żebyśmy potrafili zakładać opatrunki, znali sygnały alarmowe, to wszystko wiąże się z odbudową obrony cywilnej. Chodzi o schrony, maski przeciwgazowe, a nie o fizyczną walkę. Natomiast broń w rękach cywili, to należy podkreślić, zgodnie z prawem wojennym absolutnie nie służy do walki z okupantem, lecz do obrony rodzin przed bandytami czy dezerterami. A tylko w krytycznych sytuacjach do obrony przed obcym okupantem, wtedy, kiedy łamie on prawo

eprasa.pl f1d71c1b92

wojenne i chce dokonać eksterminacji. Tak reguluje to prawo wojenne. Nawet w sytuacji wojny nie powinniśmy łamać praw wojennych, żeby społeczeństwo było bezpieczne. Wracając do pana pytania, należy natychmiast przywrócić przysposobienie obronne, bo ono jest konieczne z perspektywy społecznej i państwowej. Należy także natychmiast przywrócić praktyczne prawo do życia, czyli prawo do obrony. To ostatnia linia obrony rodzin, majątku, często życia w sytuacji, kiedy państwo znajdzie się w największym kryzysie, jakim jest wojna.

Nie kryje pan krytycyzmu wobec Ustawy o obronie Ojczyzny. Co według pana jest jej największym mankamentem?

Przede wszystkim jest sprzeczna z konstytucją. Obowiązki Wojska Polskiego rozpoznane są w niej w inny sposób niż w konstytucji. To bardzo poważny problem, który zignorowano. Nie ma żadnej reformy systemu kierowania i dowodzenia. W Polsce w wyniku przekształceń formalnoprawnych Ministerstwo Obrony Narodowej już nie nadzoruje ani nie kontroluje Wojska Polskiego, tylko dowodzi Wojskiem Polskim. Z perspektywy formalnoprawnej to minister jest dowódcą, a nie szef Sztabu Generalnego. To jest pomieszanie porządków – minister jest od nadzoru cywilnego, nie zaś od dowodzenia.

I rzecz kluczowa: jesteśmy w stanie zagrożenia wojennego, kiedy gospodarkę już powinniśmy przestawiać na tory wojenne, mając nadzieję, że do wojny nie dojdzie, powinniśmy przygotowywać mobilizację wojska, a nie zmieniać wszystkie akty prawne, które są podstawą prowadzenia wojny, przeprowadzenia mobilizacji, formalnymi podstawami działania Wojska Polskiego podczas kryzysu czy wojny. Takie duże zmiany, reformy, wręcz rewolucja zawsze na początku powodują pewne spory kompetencyjne. W sytuacji zagrożenia wojennego nie wolno sobie pozwolić na spory kompetencyjne. W związku z tym, nawet gdyby ta ustawa podpisana już przez prezydenta była najbardziej genialną ustawą dotyczącą obronności, jaką kiedykolwiek napisano na świecie, absolutnie nie wolno było jej w tej chwili przyjmować, bo wprowadza ona nieporządek. Utarte szlaki myślenia oparte na znanym ustawodawstwie zostały zerwane, są wprowadzane nowe, które muszą się dopiero dotrzeć w praktyce życia wojskowego, w relacjach pomiędzy władzą wykonawczą a siłami zbrojnymi.

Jak ocenia pan rozwiązanie zapisane w ustawie o przekazaniu w zarząd Banku Gospodarstwa Krajowego funduszu, który miałby finansować potrzeby zbrojeniowe Wojska Polskiego?

Jest to nadzwyczaj niebezpieczne z kilku powodów. Po pierwsze, jest to wyjście wydatków wojskowych spod kontroli sejmowej i Najwyższej Izby Kontroli. W związku z czym jest to złamanie zasad państwa prawa. Tego rodzaju oparcie się na obligacjach czy na funduszach jest bardzo proinflacyjne. Obecnie mamy już duży problem z inflacją, dołożenie do tego kolejnej presji inflacyjnej jest bardzo niebezpieczne. Taki model może być akceptowany, tylko jeśli jest zagrożenie wojenne. Natomiast ta sfera nie powinna być wyjęta spod kontroli sejmowej. To główna wewnętrzna sprzeczność Ustawy o obronie Ojczyzny. Jeśli mamy zagrożenie wojenne, to należy korzystać z tak ryzykownych instrumentów finansowych jak proponowany model zwiększenia budżetu wojskowego. Jeśli nie grozi nam wojna, to możemy dokonywać dużej ustrojowej reformy podstaw prawnych działania obronności i Wojska Polskiego. Ta ustawa łączy te dwie rzeczy, czyli robi rewolucję ustrojową podstaw prawnych działania Wojska Polskiego, tak jakbyśmy nie byli zagrożeni wojną, i zakłada finansowanie wojska w sposób, z którego powinno się korzystać wyłącznie podczas zagrożenia wojennego. Ta niespójność jest zadziwiająca. Ustawodawca powinien się zdecydować, czy mamy zagrożenie czy nie.

Jeśli przyjmiemy, że zagrożenie wojną jest całkowicie realne, jak porównałby pan potencjał obronny Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r. z obecnym potencjałem naszej armii?

Pomimo wielu wad, które miała sanacja, i wielu błędów popełnionych w przygotowaniach państwa do obrony kraju w latach 30. minionego wieku należy podkreślić, jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć, że dysponowaliśmy jedną z lepszych armii tamtej epoki. Pomimo tego we wrześniu 1939 r. przegraliśmy wojnę straszliwie. Była to największa klęska w dziejach państwa polskiego. Wystawiliśmy wtedy 40 dywizji, 11 brygad kawalerii, dziesiątki batalionów obrony terytorialnej. Ta siła stawiała nas w pierwszej szóstce armii lądowych na świecie. Zostaliśmy pokonani przez największe mocarstwo lądowe na świecie, które miało w sojuszu drugie mocarstwo lądowe na świecie. To tak, jak gdyby dziś ktoś walczył jednocześnie z Chinami i ze Stanami Zjednoczonymi. Nasza armia wtedy naprawdę się liczyła. Wyposażenie w broń przeciwpancerną było akceptowalne co do jakości i ilości. Wyposażenie przeciwlotnicze szwankowało, lotnictwo szwankowało. Jednak dywizje ogólnowojskowe były wyszkolone i wyposażone bez wstydu, na standardzie europejskim i światowym.

Dzisiaj mamy armię, która jest wewnętrznie sprzeczna. Jest od ponad 10 lat zawodowa, ale na czas wojny mobilizowana z rezerwistów, których od ponad 10 lat nie szkolimy. Przez siedem lat, z wyjątkiem artylerii, właściwie nic się nie zmieniło na lepsze. Mamy o siedem lat starsze czołgi, o siedem lat starszą amunicję, o siedem lat starsze BWP-y. Nie przeprowadzono próbnej mobilizacji nawet w jednej brygadzie przez ostatnie 10 lat. Żaden z dowódców dywizji nie wyprowadził nigdy w ciągu swojej kariery całej swojej dywizji na poligon, na etacie wojennym. Mamy olbrzymie braki, ok. sześciu razy za mało broni przeciwpancernej, a jak ona jest ważna, widać dzisiaj na Ukrainie. Co gorsza, nikt nam nie podaruje tej broni przeciwpancernej, wszystko, co było wolne w magazynach w Europie, poszło już na Ukrainę. Tysiące granatników przeciwpancernych, które za darmo otrzymali Ukraińcy, to są tysiące granatników, których nie ma już w zapasach sojuszników. A my mamy rażące braki w broni przeciwpancernej.

Jedyną rzeczą, która się rozwinęła w czasie rządów PiS, są Wojska Obrony Terytorialnej, przy czym są one wadliwie skonstruowane. Struktura batalionów jest błędna. Użycie takiej lekkiej piechoty planowane jest na poziomie kompanii, nie na wyższym poziomie, na poziomie brygad, jak to jest na Ukrainie. Licząc najważniejsze środki przeciwpancernej lekkiej piechoty, czyli pancerne pociski kierowane (ppk), w stosunku do etatów, które występują w lekkiej piechocie naszego najważniejszego sojusznika, czyli armii USA, WOT ma jej 16 razy za mało!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Hoga – (ur. 1979) inicjator i prezes fundacji Ad Arma. Fundacja działa na rzecz poszanowania prawa i wolności obywatelskich, promuje prawo do posiadania broni. Drugim obszarem jej aktywności jest rzetelne informowanie o rzeczywistych możliwościach obronnych państwa polskiego. Jacek Hoga jest autorem książek „Do broni!" oraz „Dzieci i broń".

eprasa.pl f1d71c1b92

Gdzie się schronimy?

Łukasz Zboralski

Jeśli mielibyśmy tak jak Ukraińcy szukać w miastach schronienia przed bombami, to nie będzie łatwo. W Polsce mamy obiekty dla niecałych 3 proc. ludności. Większość latami popadała w ruinę

Mimo naszych wyobrażeń o nowoczesnych wojnach okazało się (przynajmniej na razie), że wojna na Ukrainie jest tam samo konwencjonalna jak wcześniejsze. Nadal żołnierze jadą czołgami i wozami bojowymi, strzelają z karabinów, moździerzy. Wciąż korzystają też z artylerii, samolotów i wyrzutni rakiet do ostrzału przeciwnika.

Patrząc na zniszczony Charków i ocalonych chowających się w podziemiach metra czy zgliszcza Mariupola, nie sposób nie zacząć się zastanawiać, czy w Polsce jesteśmy przygotowani na chronienie ludności cywilnej.

Gdzie mogliby uciec ludzie mieszkający w polskich blokowiskach? Gdzie mogliby biec ci, którzy dziś zdają sobie sprawę z tego, że mają wprawdzie własne domy, segmenty, ale przecież nie zbudowali sobie piwnicy?

Do tej pory takich pytań sobie nie zadawaliśmy. No może nie wszyscy, bo np. w 2014 r. poseł PiS Jarosław Zieliński pytał właśnie o to rząd w swojej interpelacji. Zwracał uwagę, że „przez ostatnich sześć lat rząd zapewniał, że Polska nie potrzebuje żadnego scenariusza na ostry kryzys bądź agresję ze strony sąsiadów, a w szczególności Rosji, bo kraj ten staje się coraz bardziej cywilizowany, a stosunki polsko-rosyjskie są wyjątkowo dobre i gwarantują nam współpracę i bezpieczeństwo". Jasno dawał do zrozumienia, że niedobory w obronie cywilnej i pewna beztroska państwa mogą kiedyś srodze się na nas zemścić. Zieliński wyliczał już wtedy, że w skali całego kraju miejsca czasowego pobytu zapewniono tylko dla 2,1 mln osób. A istniejące wówczas schrony i ukrycia zapewniały ogółem zaledwie 4,37 proc. miejsc ochrony w skali kraju. „Z czego wynika, że w przypadku konfliktu zbrojnego jedynie co dwudziesty piąty Polak będzie mógł liczyć na miejsce w budowli ochronnej" – wytykał.

Jak jest po ośmiu latach? Jeszcze gorzej. Z ostatniego dokumentu, który podsumowuje m.in. liczbę budynków ochronnych w Polsce, wynika, że w tej sprawie do dziś tkwiliśmy w naiwnym przekonaniu, iż akurat tego tematu dotykać nie trzeba. Niech sobie leży. Odłogiem.

Ten sam poseł PiS Jarosław Zieliński – tym razem już jako sekretarz stanu w MSWiA – akceptował dokument „Ocena przygotowań w zakresie ochrony ludności i obrony cywilnej w Polsce za 2017 r.". Czytamy w nim, że obecnie w Polsce znajdują się 39 892 budowle ochronne, w których schronić mogłoby się 1 091 486 rodaków. Czyli w razie niebezpieczeństwa zapewniamy schronienie dla 2,84 proc. Polaków i niewiele odbiega to od stanu z lat poprzednich. Żadnych nowszych danych nie otrzymałem. Gdy prosiłem o nie Komendę Główną Państwowej Straży Pożarnej – w jej strukturach jest Szef Obrony Cywilnej Kraju – przysłano mi jedynie urzędowe wytyczne dotyczące miejsc ochrony wyznaczone w 2018 r. Żadnej liczby miejsc, żadnego spisu.

eprasa.pl f1d71c1b92

Jeden z największych schronów jest w Szczecinie. Od lat służy jednak za atrakcję turystyczną FOT. ŁUKASZ SZEŁEMEJ/EAST NEWS

Dlaczego tak jest? Bo – mimo alarmów sprzed lat – nic nie zrobiono m.in. z przepisami w tym zakresie. W dokumencie zauważono, że brakowało definicji schronów oraz ukryć i parametrów technicznych, jakie powinny spełniać budowle ochronne. W dodatku w związku z tym, że brakuje przepisów dotyczących norm, spis budowli ochronnych przekazywany przez samorządy może w ogóle nie odzwierciedlać rzeczywistości.

ATRAKCJE ZAMIAST OCHRONY

Jednym z powodów – oprócz braku jasnych przepisów – były oczywiście pieniądze. W 2017 r. wydziały bezpieczeństwa i zarządzania kryzysowego urzędów wojewódzkich alarmowały, że mimo większych niż w poprzednich latach nakładów na utrzymanie, konserwację i budowę obiektów ochronnych są to wciąż środki zbyt małe. W związku z tym degradacja takich budynków postępuje.

Próbowaliśmy dowiedzieć się, jak wygląda to w konkretnych miejscach – większych miastach, bo to tam podczas działań wojennych ochrona ludności cywilnej jest największym wyzwaniem. Dane podał nam tylko Poznań.

– Obecnie na terenie całego Poznania usytuowanych jest 436 budowli ochronnych oraz 34 ukrycia przeciwlotnicze. 97 budowli ochronnych zlokalizowanych jest na terenach zakładów pracy i mogą pomieścić 10 189 osób – informuje „Do Rzeczy" Michał Lemański, zastępca dyrektora Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Bezpieczeństwa Urzędu Miasta Poznania. – 339 obiektów jest przeznaczonych dla pozostałej ludności i mogą pomieścić 39 255 osób. Ponadto do ochrony ludności mogą być wykorzystane obiekty infrastruktury drogowej, tunele i przejścia podziemne, w liczbie 21 obiektów – wylicza. Oznacza to, że na pewno w Poznaniu mogłoby się dziś schronić ok. 50 tys. osób. To zaledwie niecałe 10 proc. obecnej liczby mieszkańców miasta. Tymczasem w wytycznych Szefa Obrony Cywilnej w kraju z dnia 4 grudnia 2018 r. w sprawie zasad postępowania z zasobami budownictwa ochronnego takie obiekty powinny zapewniać schronienie co najmniej dla 25 proc. ogółu ludności zameldowanej na obszarze administracyjnym danego miasta.

Warszawa nawet nie kryje, że nie wie, ilu mieszkańców i gdzie mogłoby się schronić. „Informuję, że Urząd m.st. Warszawy nie prowadzi ewidencji budowli ochronnych. W polskim systemie prawnym od 1 lipca 2004 r. nie ma zdefiniowanego pojęcia budowli ochronnej (schronu i ukrycia), a zatem żaden podmiot nie jest zobowiązany do prowadzenia ich ewidencji, konserwacji czy też planowania użycia" – odpisała nam na pytania Marlena Salwowska z Wydziału Prasowego Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy.

Czy podobnie jak w Kijowie i Charkowie podziemne stacje warszawskiego metra mogłyby dać schronienie ludziom? Prawdopodobnie tylko niektóre z nich, ponieważ ze względu na koszty tylko na odcinku od stacji Kabaty do stacji Wierzbno są szczelne wrota oraz systemy filtracyjne.

Jeszcze inaczej wygląda sprawa ze schronami, które były tak planowane, by wytrzymać uderzenie nuklearne. Czy w ogóle takie mamy? Gdy pytałem o to Ministerstwo Obrony Narodowej, odesłano mnie do Szefa Obrony Cywilnej Kraju. A gdy dopytywałem, czy są takie miejsca przeznaczone dla wojskowych, odpowiedzi nie dostałem wcale.

Wiadomo, że jeszcze w PRL budowano w Puszczy Kampinoskiej schron – Atomową Kwaterę Dowodzenia, oznaczoną oficjalnie jako „Kompleks nr 7215". Jednak pracę nad nią wstrzymano w latach 80. Potem latami popadała w ruinę, a dotychczasowe wyposażenie rozkradano. Obecnie nocują tam nietoperze, a obiekt nie jest udostępniony cywilom.

Duży schron jest w Szczecinie. To spadek po Niemcach, którzy wybudowali go tam w trakcie drugiej wojny światowej. Potem wzmocniono go tak, by mógł wytrzymać uderzenie bomby nuklearnej. Od ośmiu lat wykorzystywany jest jako atrakcja turystyczna z dwiema trasami do przemierzania.

Schron przeciwatomowy ma też m.in. Bydgoszcz. To obiekt położony pod niepozornym domkiem jednorodzinnym, który swego czasu nabyła katolicka szkoła. Nie ma w nim już żadnych urządzeń, czasem można go zwiedzać. Według planu z 1958 r. w razie ataku miało tam zmieścić się 70 osób miejskiej administracji.

Pięć lat temu szacowano, że w całej Bydgoszczy jest ok. 21 schronów, w których mogłoby się pomieścić ok. 2,5 tys. mieszkańców. Wystarczyłoby więc miejsca zaledwie dla 7 proc. z nich.

Owszem, w kraju jest dziś też wiele budynków, które mają np. podziemne parkingi. I teoretycznie tam też można by się schować. Z jednym zastrzeżeniem – musi istnieć choć kilka wyjść z takich podziemi. Przy jednym chowanie się tam to ryzyko, że nie uda się wyjść spod gruzów.

CZY OGŁOSIMY ALARM?

Żeby móc skorzystać ze schronów, których jest w Polsce dramatycznie mało, trzeba najpierw wiedzieć, że istnieje taka konieczność. Powinniśmy być o tym ostrzeżeni za pomocą sygnałów alarmowych.

Tymczasem – znów wróćmy do dokumentu z 2017 r. – województwa raportowały, że systemy ostrzegania są przestarzałe, w związku z tym wciąż nękają je awarie. Poważną wadą są syreny zasilane z sieci energetycznej trójfazowej. Wystarczy awaria czy uszkodzenie sieci energetycznych, by syreny elektromechaniczne nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Powinno się je wymienić na systemy elektroniczne, które dysponują zasilaniem rezerwowym. Na takim zasilaniu mogą pracować do 30 dni od momentu odcięcia dopływu energii. To czemu ich nie mamy? Bo… to oczywiście kosztuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Tomasz Rowiński

Właściciele sal w popłochu odmawiają udostępnienia ich Wojciechowi Cejrowskiemu na jego trasę ze stand-upem. Dali się nabrać na spreparowany skandal z rzekomo proputinowską wypowiedzą publicysty

Nieudane kasowanie Cejrowskiego

Trwa nagonka mediów na Wojciecha Cejrowskiego. Kolejni dziennikarze i content workerzy gazet oraz portali internetowych – mniej lub bardziej poważnych – atakują znanego pisarza za rzekomo proputinowską wypowiedź. Miała się ona pojawić na YouTube w opublikowanym tam 3 marca odcinku „Radiowego Przeglądu Prasy".

Rozpętał się spory skandal i teatry oraz właściciele sal widowiskowych zaczęli odmawiać Cejrowskiemu udostępniania swoich miejsc na spotkania z fanami. Tymczasem akurat na marzec publicysta zaplanował pierwszą od trzech lat trasę ze stand-upowym programem.

ZNIKNIĘCIE Z RADIA I Z ŁODZI

Operacja przeciw Cejrowskiemu została zręcznie spreparowana. Pojawiające się w Internecie cytaty budzą oburzenie części publiczności, ale przede wszystkim wywołują przerażenie różnych decydentów, którzy nie chcą – ze zrozumiałych względów – z Putinem mieć nic wspólnego. Może nawet ostatecznie i ja dałbym się na tę ustawkę nabrać, gdybym nie zrobił rzeczy najprostszej na świecie, czyli po prostu nie odsłuchał postponowanej audycji. Można sądzić, że „Gazeta Wyborcza", która sprawę rozdmuchała, na to właśnie musiała liczyć – ludzie mediów po prostu coraz rzadziej sięgają do źródeł, a najchętniej kopiują to, co ktoś wcześniej z dobrą lub złą wolą przygotował. A odbiorcy? W natłoku informacji nie są w stanie sprawdzić wszystkiego i dlatego łatwo grać na ich resentymentach czy utrwalonej wrogości. A grono ludzi sobie niechętnych Wojciech Cejrowski ma całkiem liczne i to od lat.

Na dziś wiemy, że presji medialnego wzburzenia nie uległy media, z którymi Cejrowski do tej pory regularnie współpracował. Choć audycje publicysty zniknęły w ostatnim czasie zarówno z Trójki, jak i Radia Wnet, to w stacji Krzysztofa Skowrońskiego Wojciech Cejrowski jest ponownie obecny od 21 marca. Portal Wirtualnemedia.pl zamieścił komentarz, który w sprawie wydało Polskie Radio: „Polskie Radio jako instytucja o charakterze strategicznym od momentu agresji militarnej Rosji na Ukrainę skupia swoje działania na przekazywaniu społeczeństwu rzetelnych, obiektywnych i bieżących informacji. Redakcje Polskiego Radia już kilka minut po wkroczeniu wojsk rosyjskich na terytorium Ukrainy w czwartek 24 lutego nad ranem złamały ramówki i rozpoczęły emisję audycji specjalnych". Polskie Radio nie odpowiedziało jednak, czy będzie dalej współpracować z Cejrowskim. Od Wojciecha Cejrowskiego otrzymałem informację, że dyrekcja Trójki zapewnia, że powrót jego audycji nastąpi 2 kwietnia. 26 marca antena ma być zajęta jeszcze przez relacje z wizyty Joe Bidena w Polsce.

Można trochę zrozumieć nadawców, ponieważ niektóre z liberalnych mediów rzeczywiście wytoczyły najcięższe działa. Wobec Cejrowskiego pojawiły rytualne obelgi w nadmiarowej liczbie: „ksenofob", „homofob", „mizogin", „usprawiedliwiacz Putina". Przygotowano także petycję – jak się okazało, skuteczną – przeciwko zakontraktowanemu już występowi Cejrowskiego w łódzkim Teatrze Jaracza. W sprawę zaangażował się znany pisarz i niemal równie znany hejter, aktywista

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

politycznego ruchu homoseksualnego Jacek Dehnel. „Drodzy, Teatr Jaracza w Łodzi chce zrobić szoł Cejrowskiego, homofoba i mizogina, ostatnio kolportującego rosyjską propagandę o tym, że wojnie winni są ci, którzy »prowokowali Putina«. Podpiszcie i podajcie dalej" – napisał w mediach społecznościowych Dehnel, udostępniając tekst petycji.

CO NAPRAWDĘ POWIEDZIAŁ?

A co tak naprawdę powiedział Wojciech Cejrowski w swojej audycji? Każdy, kto faktycznie wysłuchał jego wypowiedzi, łatwo zrozumie, że miała ona zdecydowanie krytyczny wobec Rosji charakter. Publicysta krytykował np. mentalność sowiecką. To, co zostało przez niektóre media przedstawione jako „rosyjska propaganda", było niczym więcej jak referowaniem – krytykowanego przecież przez Cejrowskiego – rosyjskiego stylu myślenia o polityce.

„Od wielu lat obserwowałem, jak on [Putin] się – z punktu widzenia Rosji – denerwuje tym, że Ukraina miała być neutralna [...], kiedy Ruscy byli bardzo słabi – i w cudzysłowie mówię – oddali Polskę w ręce NATO i republiki nadbałtyckie w ręce NATO, to wtedy padały ostre hasła: »Ale już ani kroku dalej [...], utrzymujemy równowagę, ale proszę mi się już więcej nie przysuwać«".

Podobny zresztą charakter ma drugi, najczęściej chyba przywoływany fragment wypowiedzi Wojciecha Cejrowskiego: „Myśmy kandydaturę Ukrainy do NATO i do Unii popierali, wciągaliśmy Ukrainę do europejskiej strefy wpływów, a nie zostawiliśmy jej neutralną. Ukraina wysyła sygnały »chcemy do NATO« i Polska pakuje się w taką narrację, popiera te pomysły ukraińskie. Putin to słyszy i myśli: Ukraina zgłasza akces, a jeden z członków NATO, Polska, i kilka innych pchają Ukrainę w tym kierunku. Polska przecież to robiła przez wiele lat, na Majdanie nasi politycy byli i wciągali Ukrainę do europejskiej strefy wpływów, a nie zostawiali ją neutralną".

W niektórych tekstach podkreślano, że Cejrowski użył wyrażenia „Polska pakuje się" mogącego mieć pejoratywny wydźwięk. Nie wiadomo jednak, czy był to wyraz poglądów pisarza czy zwykły kolokwializm, jakich dość często używa. Jedno można powiedzieć – nawet jeśli był to wyraz poglądów, krytyczny stosunek do polskiej polityki wschodniej, wyrażany w ostatnich dekadach przez wielu autorów od prawa do lewa, to nie oznacza to poparcia dla Putina.

Gdy słucha się „Radiowego Przeglądu Prasy", a nie tylko czyta odpowiednio podane przedruki cytatów, sprawa tych wypowiedzi jest naprawdę prosta. Zdaniem Putina „wcielenie Ukrainy do Unii Europejskiej to też jest zagrożenie dla Rosji" i dlatego „nic dziwnego, że Putin wjechał, żeby zabezpieczyć swoje przody i tyły". Każdego z czytelników zachęcam, by się przekonał i sam wyrobił sobie opinię.

WYSTĘPY TRWAJĄ

Zostawmy jednak już te cytaty, jest oczywiste, że do rozkręcenia tak dętego skandalu musiała pojawić się konkretna wola działania. Sprawa ma jednak swoje tragikomiczne ciągi dalsze. Wojciech Cejrowski na oskarżenia postanowił zareagować i napisał krótkie oświadczenie w mediach społecznościowych: „Kto twierdzi, że gdy objaśniam, jak myśli Putin, to jednocześnie popieram mordercę, ten jest głupi. Od dziecka jestem rusofobem – nie lubię Ruskich ani prywatnie, ani publicznie. Rosja to wróg RP zawsze. WC USPRAWIEDLIWIA PUTINA. Nie usprawiedliwia, lecz objaśnia motywy. Tego najazdu nie da się usprawiedliwić. PS A co do Putina, to moim zdaniem doprowadził do takiej sytuacji, że teraz pójdzie dalej". Ten wpis został jednak zablokowany jako „naruszający standardy społeczności Facebooka". – Występy mam zdjęte z powodu miłości do Putina, a wpis o niechęci do Putina mam zdjęty z powodu niechęci do Putina – podsumował tę sytuację Cejrowski na swoim vlogu.

Na tym sprawa się nie skończyła. W kolejnych dniach ruszyła swoista gra w kotka i myszkę. Różne media ogłaszały triumfalnie, że stand-upy w jednym czy drugim mieście się nie odbyły, ponieważ doszło do wymówienia lokalu. Chwilę potem Wojciech Cejrowski w mediach społecznościowych informował, dodając do tego zdjęcie, że owszem, odbyły się i że w ogóle wszystkie występy, które były zaplanowane, miały miejsce, tylko w innych przestrzeniach. Warto dodać, że stand-upy pisarza nie mają charakteru politycznego – jak mogłoby wynikać z kontekstu sprawy – ale podróżniczo-anegdotyczny.

Jest jeszcze jeden wątek, który trzeba zauważyć i który wskazuje, że akcja przeciwko Cejrowskiemu miała charakter planowy i intencjonalny. Sam zainteresowany relacjonował, że do jego menedżera zadzwoniła dziennikarka „Gazety Wyborczej", by wymusić na nim zerwanie współpracy z podróżnikiem pod groźbą, że i o jego firmie zostanie w Michnikowym medium coś źle napisane. Przy okazji wyszły na jaw dwie informacje – dziennikarka nie wiedziała, że stand-upy nie mają charakteru politycznego, a można odnieść wrażenie, że plotka ta była jednym z fundamentów nakręcania zaangażowania przeciwko Cejrowskiemu. Nie była też świadoma, że występy, które kasowali definitywnie w swoich artykułach, szybko przenoszono w inne miejsca.

Podsumowując, można powiedzieć, że media zrobiły Wojciechowi Cejrowskiemu ogólnopolską i darmową akcję promocyjną. Patrząc na mobilizację publiczności w mediach społecznościowych, na pełne sale i kpiarski klimat medialnej partyzantki, którą zarządził WC, nadęte miny liberalnych kołtunów wydają się zabawne. Mniej sympatyczny wniosek jest inny – autor o mniejszej renomie i mniejszym przebiciu mógłby rzeczywiście zostać po prostu zniszczony przez hunwejbinów cancel culture. Oni grają bowiem śmiertelnie poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Piotr Gociek

Oscary

Naprawdę dobrych filmów, spośród których przyszło nam wybierać w tym roku, jest bardzo mało. Kino wciąż nie wyszło z pandemicznego spowolnienia

To nie tekst dla bukmacherów, bo moim celem nie jest odgadnięcie zawczasu werdyktów członków amerykańskiej Akademii Filmowej. To mój tradycyjny, doroczny, subiektywny przegląd kinowych nowości minionego roku wraz z próbą oceny. Ale w ramach wyznaczonych przez oscarowe nominacje. Powiedzmy też wprost – w tym roku bardziej od tego, komu przypadną statuetki, ciekawe jest to, czy ktoś będzie miał na tyle odwagi i oleju w głowie, by powiedzieć ze sceny kilka słów prawdy o zbrodniarzu wojennym Władimirze Putinie. Stawiam raczej na strumień nic nieznaczących ogólnych frazesów o tym, że wojna jest zła.

I po raz pierwszy w życiu zawołam: Trzeba nam więcej takich jak Sean Penn! Przypomnijmy: ten dwukrotny zdobywca Oscara od jesieni ubiegłego roku kręcił na Ukrainie film dokumentalny o rosyjskiej agresji. Już wtedy odwiedzał oddziały frontowe, był w schronach i okopach, a po ataku Rosji z 24 lutego rozmawiał w Kijowie m.in. z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Potem z falą uchodźców dotarł do granicy z Polską, część drogi pokonując – tak jak oni – na własnych nogach, gdy z powodu zablokowanych samochodami dróg trzeba było iść poboczem. Za swoją nową kwaterę główną Sean Penn obrał Kraków, gdzie jego fundacja zatrudnia już pracowników i wolontariuszy, zapowiadając m.in. odnowienie 50 pustostanów dla uchodźców. Znany aktor i reżyser poprzez CORE, której jest założycielem i prezesem, zdołał już zgromadzić na pomoc dla Ukraińców duże pieniądze.

Tak oto rzeczywistość pokazuje właściwe miejsce w szeregu innym przedsięwzięciom. I Sean Penn, chwaląc serce i gościnność Polaków oraz heroizm Ukraińców, nie opowiada dziś o tym, co będzie w jego filmie, tylko o tym, jak bardzo potrzebna jest dalsza pomoc. Czy reszta branży podczas 94. ceremonii wręczenia Oscarów będzie potrafiła wezwać choć do zrzutki przy czerwonym dywanie?

POLSKIE TROPY

W kategorii najlepszy fabularny film krótkometrażowy nominowany jest film Tadeusza Łysiaka „Sukienka", obsypywany wcześniej na międzynarodowych festiwalach rozmaitymi nagrodami, najświeższa to laur podczas Brussels Independent Film Festival (najlepsza krótka fabuła). Dwudziestoośmioletni reżyser to student reżyserii w Warszawskiej Szkole Filmowej („Sukienka" jest etiudą studencką), prywatnie syn Tomasza Łysiaka, pisarza, publicysty i scenarzysty, oraz wnuk jednego z najpopularniejszych polskich autorów – Waldemara Łysiaka.

Polski weteran w Hollywood, znakomity operator Janusz Kamiński otrzymał w tym roku swoją siódmą oscarową nominację w kategorii „najlepsze zdjęcia". Dwie nagrody już zdobył, za zdjęcia do „Listy Schindlera" i „Szeregowca Ryana". Kamiński to niemal etatowy współpracownik Stevena Spielberga, nic więc dziwnego, że tegoroczna oscarowa szansa także związana jest z filmem twórcy „Szczęk" – chodzi o zdjęcia do nowej wersji musicalu „West Side Story", właśnie w reżyserii Spielberga.

Spoglądam na listę nominowanych – będzie ciężko. Przynajmniej dwa filmy zdają się mieć o wiele większe szanse na statuetkę. To „Diuna" ze zdjęciami Greiga Frasera oraz „Psie pazury" ze zdjęciami Ari Wegner. Moim zdaniem na Oscara zasługują oboje wymienieni twórcy, ale gdybym miał wybierać osobiście, postawiłbym na „Diunę". Za montaż wyróżniam Hanka Corwina pracującego przy filmie „Nie patrz w górę". Film słaby, ale robota Corwina godna uwagi. Podobnie, jeśli chodzi o kostiumy – to pamiętajmy, że oceniamy pracę danego fachowca, a nie jakość filmu jako takiego. Mój głos wędruje zatem na „Cruellę", opowieść amoralną i niezbyt mądrą, ale jeśli chodzi o kostiumy – zachwycającą.

Najlepsza muzyka? Moim zdaniem kompozycje Hansa Zimmera do „Diuny",

eprasa.pl f1d71c1b92

Kadr z filmu „Psie pazury"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

subiektywnie

bardzo ciekawy soundtrack z licznymi odwołaniami do klasyki Hollywood. Akademia, jak podejrzewam, będzie chciała wyróżnić Germaine Franco za disnejowskie „Nasze magiczne Encanto". Ta sama Akademia zapewne nagrodzi Lina-Mauela Mirandę za najlepszą piosenkę oryginalną „Dos Oruguitas" właśnie z „Naszego magicznego Encanto". Mnie najbardziej podobał się utwór Vana Morrisona do filmu „Belfast", czyli „Down to Joy"

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Wspomniane „Nasze magiczne Encanto" ma największą szansę na Oscara w kategorii najlepszy film animowany. Konkurencja nie jest zbyt wielka: „Luca", „Raya i ostatni smok", „Flee" (to propozycja dla dorosłych), „Mitchellowie kontra maszyny". Brak tu propozycji szczególnie oryginalnej, odmiennej od hollywoodzkiej sztampy (pomijając „Flee"). Stawiam więc na efekt „wow!", a ten towarzyszył mi jedynie podczas oglądania filmu „Raya i ostatni smok". Ta disnejowska baśń, wywiedziona z podań ludowych, mitów i legend ludów Azji Południowo-Wschodniej, jest moim zdaniem w powyższym towarzystwie okazją do największej uczty dla oczu.

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

Tu liczą się tak naprawdę dwa tytuły: „To była ręka Boga" Paola Sorrentina oraz „Drive My Car", którego reżyserem jest Ryûsuke Hamaguchi. Dwie inne propozycje niekoniecznie zasługują na znalezienie się w tym gronie (duński animowany „Flee", norweski „Najgorszy człowiek na świecie"), piąty konkurent mocno nie pasuje, bo to kino artystyczne i mało oscarowe (birmański „Lunana: A Yak in the Classroom").

Czy nagrodzić twórcę wyróżnionego już Oscarem? Paolo Sorrentino w swej autobiograficznej opowieści o Neapolu nie przebija poziomu „Wielkiego piękna". Osobiście zauroczony jestem filmem „Drive My Car" Hamaguchiego, delikatnym, pełnym niedomówień, chwilami trudnym do rozwikłania (przenikają się nitki różnych opowieści), ale ta ekranizacja opowiadania Harukiego Murakamiego zasługuje moim zdaniem na najwyższe uznanie. Sądzę, że tu akurat Akademia może podzielić mój zachwyt, bo Hamaguchi zbierał też świetne recenzje za swój poprzedni film „W pętli ryzyka i fantazji". Jest więc okazja, by wyróżnić nie tylko „Drive My Car", lecz także przy okazji wskazać mocno na bardzo ważne, nowe nazwisko w świecie filmu.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Im bliżej najważniejszych oscarowych kategorii, tym większa bieda. Jako się rzekło, grono filmów wybijających się ponad przeciętność jest w tegorocznym zestawie niewielkie. Widać, że członkowie Akademii Filmowej dobierali z niższej półki, żeby wypełnić wymaganą liczbę miejsc. W kategoriach aktorskich, jak sądzę, moje oceny będą odbiegały najbardziej od werdyktu oficjalnego. A to dlatego, że w odróżnieniu od mieszkańców Hollywood mogę sobie pozwolić na zignorowanie czynników pozaartystycznych, więc od razu stwierdzić,

eprasa.pl f1d71c1b92

że nominacje dla Ariany DeBose za drugoplanową rolę żeńską w „West Side Story" uważam za absurdalną, podobnie jak dla Aunjanue Ellis za występ w filmie „King Richard. Zwycięska rodzina". Co więcej, mam je za rasistowskie – bo kiedy wyróżniamy kogoś nie za rzeczywiste dokonania, lecz z powodów kwotowych (a takie mam tu podejrzenia), to mowa po prostu o rasizmie.

Kirsten Dunst w „Psich pazurach" jest świetna, Jessie Buckley w „Córce" – poruszająca, ale moje serce skradła dama Judi Dench występem w „Belfaście" Kennetha Branagha.

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

„Psie pazury" pełne są znakomitych aktorskich kreacji, więc nie dziwi mnie nominacja dla Jessego Plemonsa, natomiast Troy Kotsur za film „CODA" dostał swoją nieco na wyrost. J.K. Simmons jest jak zwykle bardzo dobry w „Lucy i Desi" (choć film nędzny i tendencyjny), ale to jednak nie poziom oscarowy. Wybór jest, moim zdaniem, między doświadczonym aktorem charakterystycznym Ciaránem Hindsem w filmie „Belfast" a młodym Kodim Smit-McPheem w „Psich pazurach". Ten ostatni w mojej opinii zasługuje na Oscara, jego kreacja jest hipnotyzująca, wielowarstwowa, niezwykła. To niesamowite, jaką rękę do aktorów ma Jane Campion – pod jej ręką aktor znany wcześniej z filmów głupawych i czysto rozrywkowych pokazał olbrzymi talent. Inna sprawa, że pamiętamy go też z filmu „Droga" wedle prozy Cormaca McCarthy'ego – tam wypadł dobrze, fakt, ale potem mocno spuścił z tonu, teraz Campion uświadamia nam – i jemu samemu – skalę jego talentu.

NAJLEPSZA AKTORKA

Teraz będzie jeszcze trudniej, bo w kategorii najlepsza aktorka mamy w tym roku głównie nominacje dla kreacji dobrych lub przyzwoitych. Spójrzmy: Jessica Chastain w „Oczach Tammy Faye", Penélope Cruz w „Matkach równoległych", Nicole Kidman w „Lucy i Desi" (chyba tylko za dawne zasługi i ogólną słuszność drewnianego dramatu Aarona Sorkina), Kristen Stewart jako księżna Diana w dramacie „Spencer" (bardzo dobra, ale nie wybitna).

Nad tą gromadką góruje kreacja Olivii Colman w „Córce". To niewiarygodne, jak wielki talent i zrozumienie dla swoich postaci pokazuje od kilku lat Colman. Po świetnej „Faworycie" (za występ w tym filmie dostała Oscara) była przecież nominacja za rolę w dramacie „Ojciec", teraz dostajemy następną rolę, po której ręce składają się do oklasków. Akademia Filmowa nie lubi nagradzać kolejnym Oscarem tych, którzy niedawno go otrzymali, więc nie dziwi mnie, że faworytką bukmacherów jest Jessica Chastain. Ale ja mogę gwizdać na Akademię i ogłaszam – nie było w 2021 r. wśród oscarowych nominacji kreacji wybitniejszej niż ta Olivii Colman w „Córce".

O zdecydowanej większości filmów nominowanych w tym roku do Oscara zdążymy zapomnieć, nim wakacje rozpoczną się na dobre

NAJLEPSZY AKTOR

Javier Bardem w „Lucy i Desi", Andrew Garfield w „Tick, Tick... Boom!", Will Smith w „King Richard. Zwycięska rodzina", Denzel Washington w „Tragedii Makbeta" i kłopot podobny jak w poprzedniej kategorii: nadmiar przeciętności, z wyjątkiem roboty Washingtona w roli Makbeta. Na szczęście mamy w zanadrzu tegorocznego oscarowego rekordzistę, bo „Psie pazury" Campion nominowano – nie bez powodu – w 12 kategoriach. Jedną z nich jest także kategoria najlepszy aktor. I bardzo dobrze, bo Benedict Cumberbatch był w tym filmie fenomenalny.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Mowa moja będzie krótka – trio Jon Spaihts, Denis Villeneuve i Eric Roth za „Diunę". Bardzo trudno jest przekładać powieść Franka Herberta na język filmu (pamiętamy kłopoty Davida Lyncha oraz twórców adaptacji telewizyjnej), tymczasem Villeneuve i jego kompania dokonali rzeczy niezwykłej – zauroczyli tą opowieścią nie tylko tych, którzy powieści nigdy nie czytali, lecz także tych, którzy w ogóle fantastykę mają w nosie. Wielkie brawa!

Dlaczego nie Ryûsuke Hamaguchi i Takamasa Oe za „Drive My Car"? Wszak chwaliłem opowieść za kunszt i finezję? Ano dlatego, że to nie była typowa adaptacja utworu literackiego, twórcy pożyczyli sobie też wątki z innych dzieł Murakamiego, zatem bardziej była to twórcza kompilacja na motywach niż adaptacja.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

Szybka selekcja negatywna: „Nie patrz w górę"? Do kosza. „King Richard. Zwycięska rodzina"? Banał. „Najgorsza osoba na świecie"? OK, ale Joachim Trier ma jeszcze najlepsze scenariusze i filmy przed sobą, nie ma się co śpieszyć z pochwałami. Zostaje dwóch bardzo poważnych kandydatów. Świetny jest scenariusz do „Licorice Pizza" Paula Thomasa Andersona. Boję się, że autor „Magnolii" i „Nici widmo" będzie w tym roku największym przegranym. Napisał i nakręcił świetny film, ale trafił na mocną konkurencję. Własnego Oscara za scenariusz oryginalny przyznaję Kennethowi Branaghowi. „Belfast" zachwyci i was, a kto nie obejrzał, ten powinien to zrobić jak najszybciej.

NAJLEPSZY REŻYSER

Wybór staje się coraz trudniejszy. Kenneth Branagh – „Belfast". Ryûsuke Hamaguchi – „Drive My Car". Paul Thomas Anderson – „Licorice Pizza". Mocna stawka. Odstrzelmy od razu jeden film, bo „West Side Story" Stevena Spielberga znalazło się tu chyba tylko z szacunku dla reżysera i samego, szybko starzejącego się musicalu. No i jest Jane Campion i jej znakomite „Psie pazury". Kto wygrywa? Niech odpowiedzią będzie to, co znajdziecie poniżej…

NAJLEPSZY FILM

… gdzie przechodzimy do kategorii ostatniej i najważniejszej. Niech wszystkich pogodzi Jane Campion i jej „Psie pazury". Niech to będzie wygrana podwójna, w kategoriach najlepszy reżyser i najlepszy film. To dzieło wybitne, największe dokonanie Campion od czasu „Anioła przy moim stole". Poświęciłem mu swego czasu osobny duży tekst w „Do Rzeczy" (49/2021). I już wtedy domagałem się Oscara i dla filmu, i dla Campion, i przede wszystkim dla Benedicta Cumberbatcha. Zdania nie zmieniłem. Bardzo rzadko w ostatnich latach powstawały filmy, które z taką delikatnością i brutalnością zarazem dokonywały wiwisekcji ludzkiej duszy, ludzkich namiętności. O zdecydowanej większości nominowanych w tym roku do Oscara filmów zdążymy zapomnieć, nim wakacje rozpoczną się na dobre. O niektórych już pewnie zapomnieliśmy. „Psie pazury" zostaną na zawsze wpisane do historii wielkich dokonań kina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Już teraz **Telewizja Republika**

dostępna w Gdańsku!

MUX DVBT-2 na kanale 31

Telewizję Republika odbierać także można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl f1d71c1d92

Wielka sala loży masońskiej w Brukseli zaprojektowana w stylu staroegipskim

FOT. DAVIDH820/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Egipskie ciemności, egipskie „światłości"

Piotr Semka

Napatrzywszy się na staroegipską symbolikę na wystawie w Muzeum Wolnomularstwa, łatwiej można zauważyć ukryte podteksty współczesnego Paryża. Ekspozycja uchyla nieco kurtynę skrywającą sekrety wolnomyślicielskiego światka. Ale czy zdradza masońskie tajemnice?

Wystawa „Inicjacje egipskie. Od Cagliostra do rytu Memphis-Misraïm" w Muzeum Wolnomularstwa w Paryżu przypomina, jak wiara w siłę ezoterycznej tajnej wiedzy z epoki faraonów elektryzowała wolnomyślicielskie elity, począwszy od pierwszej połowy XVIII w. Tę modę w świecie zachodnim na obrzędy związane z kultem bogini Izydy i Ozyrysa można by traktować z przymrużeniem oka, gdyby nie świadomość, że hołdowały jej tak istotne dla historii Europy postacie jak np. Giuseppe Garibaldi. Tym bardziej zdumiewające jest, jak niewiele wiemy o tym fenomenie. Paryska ekspozycja uchyla nieco rąbka tajemnicy.

PO CO ZDOBYWANO KAIR?

Tej wystawy – podobnie jak wielu rzeczy w Paryżu – nie byłoby bez Napoleona. Wyprawa egipska przyszłego pierwszego konsula otoczona jest pewnym nimbem tajemniczości. Po co była rewolucyjnej Francji wielka i kosztowna wyprawa wojskowa Bonapartego nad Nil? Formalnie, aby zdobyć „drogę do Indii" i tak zemścić się na Anglikach. Ale czy tak fantastyczna eskapada była warta wysyłania najlepszego generała epoki Dyrektoriatu na najdalsze krańce Morza Śródziemnego, gdy sama Republika wciąż była zagrożona?

Z tej wyprawy z lat 1798–1801 zapamiętano ważny w niej udział grupy aż 167 naukowców. Jak głosi napoleońska legenda, w czasie ataków mameluków, gdy wojska Napoleona ustawiały się w obronny czworobok, padała komenda: „Uczeni i osły do środka!". Gdy ogląda się paryską wystawę, przychodzi do głowy pewne podejrzenie. A może to naukowcy, którzy mieli zbadać tajemnice starożytnego Egiptu, byli esencją tej wyprawy i byli ważniejsi od wojowników? Może antybrytyjskie uzasadnienie wyprawy Bonapartego było tylko pretekstem do przeprowadzenia kompleksowych badań nad starożytnym Egiptem? Faktem jest, że odkryte nad Nilem zabytki z epoki piramid na czele ze słynnym kamieniem z Rosetty i dzieła Jeana-François Champolliona ufundowały nowoczesną egiptologię. A naukowcy bez osłony wojska nie mieliby w mameluckim Egipcie nawet jednej setnej podobnej swobody badań.

eprasa.pl f1d71c1b92

Autorzy wystawy nie stawiają tu żadnej kropki nad i, ale podkreślają znaczenie badań w trakcie ekspedycji Bonapartego na rozwój rytu egipskiego. Bądź co bądź, pierwsza loża rytu egipskiego masonerii Misraïm, zwana też rytem Wysokich Stopni, powstała w 1805 r. wśród napoleońskich oficerów w rządzonych przez Francuzów Włoszech, czyli cztery lata po powrocie z awantury pod Piramidami. Misraïm powstał we Włoszech w 1805 r. i liczył 90 stopni wtajemniczenia. Jego mitem założycielskim było podanie o synu biblijnego Chama – Misraimie, który miał odkryć ezoteryczne nauki Izydy i Ozyrysa. „Od renesansu starożytny Egipt uważany był w Europie za kolebkę tajemnego »wtajemniczenia« – wskazują autorzy wystawy. – Budził zarówno wśród uczonych, jak i opinii publicznej sny i spekulacje na temat natury egipskich ceremonii". I dalej: „Ta wystawa przypomina o sile egipskiej wyobraźni we Francji i odtwarza wielkie godziny tych dwóch i pół wieku »egipskiej masonerii«".

Zwiedzający będzie mógł odkryć niezwykle rzadkie fragmenty i unieść zasłonę przed „poszukiwaniem egipskiej inicjacji" – prawdziwą duchową egiptofilią – która rozwinęła się na marginesie bardzo naukowego „Opisu Egiptu" i odkryć Champolliona.

Alessandro di Cagliostro (1743–1795)
FOT. WELLCOME COLLECTION

Rzeźba Sfinksa przed lożą masońską Santa Cruz de Tenerife w Hiszpanii
FOT. KOPPCHEN/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

Rękopis rytuału loży masońskiej z 1784 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Inicjacja egipska - obraz z końca XVIII w.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AWANTURNIK Z PALERMO I ZJEDNOCZYCIEL WŁOCH

Informacje o wiedzy tajemnej kapłanów Egiptu i budowniczych piramid znaleźć można już w dziełach starożytnych. W epoce renesansu inspirowały one wolnomyślicieli i ezoteryków. Giordano Bruno podejrzany był o hołdowanie egipskim ideom metempsychozy. Kabaliści zgłębiali symbolikę hieroglifów, a piramidy uznawano za wykute w kamieniu encyklopedie wiedzy tajemnej jej budowniczych. Za twórcę tzw. premasonerii egipskiej uważa się Alessandra di Cagliostra (właściwie Giuseppe Balsamo), urodzonego w 1743 r. w Palermo i zmarłego w 1795 r. w papieskim więzieniu w San Leo. Ten włoski awanturnik, okultysta, alchemik, uzdrowiciel, wolnomularz założył w 1782 r. Zakon Masonerii Egipskiej i jako jego mistrz – Wielki Kopta – był jedną z postaci przygotowujących intelektualny grunt pod rewolucję francuską. Jako Wielki Kopta zorganizował loże obrządku egipskiego. Był jednym z uczestników afery naszyjnikowej na dworze króla Francji Ludwika XVI, która skutecznie skompromitowała monarchię Burbonów. Podróżujący wciąż po Europie Cagliostro stworzył loże obrządku egipskiego Anglii, Francji, Niemiec i Rosji.

Na wystawie zaprezentowano niezwykle rzadki rękopis rytuału Zakonu Masonerii Egipskiej Cagliostra z 1784 r.

Włoski awanturnik uruchomił renesans zainteresowania ezoteryką egipską, a to z kolei otworzyło drogę do wspomnianej już wyprawy egipskiej Napoleona. Najważniejszym promotorem ekspedycji nad Nil był nie kto inny jak Talleyrand, szef dyplomacji francuskiej w latach 1797–1799. Zapalony mason, który z kolei nie krył swej fascynacji pionierskimi dziełami preegiptologii. W 1838 r. powstaje drugi po Misraïm nurt masonerii egipskiej – ryt Memphis. Choć jest dławiony przez policję króla Ludwika Filipa, to szybko zdobywa wpływy w elitach.

W kręgach wolnomyślicieli modne stało się wykpiwanie chrześcijaństwa i głoszenie, że skopiowało ono wiele swoich wierzeń z mitologii egipskiej. Ofiara Jezusa miała być kolejną wersją mitu o Ozyrysie, a kult Matki Bożej – niezdarnym kopiowaniem kultu Izydy. Były to typowe argumenty z arsenału krytyków chrześcijaństwa, ale na fali wrogości wobec Kościoła i scjentyzmu w XIX w. tezy te zrobiły sporą karierę. Ważna była też aura tajemniczości. Formy wierzeń egipskich uwodziły umysły europejskich elit swoją egzotyką. Doszukiwano się w nich nowoczesności na tle „zaściankowego" i „schyłkowego" katolicyzmu. Wolnomularskie przekonanie o mądrości egipskich kapłanów można znaleźć np. w operze Wolfganga Amadeusza Mozarta „Czarodziejski flet", która inspirację wzięła z poglądów ówczesnej masonerii odnośnie do starożytnego Egiptu i jego tajemnej wiedzy. Podobnych fascynacji nie sposób nie zauważyć w libretcie

eprasa.pl f1d71c1b92

Emmanuel Macron na tle piramidy na dziedzińcu Luwru w dniu inauguracji prezydentury 6 maja 2017 r.

FOT. PATRICK AVENTURIER/GETTY IMAGES

opery Giuseppe Verdiego „Aida", być może nieprzypadkowo umiejscowionego w starożytnym Memphis.

Masoneria egipska kusiła swoją niedostępnością. Ryt egipski pozował na „tajemnicę tajemnic" nawet w obrębie świata masonerii. Był też wyraziście antychrześcijański. O ile masoni rytu szkockiego sugerowali brak sprzeczności między religią chrześcijańską a czcią dla Wielkiego Architekta, o tyle masoneria egipska odrzucała jakiekolwiek związki z chrześcijaństwem.

Nic dziwnego, że ryt egipski szybko przyciągał najbardziej radykalnych rewolucjonistów. Należał do niej główny ideolog rewolucji we Francji Louis Auguste Blanqui (1805–1881), twórca pojęcia „dyktatura proletariatu", notabene autor popularnego dziś na manifestacjach polskich feministek hasła: „Ani Boga, ani pana". Uczestnikiem egipskiego rytu Memphis-Misraïm, który doszedł do jednego z najwyższych stopni wtajemniczenia, był inny czołowy rewolucjonista XIX w. – Giuseppe Garibaldi (1807–1882), współtwórca zjednoczenia Włoch w XIX w. Ale też Frédéric Auguste Bartholdi (1834–1904), francuski rzeźbiarz, najbardziej znany jako twórca Statui Wolności w Nowym Jorku.

Loże Wielkiego Wschodu – głównego nurtu kontynentalnego wolnomularstwa we Francji i w Belgii – a także liczne siedziby lóż masońskich w USA przybrały w drugiej połowie XIX w. staroegipski wystrój. Forma piramidy uznawanej przez wolnomularzy za figurę idealną była wybierana do budowy grobowców masonów od San Francisco do Rapy koło naszej Gołdapi, gdzie piramida grobowca Friedricha von Fahrenheida do dziś przyciąga tłumy turystów odwiedzających Mazury. Na paryskiej wystawie oszczędnie wspomina się, kto ze znanych Europejczyków był inicjowany według rytu egipskiego. Tu francuscy wolnomularze zachowują typową dla siebie wstrzemięźliwość.

Nie brakuje wolnomularskich gadżetów, pełnych hermetycznej symboliki obrazów i grafik, wreszcie fartuszków i odznak z symbolami oka Horusa czy Izydy z rozpostartymi skrzydłami – całej tej, niekiedy lekko kiczowatej masońskiej scenografii, towarzyszącej kolejnym inicjacjom, w których tak lubowali się XIX-wieczni wolnomyśliciele w tużurkach.

Stosunkowo sporo uwagi poświęcono postaci odnowiciela rytu Memphis-Misraïm – egiptologa Bernarda Bruyère'a (1879–1971). Lata 20. i 30. XX w. to renesans badań egiptologicznych – epok odkryć grobowca Tutanchamona i innych znalezisk brytyjskich badaczy Howarda Cartera i George'a Carnarvona. Francuskich naukowców masonów nie mogło w tej sytuacji zabraknąć nad Nilem. Bruyère ogłosił, że może powiązać pewne teksty i pozostałości archeologiczne z wykopalisk w mieście Deir el-Medina, które odkopał w latach 1920–1952, by obwieścić światu, że odkrył stowarzyszenie staroegipskie, coś w rodzaju wolnomularstwa. Deir el-Medina było schronieniem dla personelu i robotników związanych z wielką nekropolią królewską. W 1922 r. Bernard Bruyère stopniowo odkrywał tam świadectwa istnienia bractwa budowniczych w Górnym Egipcie z salą zebrań wyposażoną w krzesła na jej obrzeżach. Odnalazł również grobowce budowniczych z malowidłami przedstawiającymi święty łokieć, węgielnicę, poziomicę i cyrkiel. Widz musi wierzyć na słowo autorom wystawy, że nie jest to naciągana teoria. Egipska masoneria działa nadal w całej Europie, także i w Polsce.

Napatrzywszy się na staroegipską symbolikę, łatwiej można zauważyć ukryte podteksty współczesnego Paryża. Pomnik zbudowany przez François Mitteranda z okazji 200-lecia powstania Deklaracji praw człowieka i obywatela. Pokrywa go ok. 3 tys. symboli ezoterycznych. Jak podaje Wikipedia, na symbolikę pomnika składają się „postacie: kapłana (czarownika) z cokołem, na którym wyryto znaki zodiaku, uczonego ze znakami symbolizującymi naukę (w 2012 r. postać usunięto), kobiety z pękiem gałązek, jakie mogła wręczyć Sybilla Eneaszowi (być może westalka masońskiego Wielkiego Architekta Wszechświata), nagiego chłopca – symbol przyszłości – oraz węża Uroboros z mitologii egipskiej pożerającego własny ogon". Staroegipską formę piramidy ma także konstrukcja na dziedzińcu Luwru. Wielu Francuzów pamięta, że akurat na tle tej piramidy prezydent Emmanuel Macron urządził inaugurację swojej prezydentury 6 maja 2017 r. „Przypadek? Nie sądzę" – powiedziałby pewnie jeden z klasyków polskiej prawicy.

Postępowcy lubią wyśmiewać takie podejrzenia, ale już mniej chętnie tłumaczą, skąd się wziął wybór takiej, a nie innej symboliki. Wszystko ma pozostać w sferze niedomówień, a jednocześnie dyskretnej demonstracji wpływów. I tak też jest z wystawą o rycie egipskim. Niby uchyla nieco rąbka tajemnicy wolnomyślicielskiego światka, ale nie za wiele i w proporcjach ściśle wydzielonych na użytek postronnych laików.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Współpraca w Paryżu: Urszula Zapłatka

Wystawa „Inicjacje egipskie. Od Cagliostra do rytu Memphis-Misraïm" w Muzeum Wolnomularstwa w Paryżu czynna będzie do 31 marca. Szczegóły na: www.museefm.org.

eprasa.pl f1d71c1b92

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak – **Wnioski z rosyjskiej agresji**
Steve Lee Myers – **Od kagebisty do prezydenta**
Mikołaj Iwanow – **Putin w butach Stalina**
Piotr Zychowicz – **2014: Rosjanie na Krymie**
Arkadiusz Karbowiak – **Jatka w Czeczenii**
Jakub Ostromęcki – **Uwaga! Wagnerowcy**
Tomasz Stańczyk – **Pakt Piłsudski-Petlura**
Maciej Rosalak – **Wojny Polski z Rosją**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Czy Polska będzie mocarstwem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Nie ta wojna

★★★☆☆☆

REŻ. ADAM BERG
„CZARNY KRAB" („BLACK CRAB")
SZWECJA 2022

wyst. Noomi Rapace, Aliette Opheim, Dar Salim

Ponury jak skandynawski kryminał" – mówią niektórzy. Dobry trop. Thriller postapokaliptyczny „Czarny Krab" to ekranizacja szwedzkiej powieści fantastycznej Jerkera Virdborga. Oczywiście poddano ją procesowi netflixyzacji, więc m.in. zamieniono głównego bohatera na bohaterkę. Co nie przeszkadza, bo Noomi Rapace w roli głównej jest świetna. Inna sprawa, że dołożenie wątku rodzinnego (nie było go w książce) sprawia, że po raz kolejny tęsknimy za czasami, kiedy w filmach ludzie robili to, co trzeba, gdyż uważali to za słuszne lub potrzebne dla wspólnego dobra. Dziś na ekranie jedynymi bodźcami do motywacji psychologicznej są groźby wobec mamy/taty/syna/córki/pieska – niepotrzebne skreślić.

Intryga jest prosta i pożyczona trochę z „Parszywej dwunastki", trochę z „Bohaterów Telemarku", ale głównie z niezliczonych thrillerów klasy B, w których, by uratować świat, trzeba koniecznie przenieść „ważne coś" z punktu A do punktu B. Tu mamy grupkę żołnierzy wędrujących (łyżwy mają znaczenie) przez zamarznięte morze na tyły wroga. Rzecz rozgrywa się w fikcyjnym państwie skandynawskim ogarniętym wojną domową. Chaos, głód, zamieszki, wybuchy, bombardowania. Wszystko to mogłoby przerażać, gdyby w telewizorach nie było akurat obrazów Ukrainy niszczonej przez rosyjskich barbarzyńców.

Reżyserem filmu jest Adam Berg, twórca wielu znakomitych teledysków, i trzeba przyznać, że od strony wizualnej robota jest pierwszorzędna. To, co sprawia, że „Czarny Krab" zamiast emocjonować, pozostawia nas chłodnymi, to fakt, że niczego nie dowiadujemy się o konflikcie i świecie, w którym się rozgrywa. A przez to główny dylemat moralny (pytanie o granice działań wojennych) nie ma sensu, nie wiemy bowiem, w imię czego pewne rzeczy się poświęca i w obronie przed czym/kim. Jest to więc dzieło bardzo charakterystyczne dla XXI stulecia, które odrzuca (jako zgubne i toksyczne) wezwania, by oddać życie dla zbiorowości, dla narodu, dla wartości na rzecz bliżej nieokreślonego protestu przeciwko wojnie, która jest zła, bo tak. „Niech ustaną produkcja i handel bronią" – wzywa papież Franciszek. Cóż, gdyby nie broń w rękach Ukraińców, wojska Rosji dokonałyby już w tym kraju zbrodni na o wiele większą skalę. ©℗

NOWE SERIALE: „MINX"

HBOmax

Wiosenne przyspieszenie ogarnia serwis znany kiedyś jako HBO GO, a teraz zmieniony w HBO Max. Niemal każdy tydzień przynosi nowości w katalogu klasyki oraz produkcje premierowe. To ostatnie nie dziwi, bo HBO Max, który w USA wystartował w maju 2020 r., działa na amerykańskim rynku z wielkim rozmachem. Jedną z nowości jest serial komediowy „Minx". Jego akcja rozgrywa się w latach 70. XX stulecia. Rzecz jest o młodej feministce, która łączy siły z podupadającym wydawcą, by stworzyć pierwszy magazyn erotyczny dla kobiet. Scenarzystką i producentką jest Ellen Rapoport. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 1 „Minx", USA 2022, HBO Max***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 2* ***„Folklor" („Folklore")****, Tajwan/ Filipiny 2021* HBOmax

• *sezon 1* ***„Krakowskie potwory"****, Polska 2022*

• *sezon 1* ***„Panda Tafla" („Stillwater")****, USA 2022* tv

eprasa.pl f1d71c1b92

Syjoniści do Syjamu!

KINO

Dawniej o takich filmach mówiło się „rozliczeniowe". Ale kogóż tu rozliczać, gdy Gomułka, Moczar oraz ich adherenci od dawna wąchają kwiatki od spodu? Tak zwane pokolenie '68 odchodzi w cień. Studenci, którym marzyła się ojczyzna wolna od kłamstwa, cenzury i prymitywnej propagandy, jeśli żyją, osiągnęli wiek emerytalny. Dziś już wiemy, że marcowe protesty nie wybuchły spontanicznie, lecz były prowokacją „policji tajnych, widnych i dwupłciowych". Krzysztof Lang, telewizyjny wyrobnik i reżyser romantycznych komedii, w przeciwieństwie do twórców „Gierka", bajkopisarstwa nie uprawia. Mógł jednak wykazać trochę więcej inwencji. Akcja rozwija się podręcznikowo: od przedstawienia „Dziadów" w Teatrze Narodowym, przez szarżę „aktywu robotniczego" na Krakowskim Przedmieściu, do pożegnań na dworcu Warszawa Zachodnia. Znów oglądamy dramat człowieka władzy, który może i ma wyrzuty sumienia, ale zabrnął już za daleko, by móc się zmienić. Wątek miłosny zalatuje Szekspirem. Hania-Julia jest córką lekarza „syjonisty", Janek-Romeo zaś synem pułkownika z MSW. Ten film mógł i powinien zostać nakręcony 30 lat temu. Czy współczesnej, młodej widowni udzieli się wzruszenie seniorów, oglądających czarno-białe fotografie szkolnych kolegów i koleżanek, przejechanych przez walec historii? Myślę, że wątpię. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. KRZYSZTOF LANG
„MARZEC '68"
POLSKA 2022

wyst. Vanessa Aleksander, Ignacy Liss, Ireneusz Czop

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KREW I PERWERSJA

arte

Beatlesi, Bond i Hammer Film Productions. Trójca, która sprawiła, że z mocarstwa kolonialnego Wielka Brytania stała się gigantem popkultury. Mała londyńska wytwórnia zasłynęła z eksploatowania klasyków „gotyckiej" literatury tudzież horrorów, których wulgarność szła w parze z makabrycznym poczuciem humoru. „Zemsta kosmosu", „Kobieta-Wąż", „Szatański plan Draculi" czy „Klątwa grobowca mumii" – zaliczane przez krytyków do kina klasy B, robiły furorę po obu stronach Atlantyku. Christopher Lee wcielał się w monstra, Peter Cushing grał szalonych naukowców, hojnie zaś obdarzone przez naturę dziewoje jęczały z rozkoszy. Brytyjczycy uratowali gatunek, w Ameryce grawitujący w stronę komedii, lecz filmy studia Hammer oglądane dzisiaj też bardziej śmieszą, niż straszą. We francuskim dokumencie stare dobre czasy z łzą w oku wspominają między innymi reżyser John Carpenter i aktorka Caroline Munro.

★★★☆☆☆

REŻ. JÉRÔME KORKIKIAN
„DARK GLAMOUR. WZLOTY I UPADKI WYTWÓRNI HAMMER" („TERREUR ET GLAMOUR: MONTÉE ET DÉCLIN DU STUDIO HAMMER")
FRANCJA 2017

SŁONE POCAŁUNKI

KINO

Zaobrączkowani marynarze nie miewają bólów żołądka, dlatego cierpiący kapitan frachtowca postanawia złożyć matrymonialną propozycję kobiecie, którą wskaże mu ślepy los. Oświadczyny zostają przyjęte. Paryż wydaje się miejscem idealnym dla romantycznych zauroczeń, jednak z czasem Jakob zaczyna podejrzewać, że podczas jego nieobecności małżonka prowadzi zbyt intensywne życie towarzyskie. Zazdrość, niszczycielska niczym tajfun, jest wdzięcznym dramaturgicznym tworzywem, zwłaszcza jeśli umieścić ją w dekoracjach art déco i morskich wedutach godnych Ajwazowskiego. Niestety, plastyczne wyrafinowanie idzie tu w parze z narracyjną ociężałością. Rejs trwa prawie trzy godziny. Powieść, na podstawie której nakręcono film, ukazała się w Budapeszcie w 1942 r. Cyceron, który twierdził, że w czasie wojny milczą muzy, może był dobrym mówcą, ale kiepskim prorokiem. ©℗

Wiesław Chełminiak

wyst. Léa Seydoux, Gijs Naber, Louis Garrel

★★★☆☆☆

REŻ. ILDIKÓ ENYEDI
„HISTORIA MOJEJ ŻONY" („A FELESÉGEM TÖRTÉNETE")
WĘGRY/FRANCJA/NIEMCY/WŁOCHY 2021

GRA TYGODNIA: „TRIANGLE STRATEGY"

★★★★★☆

Tu najważniejsza jest historia. Trochę naiwna, odrobinę patetyczna, naszkicowana tak, że od początku paluchem pokazuje się nam, kto jest dobry, a kto zły, ale – hej! – tak się kiedyś robiło niemal wszystkie gry fabularne. A „Triangle Strategy" uderza w nostalgiczną strunę nie tylko za sprawą oprawy graficznej z czasów romantycznej pikselozy. Jeśli chcecie zagłębić się w opowieść, a nie macie w zwyczaju niecierpliwego przeklikiwania okien dialogowych, ale są one dla was esencją rozgrywki, jeśli doceniacie, gdy podejmowane decyzje naprawdę mają swoją wagę – to „Triangle Strategy" jest godne polecenia. I jak brzmi! Słuchawki obowiązkowe. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Silicon Studio Corp., ConQuest Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f1d71c1b92

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Daniel w jaskini lwów

Autorka tej książki o artystycznej rodzinie Kossaków wie pewnie więcej niż wszyscy potomkowie tej sławnej familii razem wzięci. Dzieli się tą wiedzą z czytelnikami, nie pozwalając, by pamięć o tym malarsko-literackim rodzie pokrył kurz zapomnienia. Przyczyniły się do tego jej „Kossakowie. Tango", „Kossakowie. Biały mazur", „Kobiety Kossaków" czy prace poświęcone Zofii Kossak-Szczuckiej, z której twórczości się doktoryzowała, kierowała też muzeum pisarki w Górkach Wielkich. Nic dziwnego więc, że i w najnowszej książce Joanny Jurgały-Jureczki Kossakowie znaleźli godne miejsce, a fragmenty dotyczące ich życia należą do najciekawszych.

Ale jest to książka historyczno-literacka w pełnym tego słowa znaczeniu. Autorka nie ogranicza się zresztą do postaci z kręgu literatury, choć nimi zajmuje się przede wszystkim; zaciekawił ją np. Julian Ochorowicz, głośny swego czasu psycholog, filozof, wynalazca, najbardziej znany ze swych zdolności okultystycznych i wywoływania duchów. Pisze również o Ludomirze Różyckim, kompozytorze, a bardziej może o jego żonie, która zrezygnowała dla niego z planów artystycznych, nie wykorzystując swego niespełnionego, a ewidentnego talentu. A Zofia Kossak, córka Juliusza i siostra Wojciecha, świetnie zapowiadająca się malarka? „Mogła być drugą Olgą Boznańską – czytamy. – Została hodowczynią drobiu". I cóż z tego, że publikowała rysunki w prasie, że uczyła się u Matejki? Który, nawiasem mówiąc, „kochał kiedyś swoją Teodorę. […] Jej twarz i przyciężkawą figurę miały na obrazach królowa Bona i Barbara Radziwiłłówna. W końcu jednak kłótliwa i zazdrosna kobieta doprowadziła do tego, że na obrazie, na którym odbywa się osobliwa egzekucja, utopiona w Bosforze kobieta też ma jej twarz. Zemsta artysty?".

FOT. JOANNA JURGAŁA-JURECZKA PISARKA/FACEBOOK

Swoimi tekstami wywołuje autorka „Na gorącym uczynku" duchy Mickiewicza i Sienkiewicza, Konopnickiej i Wyspiańskiego, Reymonta i Kasprowicza, gigantów kultury polskiej; ożywia epokę, w której literaturę traktowano serio, a pisarze mieli czytelnikom coś ważnego do powiedzenia. Nie znaczy to jednak, że byli postaciami bez skazy. Przeciwnie, mieli słabostki, czynili głupstwa, pozostawili jednak po sobie dzieła, bez których bylibyśmy jedynie mierzwą historii.

I o tym – sądzę – święcie jest przekonana Joanna Jurgała-Jureczka, która podąża wprawdzie śladami Boya czy Hoesicka (a i Jarosława Marka Rymkiewicza), zagląda swoim bohaterom do kuchni i sypialni, sprawdza, szpera, szuka, po to jednak – jak powiada – „żeby poznać i zrozumieć, oswoić i pokochać".

Wdzięczny jestem autorce za wywołanie przez nią duchów artystów – wielkich i prawdziwych, za takt i umiar w dozowaniu anegdot, bo są one wprawdzie solą biografii, ale nie jej treścią, a jedynie przyprawą. A na szczególne podziękowanie zasługuje za zakończenie „Na gorącym uczynku", pozornie z zupełnie innej parafii, bo będące refleksją po pożarze paryskiej katedry Notre Dame w 2019 r.

„Opłakiwałam Notre Dame razem z innymi – wspomina Joanna Jurgała-Jureczka. – Choć byli i tacy, którzy mówili, że przecież nic strasznego się nie dzieje. Nikt nie zginął, a gotyckich budowli jeszcze parę na świecie zostało. I dowcipkowali, że widocznie Quasimodo się zdrzemnął. Nie upilnował. […] W informacyjnym szumie, sensacjach i interpretacjach szukałam swojej prawdy o Notre Dame". I przypomniała sobie wtedy Gałczyńskiego i jego „Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich". Był tam w 1946 r. i pisał:

„Ziemia i niebo przemijają,
lecz słowo Moje nie przeminie",
Kto to powiedział / kto powiedział?
Zapomniałem.

Naprawdę było inaczej. Poeta „patrzył na Notre Dame, wiał wiatr, a on się modlił. Prosił, żeby w razie ostatecznej katastrofy Matka Boska przemieniła go w małą płaskorzeźbę z XII wieku, która przedstawia Daniela w jaskini lwów. Żeby potrafił podarować komuś swój abażur i pozłacaną kanapę. Żeby kiedyś zasłużył na noc mediolańską, na którą zasłużył św. Augustyn. I żeby jak ognia unikał alkoholu, głupich kobiet i lenistwa.

Czy wyprosił, czy uniknął? Nie wiem".

Ale tamta katedra, która słyszała głos poety i która została spalona, „jednak pozostała. We mnie i na fotografii zatrzymującej na zawsze niezwykłe światło, wpadające przez strzeliste okna.

Niepowtarzalna i cudowna. Nasza Pani pochwycona wówczas in flagranti.

Na gorącym uczynku".

Co wspólnego mają dramatyczne dzieje katedry w Paryżu i wierszowana suplika polskiego poety z historiami Kossaków, Tetmajera, Siemiradzkiego? Nic. I wszystko. ©℗

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA „NA GORĄCYM UCZYNKU. DUCHY ARTYSTÓW" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2022

eprasa.pl f1d71c1b92

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kulawy los

A ty kiedyś kochałeś?" – pyta Jakowa wychudzona dziewczyna, która znalazła schronienie w jego chacie. Przylazła żreć makówki, rozbitek życiowy w szponach narkotycznego głodu i z bagażem nieszczęść. „Życie miałam nieszczęśliwe" – opowiada, kiedy Jakiw ją już podleczy i oswoi. Proste pytania sprawiają, że niemal stuletniego Jakowa (w polskiej armii – Jakub, dla swoich – Jakiw) myśli unoszą w przeszłość. Kochał, a jakże, i to ile razy, i to jak mocno! A jakie miał życie?

Książka Wołodomyra Łysa to epicka (choć na szczęście nie nazbyt rozlewna) opowieść o losie ukraińskim w XX stuleciu, w jej centrum mamy bohatera, którym historia rzucała tak, jak zwykła to czynić na skrwawionych ziemiach naszej części świata. Urazy chciał mścić strzelbą ukrytą we wsi jeszcze za czasów wielkiej wojny przez Austriaków. Po wojnie własną władzę chcieli instalować bolszewicy, trzeba więc było u boku Polaków bić bolszewika. Gdy Polska nastała na dobre, Jakiw służył w kawalerii, bił się z Niemcami w 1939 r. Okupanci chcieli zrobić z niego wojaka Wehrmachtu i słać na Sowietów, kilka lat później Sowieci wcielili go do armii i słali na Niemców przez Węgry i Morawy, aż do Berlina. A rodzina? Jedni krewni do grobu, inni na Sybir, jeszcze inni z wyboru (lub za głosem serca) osiedlili się na krańcach znanego świata, znaczy świata sowieckiego imperium.

Jest to opowieść o ukraińskiej osobności i o uporze na przekór wszystkiemu, ale bez wielkich słów czy buńczucznych deklaracji. Mieszkańcy wsi Jakowa wiedzą, kim są – ani Rosjanami, ani bolszewikami, ani Polakami, ani – broń Boże! – Niemcami. Raz pada zdanie, w którym jeden z bohaterów wyraża żal, że znów diabli wzięli nadzieję na wolną Ukrainę. Reszta jest niedopowiedzeniem. Albo oczywistością: my miejscowi, my inni, a tamci to po prostu oni.

Część polskich czytelników zjeży się, czytając fragmenty poświęcone czasom rzezi wołyńskiej, Łys opisuje swych pobratymców idących palić wioski Lachów, ale więcej miejsca poświęca Polakom zabijającym Ukraińców. To jego punkt widzenia. Nie zmienia to faktu, że „Stulecie Jakowa" to powieść świetnie napisana, w której ponad wszelkie spory narodowościowe czy polityczne wybija się pytanie o sumienie, o krzyż, który trzeba nieść, gdy się człowiek dopuścił rzeczy strasznych. Jaki i dla kogo z tego życia pożytek? Czyja wina: nas grzesznych czy może jakiejś większej siły, która skazała te ziemie na nieustanne cierpienie? Czy był Jakiw dobrym człowiekiem? ©℗

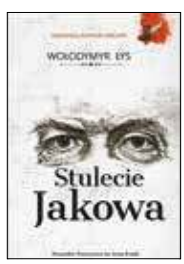

★★★★★☆
WOŁODYMYR ŁYS „STULECIE JAKOWA" POZNAŃSKIE TOWARZYSTWO IM. IWANA FRANKI 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedzenie i ideologia w PRL – co mogły mieć ze sobą wspólnego? Wszystko! Oto świat zakładowych stołówek, ciemnych kuchni, kolejek do sklepów spożywczych, namiastek promowanych w miejsce mięsa i cukru. Znakomita lekcja historii.

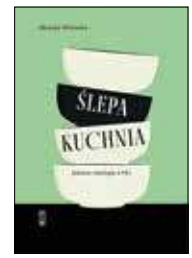

MONIKA MILEWSKA „ŚLEPA KUCHNIA" PIW

„Państwa, społeczeństwa i losy wolności", czyli ciąg dalszy rozważań autorów znakomitej książki „Dlaczego narody przegrywają". Tytułowy „wąski korytarz" to droga wolności między despotycznymi rządami a bezprawiem anarchii.

DARON ACEMOGLU, JAMES A. ROBINSON „WĄSKI KORYTARZ" ZYSK I S-KA

Starzy bogowie odeszli, nowi jeszcze nie panują; sędziwy cesarz Hadrian pisze list do Marka Aureliusza, wspominając swe życie i snując rozważania o władzy, przemijaniu, duszy świata i duszy człowieka. Nieśmiertelna klasyka.

MARGUERITE YOURCENAR „PAMIĘTNIKI HADRIANA" PORADNIA K

Rolnik Claudio trafia w centrum uwagi mediów, gdy pojawi się u niego jednorożec. Claudio nie jest zwykłym rolnikiem, bo pisze wiersze, magiczna istota sprowadzi jednak ze sobą wyzwanie dużo większe niż dobranie rymu. ©℗ ***Piotr Gociek***

PETER S. BEAGLE „W KALABRII" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „STARY CYBUCH I JEDWABNA POŃCZOSZKA"

Trylogia kryminalno-przygodowa w duchu przedwojennych powieści Johna Buchana, ale z dodatkiem humoru i błyskiem erotyzmu. „Stary cybuch" to stary i zrzędliwy inspektor policji, jedwabne pończoszki nosi jego młoda wspólniczka w prowadzeniu śledztwa, pół Angielka, pół Hinduska. Dwa pierwsze tomy to jedna całość, wypełniona intrygą szpiegowską (z elementami okultystycznymi), tom trzeci przenosi nas do Indii i dwie dekady wstecz, dokładając wątki mitologiczne; coś w stylu Kiplinga, ale z przesłaniem antykolonialnym. ©℗

ETIENNE WILLEM „STARY CYBUCH I JEDWABNA POŃCZOSZKA" EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl f1d71c1b92

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Marija i barbarzyńcy

W czwartym dniu inwazji na Ukrainę rosyjscy barbarzyńcy zniszczyli Muzeum Krajoznawcze w Iwankowie. Przechowywano w nim 25 prac ukraińskiej prymitywistki Marii Prymaczenko. Artystki, która ukończyła tylko cztery klasy szkoły powszechnej, ale która – oprócz niezwykłego talentu, przyczyniło się do tego wychowanie w domu pełnym artystycznych inspiracji: babcia Marii specjalizowała się w kolorowaniu pisanek, ojciec był cenionym cieślą, a matka zajmowała się hafciarstwem – stała się jedną z najważniejszych postaci ukraińskiej kultury.

– Dla ukraińskiej państwowości ważna jest też ochrona dziedzictwa kulturalnego zagrożonego zniszczeniem – mówił podczas otwarcia wystawy zdjęć prac Prymaczenko prof. Rafał Wiśniewski, dyrektor Narodowego Centrum Kultury. Po pożarze muzeum pojawiła się informacja o zniszczeniu 25 prac, później o ocaleniu części z nich. Marija za swego życia wykonała ponad tysiąc prac, Picasso powiedział o niej: „Klękam przed artystycznym cudem tej genialnej Ukrainki", gdzieś między orbitami Marsa i Jowisza krąży planetoida jej imienia. Ruski barbarusie, иди нахуй. ©℗

FOT. ALEKSANDRA PAWŁOWSKA

GDZIE? ***przed galerią Kordegarda, Warszawa, Krakowskie Przedmieście***
KIEDY? ***do 6 kwietnia***

FOT. MICHAŁ GROCHAL

TAKA BYŁA WIELICZKA

Wieliczka z lat 60. XX w. na zdjęciach trzech fotografów związanych z tym miastem i miejscowym muzeum – Alfonsa Długosza (założyciela i wieloletniego dyrektora muzeum), Michała Grochala (historyka sztuki, pracownika Działu Naukowo-Oświatowego) oraz Michała Kaszowskiego (fotografa zatrudnionego w muzeum w latach 1965–1978). Jakie miasto wyłania się z tych fotografii? Zniszczone, zaniedbane, jak cała Polska podnosząca się z powojennych ruin. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka (Zamek Żupny)***
KIEDY? ***do 10 kwietnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Serce jak Czarnobyl

Powrót kolejnej gwiazdy lat 80. Marc Almond porywa do tańca nową generację, wyśpiewując: „Och, kochanie, czuję się jak Korea Północna zimą / Mam toksyczny dotyk, bo wszystko wokół mnie umiera".

Marc Almond i Dave Ball tworzyli pierwszy duet synthpopowy, który zdobył światowy rozgłos. Popularność zyskali już dzięki drugiemu singlowi, na którym znalazła się ich taneczna wersja przeboju Glorii Jones z 1965 r. – „Tainted Love". Charakterystyczny, erotyczny wokal Almonda obudowany wyrazistymi, elektronicznymi podkładami Balla idealnie trafił w gusta dyskotekowej publiczności początku lat 80. Album „Non-Stop Erotic Cabaret" odniósł wielki sukces, ale kolejne płyty nie były nawet w przybliżeniu tak popularne. Również powrót Soft Cell przed 20 laty przeszedł bez echa.

Obecnie, w dobie laptopowych przebojów, atmosfera dla duetu jest znacznie bardziej przychylna. Panowie wprawdzie utracili wizualny powab, ale głos Marca może nadal czarować. Do tego nostalgia i opowieści o miejskiej klaustrofobii idealnie pasują do dzisiejszych paranoicznych czasów. Wystarczy przytoczyć tytuły piosenek „Serce jak Czarnobyl", „Szczęście nie jest wliczone w cenę", „Siniaki na mojej iluzji"... A muzyka? Taneczna, rytmiczna i tak samo idealnie przezroczysta jak przed 40 laty. ©℗

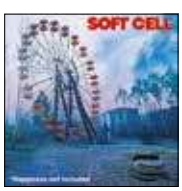

★★★★☆
SOFT CELL
„HAPPINESS NOT INCLUDED"
BMG

★★★★★☆
LATARNIK
„MARIANNA"
ASTIGMATIC

Marek Pędziwiatr (EABS, Błoto) na solowym debiucie odstawił elektroniczne klawisze na rzecz stuletniego steinwaya. Zainspirowany dokonaniami gigantów fortepianu (od Monka do Tynera) nagrał płytę poświęconą życiu prababci Mazurki. Liryczny, emocjonalnie piękny album.

★★★☆☆
BINKER & MOSES
„FEEDING THE FLAMES"
GEARBOX

Najbardziej chwalony obecnie album jazzowy. Saksofonista Binker Golding i perkusista Moses Boyd wraz z Maxem Luthertem, mistrzem elektronicznych mgławic, nagrali rozimprowizowany album czerpiący zarówno z awangardy, jak i funkowej polirytmii. Dla otwartych głów. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

Mariusz Szczygieł postanowił listownie uświadomić Stingowi (na zdjęciu), że swoim występem na rozdaniu Wiktorów „autoryzuje i uwiarygadnia telewizję" niemającą „nic wspólnego z demokratycznymi wolnymi mediami" FOT. MARTIN KIERSZENBAUM

Żądło

Krzysztof Masłoń

Na Woronicza postanowiono odkurzyć Wiktory, nagrody z historią sięgającą PRL, teraz wznowione po przerwie trwającej od roku 2014. Na wszelki wypadek zrezygnowano z obdarowywania stosowną statuetką polityka (Wiktory dostawali w przeszłości tacy ulubieńcy mas jak Balcerowicz i Kołodko, a wspomnę też o Wałęsie i Kwaśniewskim), a na galę zorganizowaną w miejscu uważanym za absolutnie wyjątkowe, czyli do Ufficio Primo, zaproszono sławnego muzyka i piosenkarza Stinga, żeby wprowadził publiczność (a w konsekwencji i telewidzów) w szampański nastrój, przypominając takie swoje evergreeny jak „Message in a Bottle", „Moon over Bourbon Street" czy „Englishman in New York". Nie spodobało się to bardzo nieco mniej znanemu w świecie niż Sting Mariuszowi Szczygłowi, niegdyś reporterowi, a po sukcesie „Gottlandu" i otrzymaniu Nike za książkę zatytułowaną „Nie ma" uznanemu pisarzowi, który postanowił listownie uświadomić niegdysiejszej podporze The Police, że swoim występem na rozdaniu Wiktorów „autoryzuje i uwiarygadnia telewizję" niemającą „nic wspólnego z demokratycznymi wolnymi mediami".

Telewizja ta – wyjaśniał artyście, uznanemu przez niego, widać, za niedoinformowanego – „podaje jednostronne informacje, które mają niszczyć ludzi, uderza w demokratyczną opozycję, szczuje na konkretne osoby i całe grupy społeczne. To właśnie ta telewizja popiera odebranie praw polskim kobietom i osobom LGBT". Jakie prawa i do czego chce Polkom zabrać Jacek Kurski, autor tego donosu nie uściśla, zawiadamia za to, że „wielu prawników śledzi ten język nienawiści, ponieważ po upadku aktualnej władzy ludzie tworzący tę telewizję zostaną pozwani przez sądy". Co z tego prorokowanego pozwu ma dla zainteresowanych wyniknąć, dokładnie nie wiadomo (dożywocie?, wygnanie?, może galery?), do końca nie jest też jasne, czy artysta Sting również zostanie posadzony na ławie oskarżonych, czy też jako osobnik niezdający sobie sprawy z wagi swego czynu będzie mógł skorzystać z niewykluczonego aktu łaski.

Pisarz Szczygieł – jako do tej pory nie najbardziej może aktywny „opozycjonista demokratyczny", w pełni za to przekonany o jedynej słuszności swego stanowiska, jakie raczył zaprezentować adresatowi listu, a przy okazji zdumionym rodakom – chcąc odpowiednio naświetlić sytuację panującą w jęczącej pod PiS-owską tyranią Polsce, uznał też za stosowne wypunktować naganne kontakty rządzących ze skrajnie prawicowymi, do tego proputinowskimi politykami: Marine Le Pen, Viktorem Orbánem i Matteo Salvinim.

A żeby brytyjski muzyk nie pomyślał sobie przypadkiem, że ma do czynienia z wyskokiem ogarniętego amokiem oszołoma, nadawca tego wiekopomnego listu apelującego o to, żeby Sting zrezygnował z występu, zapewnił, że jego zdanie podzielają „tysiące dziennikarzy i ludzi kultury". Na razie poparli go Maciej Orłoś, Kinga Rusin – laureaci Wiktorów zresztą – oraz Damian Maliszewski, podobno muzyk i podobno dziennikarz, w tej drugiej kategorii bardzo starający się, by zdobyć tytuł Hieny Roku.

Wiktory i Superwiktory w przeszłości zdobywały, poza wymienionymi, takie osobistości szklanego ekranu jak: Monika Olejnik, Hanna Smoktunowicz, Jacek Żakowski, naturalnie Mann z Materną, a już Tomasz Lis to niemal co roku, bo w sumie dziewięć razy. Naturalnie wtedy wszystko było cacy, jedni wdzięczyli się do drugich, nagrody były absolutnie słuszne, bo telewizja była wolna i demokratyczna jak najbardziej. A już szczególnie wolna była wtedy, gdy Wiktory dostawały takie tuzy dziennikarstwa jak Karol Sawicki czy Krzysztof Bartnicki (starsi wiekiem pamiętają), nie zapominając oczywiście o Jerzym Urbanie. Tu chciałbym zdementować plotkę, jakoby ten ostatni sam sobie przyznał Wiktora w czasie, gdy prezesował Radiokomitetowi. To nieprawda, Wiktora dostał wcześniej – w 1987 r., za kadencji Janusza Roszkowskiego. Z kolei, gdy Urban krótko rządził na Woronicza, przyznano Wiktory za rok 1988. Między innymi otrzymali je, pospołu, Lech Wałęsa z Alfredem Miodowiczem dla równowagi. To, że pewni osobnicy nazywający się ludźmi kultury, mieć będą w przyszłości za złe, że na uroczystości wręczenia Wiktorów takim postaciom jak mający teraz je otrzymać za całokształt działalności: Andrzej Seweryn, Karol Strasburger, Cezary Pazura i Alicja Majewska wystąpi artysta tej miary co Sting, nie przychodziło nikomu do głowy. Ale nasi luminarze sztuk wszelakich przyzwyczaili nas już do tego, że każda okazja jest dla nich odpowiednia, by wbić żądło tym, którzy są z innej niż oni bajki. I uznali, że facet, który żądło właśnie wybrał za swój artystyczny pseudonim, nadaje się do tego jak najbardziej.

Mick Jagger, gdy w 2018 r. przed koncertem The Rolling Stones na Stadionie Narodowym w Warszawie próbowano go wmanewrować w krytykę planowanej w naszym kraju reformy sądownictwa, powiedział z estrady: „Jestem za stary, żeby być sędzią, ale jestem dość młody, by śpiewać". Sting ma dziś pięć lat mniej niż Jagger wtedy i, jak się zdaje, na prymitywne gierki z telewizją w tle też się nie da nabrać. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

Tajny plan Kaczyńskiego

Jacek Piekara

Co tak w słowach Jarosława Kaczyńskiego o potrzebie misji pokojowej NATO na Ukrainie rozjuszyło zarówno Rosjan, jak i rodzimą opozycję? Co spowodowało zmasowany atak, w którym uciekano się do najbardziej obrzydliwych kłamstw oraz pomówień?

Jarosław Kaczyński od wielu lat jest liderem i dominatorem na polskiej scenie politycznej. Prowadzony przez niego PiS stanowi w zasadzie jedyną siłę aktywną i kreatywną, gdyż reszta partii zazwyczaj odgrywa rolę wyłącznie reaktywną – zręczniej lub mniej zręcznie ich działacze reagują na koncepcje wymyślone w kręgu koalicji rządzącej. Sprawy tak się mają nie tylko z polityką wewnętrzną, lecz także z polityką dotyczącą spraw międzynarodowych: PiS stara się, by Polska była aktywnym graczem w tej sferze, natomiast jedyną postawą opozycji jest: „Słuchajmy we wszystkim Unii Europejskiej, ona jest mądrzejsza, ona wie lepiej i jak nam powie, dokąd mamy iść, to my pójdziemy".

Oczywiście aktywność Kaczyńskiego i PiS wywołuje niechęć czy agresję opozycji, ale niektóre koncepcje rodzą po stronie anty-PiS szczególną wściekłość. Tak właśnie się stało z pomysłem organizacji misji międzynarodowej na Ukrainę, która miałaby zapewnić obywatelom Ukrainy ochronę humanitarną. Dlaczego właśnie ten plan wywołał tak skrajne, tak histeryczne, tak groteskowo nienawistne reakcje?

ZASIANE ZIARNO

– Potrzebna jest misja pokojowa, humanitarna, przygotowana przez NATO i może inne organizacje, ale osłonięta zbrojnie i odbywająca się na terytorium

eprasa.pl f1d71c1b92

Jarosław Kaczyński, proponując misję NATO na Ukrainie, zadziałał przeciw niemieckiemu oporowi

FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE/REUTERS/FORUM

Ukrainy – powiedział Jarosław Kaczyński. – Ukraina jest państwem suwerennym i jeśli zgodzi się na taką misję, to zupełnie wystarczy w świetle prawa międzynarodowego i nie będzie casus belli.

Przede wszystkim zaznaczmy jedno: Kaczyński jest zbyt doświadczonym politykiem, by po przeprowadzeniu poważnej operacji dyplomatycznej, jaką była misja do Kijowa, powiedzieć sobie ot, tak cokolwiek, co ślina na język przyniesie. Z całą pewnością propozycja utworzenia misji humanitarnej pod międzynarodowym kierownictwem była propozycją przemyślaną i wcześniej omówioną ze współpracownikami, zwłaszcza z premierem Morawieckim.

Kaczyński musiał też zdawać sobie sprawę, że jego plan zostanie w pierwszej fazie odrzucony. To było i jest oczywiste dla każdego, kto śledzi politykę NATO oraz wypowiedzi wysokich rangą oficjeli sojuszu. Ale też nie o to chodziło, by owa koncepcja została natychmiast przyjęta. Chodziło o zasianie ziarna na przyszłość, o wywołanie dyskusji oraz o zdobywanie sojuszników dla planu nie w dyplomatycznych kuluarach, a za pomocą publicznej dyskusji, w której mogą uczestniczyć media i obywatele. Chodziło również, a może przede wszystkim, o pokazanie władzom i mieszkańcom Ukrainy, że właśnie Polska jest liderem nie tylko w zakresie domagania się sankcji nakładanych na Rosję, nie tylko w zakresie pomocy humanitarnej, lecz także w sferze aktywności politycznej i budowania proukraińskiej, międzynarodowej wspólnoty.

Co ciekawe, po początkowych chłodnych reakcjach z zagranicy zaczęły się odzywać również głosy przychylne planowi Kaczyńskiego (a podejrzewam, że w związku z brutalizacją działań wojennych te przychylne głosy staną się jeszcze liczniejsze). Pozytywnie wyrazili się na ten temat minister obrony Danii Morten Bødskov, prezydent Litwy Gitanas Nausėda, a nawet (uwaga!) były szef NATO Anders Rasmussen, uznający, że jest to koncepcja, której nie należałoby wykluczać.

Biały Dom skomentował sprawę nie tylko ustami rzeczniczki prezydenta Jen Psaki, lecz także ustami przedstawicielki USA przy ONZ. Obie zapewniły, że temat będzie przedmiotem międzynarodowych rozmów, chociaż na tym etapie wykluczyły obecność żołnierzy amerykańskich na Ukrainie. Wyraźnie więc nie znaleźliśmy się w sytuacji, w której plan Kaczyńskiego zawisnął w próżni i został zignorowany lub odrzucony bez żadnej dyskusji. Już widać, że stał się on tematem rozmów. Zresztą powtórzę – ani Kaczyński, ani nikt z rządu z całą pewnością nie liczył, że tak radykalna koncepcja zostanie natychmiast przyjęta.

REAKCJA WEWNĘTRZNA

Jednak najbardziej interesująca, z punktu widzenia polskiej polityki, była reakcja wewnętrznego rynku na propozycję Kaczyńskiego. Politycy opozycji natychmiast plan zaatakowali i wyszydzili jako nierealny oraz wciągający Polskę do wojny. Jeszcze ciekawsza okazała się reakcja Romana Giertycha, zaufanego adwokata Donalda Tuska i człowieka uznawanego przez samych Rosjan za przyjaciela Kremla (a przez Jana Kulczyka nawet za rosyjskiego agenta). Oskarżył on Kaczyńskiego, że pod płaszczykiem NATO-wskiej misji pokojowej zamierza przeprowadzić plan okupacji Ukrainy, ponieważ właśnie takie porozumienie zawarł wcześniej z Putinem. Te absurdalne insynuacje szybko poparł i zaczął kolportować redaktor naczelny „Newsweeka" Tomasz Lis.

Co ciekawe, koncepcja Giertycha i Lisa brzmiała tak kuriozalnie, że wywołała niechęć nawet u wielu dziennikarzy związanych z opozycją. I tak na przykład skrajnie nieprzychylny rządowi, redaktor naczelny „Liberté!" Leszek Jażdżewski ostrzegł opozycję, że jeśli będzie się zadawać z ludźmi podobnymi do Giertycha, to zawsze będzie przegrywać wybory z PiS.

Giertych i Lis wkrótce znaleźli sobie wpływowego sojusznika. Okazał się nim Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji i jedna z najbardziej skompromitowanych kreatur reżimu Putina. W oficjalnym oświadczeniu również on przekonywał, że plan Kaczyńskiego ma ukryty, niecny cel, czyli okupację zachodniej Ukrainy przez Polskę. W jakiż interesujący sposób powielały się i uzupełniały te trzy narracje: oficjalne stanowisko Kremla, oszczerstwa mecenasa będącego zaufaną osobą Donalda Tuska oraz oszczerstwa redaktora naczelnego wielkiego tygodnika, należącego do chętnie szerzącego antypolską propagandę wydawnictwa Ringier Axel Springer!

Pomysł, że Kaczyński mógłby mieć zamiar okupowania części Ukrainy, w imię jakichś sięgających drugiej wojny światowej resentymentów, jest tak kuriozalny, że w zasadzie aż wstyd z nim dyskutować i uzasadniać jego kłującą w oczy groteskowość. To prawda, że historycznie Polacy mogą mieć żal za ukształtowanie powojennych granic w taki sposób, że Lwów, „najbardziej polskie z polskich miast", pozostał poza naszym krajem. Ale tak się stało i nie ma powrotu do dawnych czasów choćby z powodu, że na całej Ukrainie mieszka w tej chwili zaledwie ok. 150 tys. osób deklarujących narodowość polską. Więc co oznaczałaby w praktyce okupacja zachodniej Ukrainy przez Polaków?

Po pierwsze: ogromne koszty. Po drugie: walkę z ukraińskim ruchem partyzanckim. Po trzecie: zrobienie sobie śmiertelnego wroga z Ukrainy i Ukraińców. Po czwarte: wydłużenie granicy

eprasa.pl f1d71c1b92

z Rosją. Po piąte: uzależnienie się na długie lata od rosyjskich wpływów. Już nawet nie wspominam o amoralności podobnego przedsięwzięcia, które na pewno nie spotkałoby się z ciepłym przyjęciem większości polskich wyborców. Krótko mówiąc, taka imputowana Kaczyńskiemu akcja oznaczałaby, jeśli nie kompletne samobójstwo, to wprowadzenie kraju w niewyobrażalnie wielkie kłopoty. I teraz, co najważniejsze: konflikt z Ukrainą stałby w całkowitej sprzeczności z dotychczasową, wieloletnią polityką PiS, polityką odwołującą się do szlachetnej koncepcji Intermarium (czyli Międzymorza). Koncepcja ta, której realizacja jest od wielu lat celem i marzeniem PiS, zmierza w odwrotnym kierunku niż brednie serwowane przez Ławrowa, Giertycha i Lisa. Celem Intermarium jest bowiem stworzenie sojuszu państw Europy Środkowej i Wschodniej, od Łotwy poprzez Białoruś (jeśli stanie się demokratyczna) i Ukrainę aż do Chorwacji. Taki sojusz miałby równoważyć zarówno wpływy rosyjskie, jak i niemieckie. Dla Polski stanowiłby też bufor obronny przed rosyjską agresją. Pomysł okupacji Ukrainy to całkowite zaprzeczenie idei Intermarium i wrzucenie Polski w rosyjskie objęcia, a więc coś, przed czym partia Kaczyńskiego przestrzegała nas od zawsze!

WYMIERZONE W NIEMCÓW

Dlaczego więc Giertych i Lis (a z pomniejszych postaci jeszcze Jan Piński, redaktor naczelny portalu Wieści 24) zaczęli kolportować te niepoparte nawet cieniem dowodu insynuacje? Narzucającym się powodem jest inspiracja przez rosyjskie służby specjalne, dla których było to propagandowo bardzo przydatne. Rosjanie zawsze przecież starali się i starają się wbijać klin między Polaków a Ukraińców, a poza tym od dawna chętnie knują przeciwko rządowi, który uważają za najbardziej antyrosyjski w historii Polski.

Sprawa ma też jeszcze jedno dno i moim zdaniem właśnie pod nim kryje się wyjaśnienie histerycznego ataku na Kaczyńskiego. Otóż pomysł międzynarodowej misji humanitarnej był kierowany nie tylko z myślą o zaangażowaniu na rzecz Ukrainy, lecz także przeciwko bezczynności Niemców, odmawiających poważnej pomocy dla napadniętego kraju. Niemiecki rząd nie życzy sobie ani wprowadzania sankcji przeciwko Rosji, ani pomocy militarnej dla Ukrainy, cały czas pozostaje nawet nie ukrytym, a wręcz jawnym sojusznikiem reżimu Putina. Kaczyński zapewne trafnie przewidział, że Niemcy, jako członek NATO, natychmiast zaprotestują przeciwko zaproponowanej przez niego formie pomocy. Wizyta premierów w Kijowie miała niewątpliwie ogromny wymiar symboliczny i moralny, ale lider PiS wykorzystał ją również, by uderzyć w niemiecką atrofię etyczną i polityczną. W symbolice wyprawy do oblężonego Kijowa zawarty został wyraźny przekaz skierowany do Ukraińców: „Patrzcie i pamiętajcie, kto mimo niebezpieczeństwa nie cofnął się przed podróżą do waszej stolicy. Nie byli to ani Niemiec, ani Francuz, tylko Polak, Czech i Słoweniec".

Według niektórych Jarosław Kaczyński uważa, że starcie NATO z Rosją jest nieuniknione. I wolałby, żeby stało się to teraz

Kiedy już rozumiemy, że plan Kaczyńskiego jest planem uderzającym w interesy Niemiec, nagle zrozumiałe stają się również siła i charakter wymierzonej przeciwko niemu kampanii. Mecenas proniemieckiej Platformy Obywatelskiej i jej lidera (od wielu lat realizującego politykę, najłagodniej mówiąc, sprzyjającą niemieckim interesom) staje ręka w rękę z redaktorem naczelnym pisma należącego do wydawnictwa, związanego z niemieckimi kręgami rządowymi i prowadzącego nachalną propagandę proniemiecką i antypolską. Atakują Kaczyńskiego nie tylko z osobistych pobudek, nie tylko z niskiej chęci zaszkodzenia znienawidzonemu politykowi i obrzucenia go oszczerstwami, nie tylko z chęci przypodobania się elektoratowi anty-PiS. Atakują go, ponieważ wyszydzanie, wyśmiewanie i obrzucanie błotem Kaczyńskiego jest na rękę Niemcom, niezależnie od tego, czy w Niemczech rządzi CDU/CSU czy SPD. Niemieckie elity polityczne i gospodarcze są żywotnie zainteresowane tym, by PiS przegrał kolejne wybory. Stąd właśnie próby podważania przez, związaną z Berlinem, polską opozycję wszystkiego, co robi partia Kaczyńskiego, nawet jeśli byłoby to korzystne dla Polski. Opozycja wychodzi bowiem z leninowskiego założenia mówiącego „im gorzej, tym lepiej", a oznaczającego, że władzę będzie można zdobyć tylko wtedy, kiedy obecny rząd wywróci się na jakimś potężnym kryzysie.

Dlatego widzimy tak mocne naciski opozycji na władze Unii Europejskiej, by Polsce, pod wyimaginowanymi zarzutami „łamania praworządności", nadal nie przyznawać należnych funduszy, a nawet nie przyznać pieniędzy na pomoc humanitarną dla uchodźców! I w ten sposób doprowadzić państwo do kryzysu finansowego, a obywateli do wściekłości i w efekcie do zmiany sympatii wyborczych.

WOJNA JEST NIEUCHRONNA?

Na koniec jedna ważna hipoteza dotycząca planu Kaczyńskiego: według niektórych obserwatorów sceny politycznej propozycja została złożona, gdyż Kaczyński uważa starcie NATO z Rosją za nieuchronne. I wolałby, aby stało się to teraz, kiedy walki toczą się na Ukrainie, kiedy światowa opinia publiczna jest zdecydowanie antyrosyjska, kiedy państwa NATO są zaniepokojone postawą reżimu Putina i kiedy Rosja jest osłabiona sankcjami, a jej armia okazuje się niewydolna. Bo za kilka lat Rosja znowu nabierze sił, a jej ciągoty imperialne się powiększą. Przecież to prezydent Zełenski powiedział, że jeśli NATO nie pomoże wygrać Ukrainie nad Dnieprem, to niedługo samo będzie walczyć nad Wisłą. Całkiem więc możliwe, że Kaczyński zgadza się z tą diagnozą i pragnie takiej przyszłości uniknąć.

Zobaczymy, co się wydarzy dalej z planem Kaczyńskiego, czy w jakimś stopniu zostanie on wprowadzony i czy dyskusja na jego temat okaże się owocna. Ale jeżeli tak się stanie, to stawiam dolary przeciwko orzechom, że opozycja prędzej czy później zacznie twierdzić, iż misja humanitarna na Ukrainie jest jej zasługą. Tak jak politycy opozycji, po początkowych atakach, zaczęli przypisywać sobie ideę wprowadzenia „500+" czy nawet powstania Wojsk Obrony Terytorialnej, chociaż z zachowanych przekazów pisemnych i filmowych doskonale wiemy, że obie te koncepcje zwalczali na każdym kroku. Cóż, nie od dziś wiemy, że sukces zawsze ma wielu ojców. Jeśli plan Kaczyńskiego okazałby się sukcesem, nawet w ograniczonym stopniu, to chętnych do przypisania sobie tej aktywności i tego ojcostwa zgłosi się na pewno wielu...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

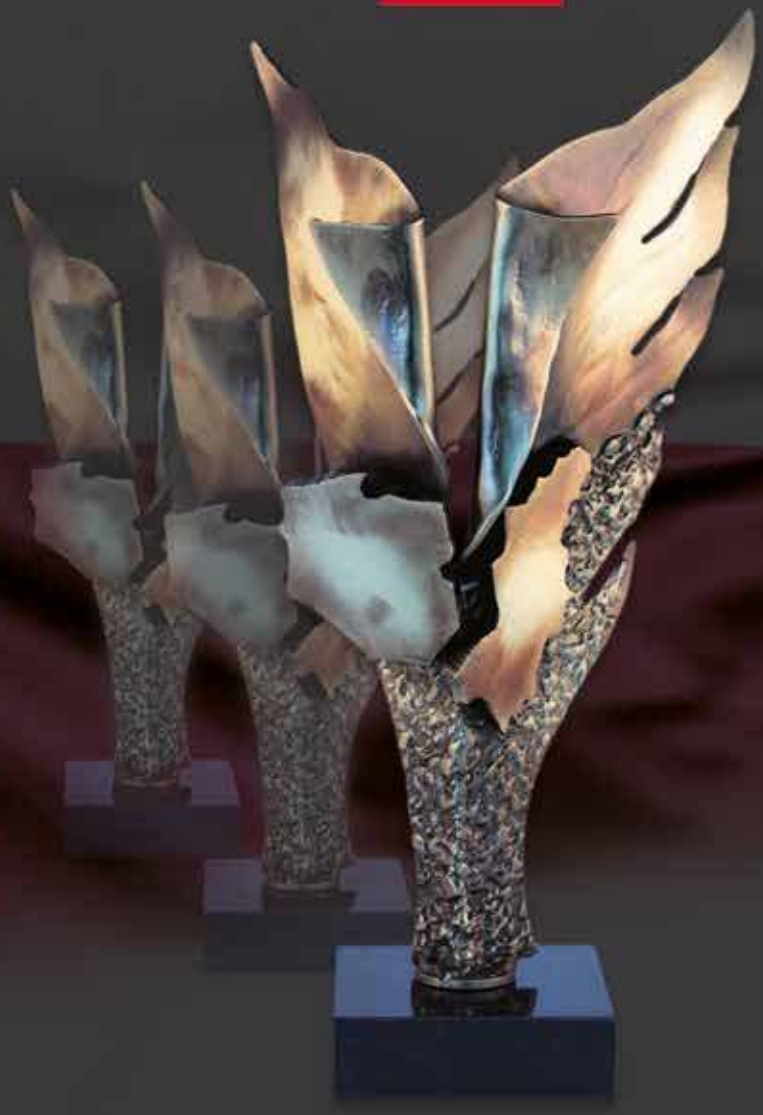

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Golonka

O co jest ta wojna

Ukraina nie walczy dziś za zachodnią Europę. Ona jest dla zachodniej Europy ryzykiem

Przy okazji dotychczasowych tekstów na temat wojny rosyjsko-ukraińskiej wskazywałem na problem niespójności dominującej retoryki wyrażonej w zdaniu: „To nasza wojna", przy jednoczesnych oficjalnych deklaracjach władz RP: „Polska nie jest stroną tego konfliktu". Wiem, za naszą granicą toczy się krwawa wojna, giną cywile, niszczony jest kraj i nie można czepiać się wszystkiego. To prawda. Niemniej sprzeczny dyskurs w tak istotnej kwestii jest po prostu dla nas niedobry, właśnie dlatego, że tuż za naszą granicą toczy się wojna, która wciąż ma potencjał przerodzić się w szerszy konflikt, nie mówiąc o możliwości trzeciej wojny światowej. W pewnych kwestiach zatem nie ma taryfy ulgowej od przejrzystości, spójności i logiki, a o przyłączeniu się (wciągnięciu!) do wojny nie mogą decydować ani nastroje społeczne i narastające emocje, ani rozbudzająca je retoryka wojenna.

Zauważyłem jednak, że wspomniana przeze mnie dychotomia w publicznym przekazie ostatnio została przezwyciężona w formie subtelnej syntezy. Otóż ze sprzecznej retoryki „to nasza wojna, ale nie jesteśmy stroną tego konfliktu" wybrnięto przekazem, że Ukraina walczy obecnie o naszą wolność i o wolność całej Europy, zapewne zapożyczonym od hasła rządu ukraińskiego, które brzmi: Ukraina walczy o wolność Europy i świata. Podobna retoryka jest, owszem, na dziś bezpieczniejsza, niemniej zawiera ona dla nas potencjalne pułapki błędnej polityki historycznej, które prędzej czy później dadzą o sobie znać.

ISTOTNE OKOLICZNOŚCI

Po pierwsze, samo w sobie podobne hasło – Ukraina walczy za wolność całej Europy – pomija, a wręcz odrzuca istotne okoliczności wojny za naszą granicą, w której Rosja w walce z Ukrainą toczy poniekąd bój ze Stanami Zjednoczonymi. I vice versa. Zacytuję najpierw Williama Burnsa, obecnego szefa CIA, który w latach 2005–2008 był ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Moskwie. W swej wydanej w 2019 r. książce „The Back Channel. A Memoir of American Diplomacy and the Case for Its Renewal" Burns cytuje depeszę, którą na początku lutego 2008 r. wysłał e-mailem do ówczesnej sekretarz stanu USA Condoleezzy Rice w kontekście możliwości zaproszenia Ukrainy do programu partnerskiego NATO:

„Ukraińskie przystąpienie do NATO jest najoczywistszą ze wszystkich czerwonych linii w oczach rosyjskich elit (nie tylko dla Putina). Po ponad dwu i pół roku rozmów z kluczowymi rosyjskimi graczami, od twardogłowych prymitywów z najgłębszych zakamarków Kremla do najzacieklejszych liberalnych krytyków Putina, wciąż nie znalazłem kogokolwiek, kto nie postrzegałby obecności Ukrainy w NATO inaczej niż jako podważanie wprost rosyjskich interesów. Na tym etapie oferta przystąpienia do programu członkowskiego (MAP) nie byłaby postrzegana jako techniczny krok do przodu na długiej drodze do członkostwa, ale jako rzucenie im w twarz strategicznej rękawicy. Dzisiejsza Rosja na to odpowie. Rosyjsko-ukraińskie relacje ulegną głębokiemu zmrożeniu… Stworzy to odpowiednie warunki do rosyjskiego mieszania się do Krymu i wschodniej Ukrainy. W przypadku Gruzji niepodległość Kosowa wespół z ofertą przystąpienia [Gruzji] do programu członkowskiego NATO prawdopodobnie doprowadziłyby do uznania Abchazji, niezależnie jak kontrproduktywne byłoby to dla długofalowych interesów Rosji na Kaukazie. Wówczas perspektywa rosyjsko-gruzińskiego konfliktu zbrojnego byłaby wielce prawdopodobna" (s. 233).

Przyszłość potoczyła się mniej więcej tak, jak prognozował przyszły szef CIA, przy czym, jak wiadomo, w 2014 r. na Ukrainie miała dodatkowo miejsce majdanowa rewolucja. Świeżo po niej, tuż po zajęciu Krymu, na łamach „The Washington Post" kwestię ukraińską komentował Henry Kissinger, jeden z głównych architektów polityki odprężenia i ograniczenia zbrojeń za prezydentury Nixona, która docelowo umożliwiła zakończenie zimnej wojny. W marcu 2014 r. Kissinger pisał:

„Dyskusja publiczna nt. Ukrainy skupia się całkowicie na konfrontacji. Ale czy wiemy, dokąd zmierzamy? W moim życiu widziałem cztery wojny rozpoczynające się z wielkim entuzjazmem i poparciem społecznym, przy czym w przypadku wszystkich z nich nie wiedzieliśmy, jak je zakończyć, a z trzech wycofaliśmy się jednostronnie. Sprawdzianem danej linii politycznej jest jej koniec, a nie początek. Zbyt często sprawa ukraińska jest przedstawiana w formie stawiania na jedną kartę: albo Ukraina przyłączy się do Wschodu, albo do Zachodu. Jeśli jednak Ukraina ma przetrwać i prosperować, nie powinna być przyczółkiem żadnej ze stron przeciw drugiej – powinna funkcjonować jako pomost między nimi. […] Putin powinien zdać sobie sprawę, że jakiekolwiek by były jego roszczenia, rozwiązania natury militarnej spowodują kolejną zimną wojnę. Ze swej strony Stany Zjednoczone muszą unikać traktowania Rosji jako kogoś nienormalnego, którego należy cierpliwie uczyć reguł po-

eprasa.pl f1d71c1b92

stępowania ustalonych przez Waszyngton. Putin jest poważnym strategiem na gruncie przesłanek rosyjskiej historii, ale rozumienie amerykańskich wartości i sposobu myślenia nie jest jego mocnym atutem. Podobnie rozumienie rosyjskiej historii i sposobu myślenia nie było silną stroną amerykańskiej polityki".

Kissinger następnie kreślił cztery punkty kompromisu obejmujące: 1) swobodę zawierania sojuszy politycznych i ekonomicznych przez Ukrainę, z przynależnością do UE włącznie; 2) odrzucenie możliwości przystąpienia Ukrainy do NATO; 3) samorządność Ukrainy na wzór Finlandii [możliwość współpracy z Zachodem bez instytucjonalnej wrogości wobec Rosji]; 4) specjalny autonomiczny status Krymu wewnątrz Ukrainy. Całość Kissinger podsumowywał tak:

„To są zasady, a nie zalecenia. Ludzie znający ten region wiedzą, że nie wszystkie z nich będą strawne dla wszystkich stron. Kryterium nie polega na absolutnym zadowoleniu, a na zrównoważonym niezadowoleniu. Jeśli jakieś rozwiązanie oparte na tych bądź zbliżonych elementach nie zostanie osiągnięte, to dryf w kierunku konfrontacji przyspieszy. A czas na nią przyjdzie stosunkowo szybko".

Właśnie na naszych oczach spełnia się przewidziany przez Kissingera czarny scenariusz „konfrontacji" zbrojnej rujnującej Ukrainę i nowej zimnej wojny.

Trudno z tych analiz, wskazujących na szerszy kontekst tej wojny (który nie zmienia faktu, że Ukraina jest ofiarą rosyjskiej napaści), dojść do konkluzji, że Ukraina walczy dziś za wolność Europy. Ukraina walczy dziś przede wszystkim – i robi to najwyraźniej heroicznie – o maksymalne przetrwanie swej suwerenności względem Rosji, o wynegocjowanie jak najbardziej korzystnych, a raczej – najmniej niestrawnych warunków pokoju, by użyć określenia Kissingera. Ma się rozumieć, Europa i Polska mogą być pod pewnymi względami beneficjentami tego konfliktu, a przynajmniej rozsądek polityczny nakazywałby, aby przy gigantycznych niekorzyściach spowodowanych dla nas przez tę wojnę próbować wydobyć, skoro wojna już się toczy, maksymalne korzyści z tej nowej sytuacji. Odblokować np. fundusze unijne pod presją Waszyngtonu na Brukselę; osłabić maksymalnie potencjał militarny Rosji etc. Wspomniane hasło jest wówczas dla Polaków czytelnym skrótem myślowym: wyznawane przez rosyjskie elity czerwone linie ingerencji w interesy Rosji to tak naprawdę przejaw rosyjskiego imperializmu; imperializm rosyjski zaś explicite zagraża Polsce i krajom bałtyckim, ergo… Rozumowanie to ma swe plusy i minusy, osobiście nie jest dla mnie oczywiste, że wojna na Ukrainie „wykrwawi" rosyjską armię w stopniu uniemożliwiającym jej hipotetyczne działania zbrojne w naszej części Europy, a przynajmniej nie upatrywałbym w tym żelaznych gwarancji dla naszego bezpieczeństwa; z kolei konsekwencje z wojny wyniszczającej na Ukrainie są i będą bardzo poważne (od kryzysu humanitarnego, który nas dotyka bezpośrednio, do widma np. klęski głodu w różnych rejonach świata, zważywszy na fakt, że Rosja z Ukrainą eksportują łącznie jedną trzecią światowego eksportu pszenicy).

Mniejsza z tym, czy wyrażony przeze mnie pewien sceptycyzm co do tych założeń jest słuszny; to hasło jako skrót myślowy, czytelny i do uzasadnienia w naszej części Europy, w Europie Zachodniej już takie nie jest, bo nikt w Berlinie czy nad Sekwaną nie uważa, że Rosja zagraża tym krajom terytorialnie bądź ich strategicznym interesom, niezależnie od tego, jak bardzo realistyczne filmiki myśliwców bombardujących Paryż produkuje ukraińska propaganda wojenna. Ba, jeśli tamtejsze urzędy mają obecnie jakiś główny priorytet, to właśnie ten, aby po pierwsze, wojna rosyjsko-ukraińska nie wciągnęła ich krajów do wojny z Rosją; a po drugie, aby polityka sankcji wobec Rosji jak najmniej uderzyła właśnie w ich interesy strategiczne. Mówiąc cynicznie: Ukraina nie walczy za zachodnią Europę, walcząca Ukraina jest wręcz ryzykiem dla zachodniej Europy.

Nie wnikam, jak daleko krytycznie zatem nasi zachodni partnerzy mogą postrzegać podobną retorykę z naszej strony, w zasadzie w stu procentach zapożyczoną z narracji ukraińskiej, chcę jednak zasygnalizować, że podobna retoryka jako wytrych na Zachodzie nie podziała.

WOJNA SIĘ PRZECIEŻ SKOŃCZY

W końcu, i jest to w moich oczach wątek najważniejszy, pewnego dnia wojna, prędzej czy później, się skończy, na nieznanych nam jeszcze warunkach pokoju, ale deklaracje pozostaną. Ukraińcy, którzy rzekomo walczyli za wolność Europy (ba, za wolność świata!), będą mogli ją oskarżać o brak wystarczającej pomocy (przecież już podobne zarzuty regularnie padają ze strony prezydenta Zełenskiego, pod kątem Unii Europejskiej i NATO, dziwnym trafem nie padają, zdaje się, pod kątem Stanów Zjednoczonych), podczas gdy niemałą odpowiedzialność za zaistnienie tego konfliktu zbrojnego za naszą wschodnią granicą, po Rosji ma się rozumieć, ponoszą – w myśl przytoczonych analiz – najwyraźniej same USA.

Otóż chwytliwą retoryką łatwo wykreować pewien mit; mit z kolei łatwo może służyć do wielu nadużyć. Czy kiedykolwiek po wojnie będzie można załatwić kwestię godnego pochówku ofiar rzezi wołyńskiej? Nie sądzę, bo w myśl wykuwanego właśnie mitu Ukraińcy w 2022 r. obronili Warszawę przed Rosją i nie będzie można podważać ich zasług drażliwymi kwestiami (poirytowanym tym przykładem przypomnę tylko, że zbrodnie przeciw ludzkości, do których należy ludobójstwo, nie ulegają przedawnieniu, a pokrzywdzeni i dzieci ofiar wciąż żyją; niegodziwością byłoby twierdzenie, że ich krzywda jest mniejsza niż obecne krzywdy narodu ukraińskiego i stąd winna być definitywnie przemilczana).

Czy będzie można w przyszłości ograniczać roszczenia pokaźnej mniejszości ukraińskiej w Polsce, np. ich kult Bandery, który przecież mobilizował ich do boju „w obronie całej Europy"?

Przykłady zagrożeń można by mnożyć, można nawet wyobrazić sobie nakręcane dla lewackich celów politycznych zjawisko ukraińskiego BLM w Polsce opartego właśnie na wykreowanym micie.

Chciałbym zresztą, aby moje obawy były zupełnie płonne, obawiam się jednak, że używając chwytliwej, zapożyczonej z ukraińskiej racji stanu retoryki, oprócz chwilowej mobilizacji społecznej „za słuszną sprawę" i wzrostów w sondażach poparcia dla partii rządzącej fundujemy sobie na własne życzenie pułapkę w zakresie polityki historycznej, która ma przecież przełożenie na samą politykę i życie społeczne. Czyniąc analogię do analizy Kissingera, nie stosujmy w ciemno narracji, która stawia wszystko na jedną kartę. Myślę, że można okazywać Ukrainie nie mniejszą niż obecnie miłość bliźniego, używając o wiele bardziej bezpiecznej retoryki, tym bardziej że uporządkowana, czyli doskonała miłość wymaga najpierw miłowania siebie samego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Łukasz Warzecha

W obecnych, spowodowanych wojną i jej konsekwencjami okolicznościach dalsze upieranie się przy narzucającej gigantyczne koszty polityce klimatycznej ze wszystkimi jej absurdami wygląda wręcz groteskowo. Przede wszystkim zaś niebezpiecznie

FOT. ADOBE STOCK

Klimat i wojna

A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory" – tak brzmiały słowa komunikatu specjalnego, nadanego przez Polskie Radio rano 1 września 1939 r. My szczęśliwie w stanie wojny z nikim nie jesteśmy – choć niektórzy wydają się o tym zapominać – i oby tak zostało. Faktem jest jednak, że trwa wojna w Europie, tuż za naszą granicą. Wojna, która już zmieniła mnóstwo spraw, a przede wszystkim poraziła europejską i światową gospodarkę. Skoro zaś w sprawie relacji handlowych z Rosją, w tym dotyczących surowców, trwa przestawianie „na specjalne tory", to wydawałoby się, że to samo powinno dotyczyć tej polityki UE, która miała niewielki sens nawet w czasach przed pandemią i wojną na Ukrainie, a teraz jest już całkowicie absurdalna. Przede wszystkim powinno to objąć politykę klimatyczną UE.

Na początek kwestia może anegdotyczna, ale dobrze obrazująca, jak mogą się zaraz posypać ukochane unijne programy. Mamy, jak wiadomo, presję na rezygnację z samochodów spalinowych i przejście na niepraktyczne auta na baterię. Wydawałoby się, że to idealny czas na takie decyzje z powodu szybujących cen surowców, które mogą jeszcze wzrosnąć. Jeśli UE zdecyduje się przedwcześnie na embargo na rosyjską ropę, to szacunki mówią o cenie ropy Brent na poziomie ponad 130 dol. Dla porównania – w ciągu ostatniego tygodnia cena tego surowca wzrosła z ok. 100 dol. 16 marca do 122 dol. w momencie, gdy powstaje ten tekst. Rok temu cena była dwa razy niższa – ok. 60 dol. Tymczasem produkcja samochodów spalinowych kuleje – na brak komponentów, wynikający z pandemii, nałożyła się wojna.

A jednak to nie takie proste. Komponenty, o których mowa i których brak, są potrzebne również do produkcji aut na baterię. Z tym że ten rodzaj pojazdów potrzebuje jeszcze czegoś, co nie ma aż takiego znaczenia w samochodach tradycyjnych: pojemnych i odpornych na zużycie akumulatorów. W większości są to dzisiaj akumulatory litowo-jonowe. Do ich produkcji potrzebne są metale ziem rzadkich, m.in. nikiel, za którego 11 proc. światowej produkcji odpowiadały Rosja i Ukraina. Wyrzucenie Rosji z systemu światowego obrotu handlowego oraz wojenna sytuacja na Ukrainie to potężne uderzenie w produkcję aut na prąd. Jeszcze gorsza wiadomość to ta, że potentatem w wydobyciu takich metali są Chiny. Ich rezerwy są szacowane na 44 mln ton, rosyjskie – na 12 mln ton, amerykańskie – jedynie na 1,4 mln ton. Rosyjską ropę ostatecznie da się zastąpić, niektórych metali ziem rzadkich w produkcji akumulatorów – nie. Kryzys tej branży to tylko kwestia czasu, zapewne niedługiego. Można w tym miejscu zadać pytanie, jaka w ogóle część pomysłów na „zazielenienie" świata oparta była na założeniu, że jako źródło surowców będzie w tym uczestniczyć Rosja. Przecież to samo miało dotyczyć wodoru, który w niedalekiej przyszłości chciały z kraju rządzonego przez Putina sprowadzać Niemcy.

ZŁE PROGNOZY

Jako się rzekło, to tylko jeden z detali obecnej sytuacji. Znacznie gorzej brzmią prognozy gospodarcze dla całego świata, w tym szczególnie dla Europy, na którą sytuacja na Ukrainie ma oczywiście największy wpływ. Stagflacja – złowrogie połączenie stagnacji gospodarczej i inflacji – nie jest już wspominana jako scenariusz marginalny, ale przeciwnie – bardzo prawdopodobny. Również w Polsce, gdzie prognoza wzrostu gospodarczego została zredukowana na ten rok do zaledwie 3,5 proc., a inflacja ma wynieść – zdaniem

eprasa.pl f1d71c1b92

NBP – w górnej granicy nawet ponad 12 proc. Niektórzy eksperci mówią tymczasem o 15, a nawet o 17 proc.

W tych okolicznościach dalsze upieranie się przy narzucającej gigantyczne koszty polityce klimatycznej ze wszystkimi jej absurdami wygląda wręcz groteskowo. Przede wszystkim zaś niebezpiecznie. Jasne jest, że główni macherzy od klimatyzmu zdają sobie sprawę z zagrożenia swojego ukochanego dziecka. Zostali jednak postawieni wobec twardych faktów.

Frans Timmermans na początku marca w Radiu BBC wygłosił stwierdzenie jak na siebie wręcz rewolucyjne. Powiedział mianowicie, że wobec konieczności jak najszybszego zerwania z rosyjskimi surowcami energetycznymi konieczne może być korzystanie przez niektóre kraje przez dłuższy czas z węgla. W tym kontekście wprost wskazana została Polska. Wziąwszy pod uwagę, że dotychczas słowo „węgiel" wywoływało wśród członków Komisji Europejskiej, której Timmermans jest wiceprzewodniczącym, niemal torsje, to jest to gigantyczna zmiana. „Nie ma w tej sytuacji żadnych tabu" – oznajmił Timmermans. I wyjaśnił: „Polska i kilka innych państw planowały rezygnację z węgla, a następnie czasowe używanie gazu i dopiero potem przejście do źródeł odnawialnych. Jeśli dłużej zostaną przy węglu, ale później od razu przejdą do źródeł odnawialnych, wciąż może to być zgodne z parametrami, jakie ustaliliśmy dla naszej polityki klimatycznej". Jednak Holender nie wspominał o rezygnacji lub choćby stępieniu najważniejszych planów zawartych w pakiecie „Fit for 55", za który odpowiada.

Kilka dni później Timmermans występował przed komisją Parlamentu Europejskiego ds. środowiska. Mówił o wojnie w kontekście spraw, którymi się zajmuje, pozwalając sobie na osobiste uwagi, w tym przypominając, że mieszkał w Rosji przez jakiś czas. Oznajmił, że „żaden Rosjanin tej wojny nie chce", co wobec wielu dostępnych już wówczas informacji, a szczególnie publikowanych potem badań czy filmów z wypowiedziami zwykłych Rosjan było diagnozą dość brawurową.

W tym wystąpieniu Timmermans już się nie hamował. Wręcz przeciwnie – jasno stwierdził, że właśnie wojna uzasadnia jeszcze większy nacisk na fatalny dla Polski program. „Musimy zrozumieć – mówił komisarz – że Zielony Ład i »Fit for 55« nie stały się mniej, lecz właśnie bardziej pilne z powodu wyzwania, przed którym stanęliśmy. Nie możemy trwać w sytuacji zależności od rosyjskiej energii, z czym wiąże się możliwość wywierania nacisku, jak to jest obecnie. Dlatego transformacja energetyczna musi zostać przyspieszona".

Jest w tym paradoks. Zielony Ład, którego elementem są uprawnienia do emisji CO_2 (ostatnio ich cena nieco spadła, z blisko 100 euro za tonę do niecałych 80), a przede wszystkim pakiet „FF55" miały za zadanie narzucenie państwom tak wysokich kosztów korzystania z paliw kopalnych, aby wymusić inwestowanie w „czystą" energię. W praktyce, przynajmniej w polskim przypadku, działanie było inne (o czym wiele razy pisałem w „Do Rzeczy"): następował tak głęboki drenaż pieniędzy z firm i innych podmiotów korzystających pośrednio lub bezpośrednio z uprawnień, że nie zostawało już nic na inwestycje. „FF55" bardzo pogłębiłby ten efekt, rozciągając system pozwoleń na emisję na transport czy budownictwo. Czyli w istocie pieniędzy na inwestowanie w „zielone" źródła byłoby mniej. A przecież właśnie obecna sytuacja, gdy wydaje się, że odwrotu od odcięcia się od rosyjskich surowców w dłuższym okresie nie ma, sama z siebie wymusza szukanie innych źródeł. I nie są do tego potrzebne rabunkowe instrumenty przymusu, takie jak „FF55". Tego Timmermans wydaje się nie dostrzegać.

Zarazem nieuchronnie szybujące ceny surowców, stanowiące ogromne obciążenie dla budżetów i obywateli oraz wzmacniające perspektywę stagflacji w skali całego kontynentu, są potężnym argumentem przeciwko dokładaniu kolejnych obciążeń, które odbiją się przecież na budżetowych możliwościach państw, a to z kolei będzie mieć wpływ na zdolność do finansowania obronności. To bardzo mocny argument przeciwko wdrażaniu „FF55". Timmermans i inni fanatycy klimatyzmu doskonale to wiedzą, dlatego upierają się, aby nie wiązać tych kwestii ze sobą, a jeśli już, to tylko w taki sposób jak wyżej opisany.

KOSZMARNY CZAS KLIMATYSTÓW

Rozpacza tymczasem António Guterres, sekretarz generalny ONZ, który w ubiegłotygodniowym wystąpieniu przestrzegał, że powrót do paliw kopalnych, który planują niektóre państwa w związku z wojną na Ukrainie, może zagrozić światowej polityce klimatycznej. Nie chodzi tutaj jedynie o węgiel, lecz również o LNG – skroplony gaz, który da się łatwo transportować na duże odległości, a który – jako alternatywa dla gazu z Rosji – wzbudził ostatnio w UE ogromne zainteresowanie (mówiła o tym niedawno w naszym tygodniku minister klimatu Anna Moskwa). Polska jest tutaj w dobrej sytuacji dzięki gazoportowi. „To szaleństwo. Uzależnienie od paliw kopalnych to pewna wzajemna destrukcja" – oznajmił Guterres, używając zimnowojennego terminu „mutually assured destruction", w skrócie MAD (czyli po angielsku: szalony), opisującego sytuację, gdy kraje posiadające broń jądrową grożą sobie nawzajem jej użyciem.

Koszmarny czas przeżywają klimatystyczni aktywiści i dziennikarze. W zaangażowanych w sprawy klimatu mediach pojawiają się lamenty, że opublikowany dopiero co nowy raport IPCC (Intergovernmental Panel on Climate Change – Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu) nie przyciągnął wystarczającej uwagi, bo wszyscy skupieni są na wojnie. Raporty IPCC były zawsze dla klimatystów Świętym Graalem. „Artykuł o raporcie IPCC pisałem podczas nocnej zmiany, jednocześnie na żywo relacjonując przebieg działań wojennych" – skarżył się Patryk Strzałkowski z Gazeta.pl, portalu niezmiennie i głęboko przecież zaangażowanego w kwestie klimatystyczne.

25 lutego Greta Thunberg – która przestała być dla mediów wyjątkową atrakcją, odkąd nie da się już o niej mówić „mała" (Szwedka ma 19 lat) – opublikowała w swoich mediach społecznościowych zdjęcie, na którym stoi przed rosyjską ambasadą z planszą opatrzoną stosownym napisem, protestując przeciwko inwazji na Ukrainę. Niestety, wyglądało to na akt desperacji, bo wojna okazuje się jednak sprawą dorosłych i infantylne pokrzykiwania oraz płacze szwedzkiej aktywistki nijak tu nie pasują. „Protestu" Thunberg nikt nie zauważył. Grupa aktywistów, którzy skupiali się przy ikonie klimatyzmu, zapowiadała antywojenne protesty w kilku krajach, m.in. w Polsce, ale sprawa się chyba rozmyła.

Niestety, nie słychać, aby działacze „Grinpicu" ruszyli na Ukrainę, żeby przykuwać się do rosyjskich czołgów, które przecież emitują gigantyczne ilości spalin. T-72 spala przeciętnie blisko 400 l ropy na 100 km, a T-80 nawet grubo ponad 500 l.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Poza cenzurą

Spotkanie Rady Sygnatariuszy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w mieszkaniu Kazimierza Janusza; przy oknie siedzi Wojciech Ziembiński, obok Adam Wojciechowski i Bogumił Studziński, listopad 1979 r.

FOT. JANUSZ KRZYŻEWSKI/ZBIORY OŚRODKA KARTA

Tomasz Cukiernik

Czterdzieści pięć lat temu, 25 marca 1977 r., powstał będący jawnie działającą opozycją polityczną Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którego istotną działalnością było wydawanie drugoobiegowych pism

Jeszcze zanim to nastąpiło, w październiku 1976 r., późniejsi działacze ROPCiO wydali pierwszy numer podziemnego miesięcznika „U Progu". Ewenementem było to, że na tytułowej stronie pojawił się orzełek w koronie. Do każdego numeru pracowicie wydrapywał go Janusz Krzyżewski. – Wyobrażenie, w winiecie pisma, orła w koronie było politycznym zamachem stanu, zważywszy na to, że oficjalnym godłem PRL był orzeł bez korony. Redaktorzy i drukarze ryzykowali kilkuletnie wyroki jako spiritus movens takiego pisma. Dlatego SB z wielką zaciekłością ścigała nas [sprawa operacyjnego rozpracowania o kryptonimie Hazardziści – przyp. T.C.], ale na szczęście bezskutecznie, dzięki przestrzeganiu ścisłych reguł konspiracyjnych – opowiada Adam Wojciechowski, jeden z liderów ROPCiO. Emil Morgiewicz przekazywał gotowy numer do techniki, na czele której stał Andrzej Czuma. Tylko Czuma wiedział, kto i gdzie powielał kolejny numer „U Progu".

CZASOPISMA ROPCIO

Adam Wojciechowski, który był jedynym dziennikarzem współredagującym pierwsze dwa pisma opozycyjne, a mianowicie „Biuletyn Informacyjny", wydawany pod auspicjami KOR, i „U Progu", zaświadcza, że działacze podziemia nie mieli żadnych trudności przy tworzeniu i kolportażu „BI". Co innego było z „U Progu". Pismo kolportowało się z ręki do ręki. – Pamiętam reakcję czytelników, zwłaszcza starego pokolenia, którzy oglądali orzełka w koronie ze łzami w oczach, a ręce trzymające pismo były drżące. To było wstrząsające wrażenie, kiedy słyszałem powtarzane szeptem słowa: „A więc nareszcie mamy naszego orzełka w koronie" – wspomina Wojciechowski. Jakie były skutki tego „zamachu stanu"? Otóż tzw. Sejm kontraktowy w grudniu 1989 r. uchwalił ustawę o zmianie nazwy państwa i jego godła. Orzełkowi przywrócono koronę.

Ważną sprawą było publiczne zbieranie podpisów pod apelem rzeczników ROPCiO z 29 listopada 1977 r. do Rady Państwa PRL o niezwłoczną publikację w „Dzienniku Ustaw" Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, które Rada Państwa ratyfikowała 3 marca 1977 r., ale które nie zostały opublikowane i przez to nie weszły w życie. W komunikacie Biura Prasowego ROPCiO z 27 grudnia 1977 r. podano informację, że po 27 dniach prowadzenia akcji liczba wniosków obywatelskich skierowanych do Rady Państwa, o których Ruch został powiadomiony, wyniosła 1288. Dzięki temu Międzynarodowy Pakt Praw Politycznych i Obywatelskich oraz Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych zostały opublikowane w „Dzienniku Ustaw" z 29 grudnia 1977 r. W tym momencie tzw. drugi obieg prasy i książek przestał być nielegalny, a konfiskata tych druków przez SB stała się przestępstwem według obowiązującego prawa. W wydawanym przez uczestników ROPCiO Andrzeja Mazura i Andrzeja Ostoję Owsianego kwartalniku „Aspekt" przedrukowano treść art. 19 pkt 2 Paktu, w którym czytamy, że „każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii".

Wojciechowski wspomina, że w 1977 r. jako członek zespołu redakcyjnego „Opinii", miesięcznika ROPCiO, wystąpił o akredytację i dopuszczenie do udziału w konferencji prasowej prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, który przebywał wówczas w Polsce. Niestety,

eprasa.pl f1d71c1b92

bezskutecznie. W tej sytuacji treść trzech pytań przekazał Richardowi A. Virdenowi, attaché prasowemu ambasady amerykańskiej. Ten 31 grudnia pojawił się w lokalu redakcyjnym „Opinii" mieszczącym się w mieszkaniu Kazimierza Janusza w Warszawie. Na stole położył kopertę zapieczętowaną pieczęcią prezydencką i oświadczył, że zawiera ona podpisane przez prezydenta Cartera odpowiedzi na pytania przedstawione przez redakcję pisma. List skierowany był do Wojciecha Ziembińskiego, lidera ROPCiO i członka zespołu redakcyjnego.

Attaché Virden nie chciał usiąść pomimo zaproszenia, a tylko uprzejmie poprosił, żeby nie informować publicznie o treści wywiadu przed ogłoszeniem ich przez biuro prasowe amerykańskiej delegacji, co nastąpi w Teheranie o godz. 17 czasu warszawskiego. Działacze ROPCiO naturalnie zgodzili się, a Virden ukłonił się i wyszedł. Nazajutrz 1 stycznia 1978 r. w irańskiej stolicy Amerykanie ogłosili treść wywiadu udzielonego przez Cartera „Opinii", publikując zadane po polsku pytania oraz odpowiedzi prezydenta – po angielsku. Następnego dnia podczas konferencji prasowej w Warszawie członkowie ROPCiO uczynili to samo, ogłaszając treść pytań i odpowiedzi. Oficjalny tekst wywiadu ukazał się w komunikacie Biura Prasowego ROPCiO z 2 stycznia 1978 r.

Zakładając ROPCiO, działacze Ruchu zamanifestowali istnienie w PRL nurtu niepodległościowego, odwołującego się do tradycji II RP, AK, powstania warszawskiego czy podziemia niepodległościowego. Powstanie tego ruchu obywatelskiego było efektem fiaska rozmów z KOR w sprawie utworzenia jednej wspólnej organizacji opozycyjnej. W rezultacie 25 marca 1977 r. 18 sygnatariuszy „Apelu do społeczeństwa polskiego" proklamowało powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, który przetrwał do czasu wprowadzenia stanu wojennego. Poza „Opinią" i „U Progu" organizacja wydawała także „Bratniaka" w Gdańsku, „Opinię Krakowską" w Krakowie, „Kronikę Lubelską" w Lublinie, „Wolne Słowo" w Kaliszu, „Ruch Związkowy" (pismo dla robotników), „Ucznia Polskiego" (pismo dla uczniów szkół średnich) oraz „Gospodarza" (pismo dla rolników).

„GOSPODARZ"

Wydawcami tego ostatniego czasopisma byli Tadeusz Szozda oraz Stanisław Michalkiewicz, ówczesny dziennikarz „Zielonego Sztandaru", którego biografię miałem przyjemność napisać. Kiedy pod koniec 1977 r. Michalkiewicz zgłosił swój akces do ROPCiO, jednym z pierwszych zadań dla niego było właśnie przygotowanie i wydrukowanie „Gospodarza". Redaktorzy szybko zrealizowali pierwszy numer. Adam Wojciechowski był zaskoczony, kiedy już na drugim spotkaniu Michalkiewicz wręczył mu gotowe pismo. – Chodziło o to, by mieć profesjonalny skład redakcyjny dla „Gospodarza", tak jak w przypadku „Opinii". I nagle jak z nieba spadł Michalkiewicz, który dużo nie gadał, tylko siadł i wystukał pierwszy numer pisma – mówi Wojciechowski.

Wydrukowany na offsecie pierwszy numer z datą 25 grudnia 1977 r. miał 12 stron. Trzy kolejne numery wykonane na powielaczu ukazały się do marca 1978 r. Spośród pism ROPCiO „Gospodarz" wyróżniał się największą regularnością. Na jego łamach broniono prywatnej własności ziemi i gospodarki rodzinnej oraz krytykowano zmiany na wsi, których celem było podporządkowanie rolników administracji państwowej. – Stasio świetnie znał realia, a to, co pisał, trafiało we właściwe ręce. Kilkaset egzemplarzy pierwszego „Gospodarza" trafiło do kilku czy kilkunastu wiosek w Lubelskiem. To był celny cios w komunę każdego miesiąca – ocenia Wojciechowski. Michalkiewicz przekonał też Ziembińskiego, żeby wydali drukowaną gazetę, bo maszynopis nie będzie ceniony na wsi. – Jak się da chłopu maszynopis, to nie będzie wiedział, czy ma czytać czy powiesić w sraczu – miał wtedy powiedzieć Michalkiewicz. Ziembiński zgodził się z tym punktem widzenia, Michalkiewicz więc, poprzez łańcuch znajomości, kupił od pracowników odlewni czcionek kradzione czcionki. Do transakcji doszło w toalecie kawiarenki koło kina Moskwa w Warszawie. Opozycjonista miał dwie walizeczki dyplomatki. Do nich schował czcionki, jednak okazały się potwornie ciężkie. Dwie walizy z ołowiem. Mogły ważyć po 30 kg. Co parę kroków musiał przystawać, jednak jakoś je doniósł na miejsce. Drukarze sami organizowali też farbę i papier. Z papierem był największy problem. Gdy się pojawiał, to kupowali większe ilości i gromadzili go potem w piwnicy Szozdy.

Z Instytutu Maszyn Matematycznych drugoobiegowi drukarze skombinowali ramy do składania i drukowania, a Michalkiewicz opracował specjalną technologię: układał tekst w ramach. Na szklanej płycie rozcierał farbę drukarską i Szozda szerokim wałkiem fotograficznym przejeżdżał po tej złożonej ramie. Michalkiewicz kładł na to papier i przejeżdżał czystym wałkiem. Następnie Szozda rozbierał czcionki w różnych częściach kaszty, a Michalkiewicz składał następną stronę. Złożenie jednej zajmowało 12 godzin. To było dosyć pracochłonne, ale udało się osiągnąć nawet dobrą wydajność. Drukowali ok. 500 egzemplarzy jednej strony A4 na godzinę. Wszystko ręcznie. Zrobienie całego numeru trwało około tygodnia. Pierwszy drukowany, a piąty w ogóle numer „Gospodarza" ukazał się 25 kwietnia 1978 r. To rzeczywiście był przełom. – Tadziu, teraz choćby Breżniew się zesrał, to już nic nie poradzi. Zrobione i poszło – powiedział Michalkiewicz do Szozdy, kiedy piąty numer „Gospodarza" przekazali do kolportażu.

Z powodu zainteresowania SB drukarze kilkakrotnie przenosili miejsce, gdzie przygotowywali „Gospodarza". Przy tych przeprowadzkach problemem okazały się bardzo ciężkie czcionki, które niemal nie doprowadziły do dekonspiracji. – W latach 1977–1978, kiedy drukowaliśmy „Gospodarza", bezpośredniego ataku na nas nie było. Chodzili za nami, ale jakoś szczęśliwie unikaliśmy konfrontacji z esbekami czy też nie wykazywali oni należytej staranności. Nie wpadli nigdy na trop naszej drukarni – opowiada Tadeusz Szozda. Bezpieka wiedziała, że Michalkiewicz dostarczał artykuły do „Gospodarza", ale nie, że drukował pismo.

Większość nakładu (początkowo kilkaset egzemplarzy, a potem do 3 tys.) wydawcy przekazywali do struktur ROPCiO Piotrowi Typiakowi, który organizował kolportaż na terenie całego kraju. Część nakładu drukarze rozdawali w kręgu znajomych. „Gospodarza" rozprowadzano za darmo z notką: „Nie niszcz! Przeczytaj, daj drugiemu!", ale cała masa ludzi składała datki. – Starałem się zawsze robić to, co chciałem, a często było tak, że to, co musiałem robić, pokrywało się z tym, co chciałem. Czegóż chcieć więcej? W latach 70. walka z cenzurą była skazana na niepowodzenie, więc zacząłem wydawać pismo poza cenzurą z kolegą Tadeuszem Szozdą. To jest mój sukces – podkreśla Stanisław Michalkiewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Amerykanie na Pacyfiku

Prawdziwa historia na ogół znacznie się różni od powszechnych wyobrażeń na jej temat. Modelowym przykładem może być kwestia kapitulacji Cesarstwa Japonii. Wielu ludzi uważa, że Japonię na kolana rzuciły atomowe błyski w Hiroszimie i Nagasaki.

W tej optyce uderzenie atomowe w gęsto zaludnione miasta i zagłada ponad 100 tys. cywilów jawią się niemal jako akt pacyfistyczny i humanitarny. Bomby atomowe zakończyły wojnę! Oszczędziły życie milionów.

W rzeczywistości, gdy „Enola Gay" zrzucał bombę Boy na Hiroszimę – Japonia de facto była już pokonana. A jej kapitulacja była tylko kwestią czasu.

Cesarstwo na kolana rzuciła bowiem blokada morska. A blokadę tę założyły amerykańskie siły podwodne. Japonia, jako kraj wyspiarski, uzależniona była od morskich dostaw surowców i żywności. Z kolei z Japonii wypływały statki, które dostarczały broń i zaopatrzenie dla oddziałów walczących w odległych częściach imperium.

Przecięcie tych linii komunikacyjnych przez amerykańskie okręty podwodne było dla Japonii katastrofą. Gospodarczy i militarny potencjał azjatyckiego imperium został skruszony.

Dlatego słynny historyk marynista Clay Blair książkę o amerykańskiej wojnie podwodnej na Pacyfiku zatytułował „Ciche zwycięstwo". Clay w pasjonujący sposób przedstawia bojowe sukcesy podwodniaków z USA. Skrupulatnie wyliczył, że zatopili oni tysiąc japońskich jednostek!

Olbrzymi wkład w to zwycięstwo mieli amerykańscy kryptolodzy. Złamali oni japońskie szyfry i na bieżąco informowali okręty podwodne o ruchach nieprzyjaciela.

Amerykańscy podwodniacy musieli walczyć nie tylko z Japończykami, lecz także z własnymi słabościami. Marynarka wojenna zaopatrzyła ich w wadliwe torpedy i szkoliła w błędny sposób. Tym większe uznanie należy się tym dzielnym ludziom. Clay podkreśla, że gdyby nie błędy dowództwa, „wojna na Pacyfiku byłaby krótsza o wiele miesięcy".

Nie jest tajemnicą, że w przypadku ewentualnej konfrontacji z Chinami Amerykanie również planują pokonać Państwo Środka blokadą morską. Niestety, zła wiadomość dla Amerykanów jest taka, że Chiny nie są wyspą. ©℗

★★★★★★
CLAY BLAIR „CICHE ZWYCIĘSTWO" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kurlandzkie ostatki

Pożegnalnym akordem dziejów księstwa Kurlandii i Semigalii jako lenna Rzeczypospolitej były kilkutygodniowe walki wojsk polskich z Rosjanami podczas insurekcji kościuszkowskiej. Powstańcy mieli bowiem nad Bałtykiem swoich sympatyków, a jednym z nich był Henryk Mirbach pochodzący z miejscowej szlachty. Na czele zebranego przez siebie stuosobowego oddziału pojawił się pod koniec maja 1794 r. pod Lipawą i zażądał od władz miasta, by sprzedano mu broń. Ostatecznie w zamian za weksel otrzymał 120 cetnarów (ok. 800 kg) prochu, 2 tys. karabinów i dwie armaty.

Miesiąc później powstańcy ponownie pojawili się pod Lipawą, weszli do miasta, a Mirbach oświadczył, że objął władzę w imieniu Rady Najwyższej Narodowej. Zażądał też podpisania aktu przystąpienia do insurekcji, co wywołało konsternację. Zarówno bowiem szlachta, jak i mieszczanie uważali, że Mirbach reprezentuje władze rewolucyjne, co nie wszystkim się podobało. Tym bardziej że z Wilna dotarły już informacje o publicznym powieszeniu hetmana wielkiego litewskiego Marcina Kossakowskiego, a być może także o śmierci na szubienicy w Warszawie jego brata, biskupa inflanckiego. Nie mieli jednak wyboru, gdyż na wszelkie pytania uzyskiwali krótką odpowiedź, że „tak być musi i inaczej być nie może".

W tej sytuacji nie stawiano oporu i Kościuszkę uznano za Najwyższego Naczelnika, a Mirbacha powołano na generała majora Księstwa Kurlandzkiego. Nominat wydał z tej okazji wielką ucztę, „a w ciągu takowej spełniano przy odgłosie trąb i kotłów kielichy na cześć Rzeczypospolitej i Kościuszki".

Trudno jednak stwierdzić, czy Kurlandczycy szczerze wznosili toasty. Szlachta była sfrustrowana, gdyż pod groźbą utraty majątków wymuszono na niej obowiązek przekazania części ziemi chłopom. Wprawdzie nie sprecyzowano warunków operacji, ale już sama zapowiedź wystarczyła, by wśród włościan zapanowało wrzenie. Odmawiano pańszczyzny i rabowano ziemiańskie spichlerze, chociaż chłopscy ochotnicy, którzy przyłączyli się do powstania, często dezerterowali, a gdy napotykali wrogie oddziały, natychmiast rzucali się do ucieczki.

Gdy insurekcja upadła na sąsiedniej Litwie, Rosjanie opanowali Kurlandię, a miejscowa „szlachta niemiecka wzięła odwet na włościanach, mszcząc się okrutnie na »wściekłym pospólstwie«". Ostatecznie Sejm Kurlandzki ogłosił 28 marca 1795 r. włączenie księstwa w granice Rosji i pod jej panowaniem ziemie te miały pozostać przez 120 lat. Czasy zwierzchnictwa Rzeczypospolitej nigdy już nie powróciły. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl f1d71c1b92

Oblężona twierdza

Maciej Pieczyński

Moskwa „walczy z faszyzmem". Broni się przed „agresją" i „wyzwala bratnią Ukrainę". Większość Rosjan święcie wierzy w kremlowską propagandę, popierając nie tylko „operację specjalną", lecz także ewentualną wojnę z Zachodem

Tysiące ludzi 18 marca na moskiewskim stadionie Łużniki świętowały ósmą rocznicę aneksji Krymu. Czyli – według oficjalnej terminologii – „ponownego zjednoczenia" półwyspu z rosyjską macierzą. Osiem lat temu Władimir Putin bił rekordy popularności. Nawet najbardziej opozycyjni i prozachodni politycy z Nawalnym na czele bali się otwarcie zanegować słuszność bezkrwawej aneksji terytorium, które Rosjanie zawsze uważali za swoje. Obecna wojna jest krwawa, dlatego poparciem cieszy się mniejszym, ale i tak ogromnym.

WIĘKSZOŚĆ ROSJAN CHCE TEJ WOJNY

Rocznica zajęcia Krymu była okazją do zamanifestowania poparcia dla agresji na Ukrainę, której symbole narodowe podczas wydarzenia demonstracyjnie deptano i wyrzucano. Tak wyglądał „Koncert poparcia dla świata bez nazizmu". Rozentuzjazmowany tłum wymachiwał flagami Federacji Rosyjskiej, a także flagami z łacińską literą „Z" – symbolem, który pojawił się jako oznaczenie na rosyjskich czołgach i wozach opancerzonych podczas inwazji. Litera „Z" często przyozdabiana jest kolorami tzw. wstążki św. Jerzego, symbolu rosyjskiego imperializmu i prorosyjskiego separatyzmu na Ukrainie. „Z" może oznaczać „Za pobiedu" („Za zwycięstwo"), „Za mir" („Za pokój" – sic!), „Za prawdę", „Zapad" („Zachód"), „Zełenski" – jednoznacznej wykładni Kreml nie przygotował.

Sprawiedliwi wśród Rosjan są, ale jest ich niewielu. To jest wojna większości Rosjan i Rosji, nie tylko Putina. Według badań Wszechrosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej (WCIOM) odsetek Rosjan popierających „operację specjalną" wynosi 71 proc. WCIOM to państwowa instytucja. Jednak przedstawione przez nią wyniki mniej więcej pokrywają się z szacunkami niezależnych socjologów.

Agresywna polityka zagraniczna zawsze wzmacniała popularność Putina. 18 marca opozycyjne Radio Swoboda opisało dwa sondaże przeprowadzone przez grupę niezależnych socjologów. Ponownie okazało się, że 71 proc. Rosjan popiera wojnę na Ukrainie, odczuwając przy tym pozytywne emocje. Autorytarna Rosja po 24 lutego staje się coraz bardziej totalitarnym państwem, bezwzględnie tępiącym wszelkie przejawy opozycyjności. Na sondaże i deklarowane nastroje wielu Rosjan muszą wpływać ostra wojenna cenzura i penalizacja. Za rozpowszechnianie „fałszywych informacji" o działaniach sił zbrojnych FR grozi do 15 lat więzienia. Już w dniu wybuchu wojny pod groźbą kary zobowiązano media do tego, by przedstawiając wydarzenia na froncie, korzystały wyłącznie z oficjalnych kremlowskich źródeł. Presja władz odniosła skutek. Przestały nadawać opozycyjne Radio Echo Moskwy i telewizja Dożdż, wiele zagranicznych

eprasa.pl f1d71c1b92

„wyzwolicieli”

FOT. RAMIL SITDIKOV/AFP/EAST NEWS

redakcji opuściło Rosję. Władze próbują cenzurować Internet. Facebook i Instagram zostały zakazane z uwagi na „działalność ekstremistyczną”, zagrażającą bezpieczeństwu państwa.

IMPERIALIZM W MENTALNOŚCI

Tradycyjnie żelazny elektorat Putina to prowincja. Przeciwko wojnie protestuje część wielkomiejskiej inteligencji Moskwy i Petersburga. Nie oznacza to, że cała wykształcona i młoda Rosja występuje – choćby po cichu – przeciwko wojnie. Przeciwnie. Imperialne myślenie jest nie tyle odgórnie narzucaną przez władze ideologią, ile immanentną częścią mentalności, światopoglądu większości Rosjan, również tych z elit. „Puszkin, Gogol i Dostojewski byliby dziś z nami” – zapewnił uczestników koncertu na Łużnikach Zachar Prilepin, rosyjski pisarz, który sam walczył na froncie po stronie separatystów. Niestety, możliwe, że trafnie ocenił swoich wielkich poprzedników. Gogol i Dostojewski zachwycali świat swoją twórczością, ale jednocześnie walczyli piórem na froncie rosyjskiego imperializmu. Kultura w Rosji nie jest, jak w krajach Zachodu, co do zasady internacjonalistyczna, otwarta, opozycyjna i liberalna, tylko raczej nacjonalistyczna, imperialistyczna, serwilistyczna wobec władzy i antyliberalna. To samo dotyczy nauki, biznesu, sportu itd., itp.

Iwan Kuliak, brązowy medalista Pucharu Świata w gimnastyce artystycznej, na podium wszedł w koszulce, na której widoczna była litera „Z”. Gest tym bardziej skandaliczny, że pierwsze miejsce zajął reprezentant Ukrainy. Swietłana Chorkina, siedmiokrotna medalistka olimpijska, również gimnastyczka artystyczna, opublikowała w Internecie zdjęcie litery „Z”, deklarując przy tym, że nie wstydzi się być Rosjanką. Inwazję poparł też były mistrz szachowy Siergiej Kariakin, za co został wykluczony z kilku zawodów. Przed meczem hokeja Ska Neftianik i Dynamo Moskwa zawodnicy obu drużyn ustawili się w literę „Z”. Ten symbol „operacji specjalnej” pojawia się też na drzwiach domów i biur zwolenników inwazji.

Do celów propagandowych wykorzystywane są dzieci i młodzież. W Internecie można znaleźć zdjęcia czy nagrania przedszkolaków, uczniów szkół, a nawet podopiecznych hospicjum dziecięcego ustawionych w literę „Z”. Coraz bardziej prawdopodobne, że na front ma zostać wysłana Junarmia, czyli Młoda Armia – złożona z nastolatków organizacja paramilitarna, swego rodzaju Putinjugend. Studenci Państwowego Instytutu Kultury w Kazaniu, ubrani w jednakowe koszulki z wiadomym symbolem, z uniesionymi, zaciśniętymi pięściami wykrzykiwali hasła „Naprzód, Rosjo!” oraz – uwaga! – „Za pokój!”. W tym jednym geście widać cały absurd rosyjskiej propagandy. Państwo agresor nieudolnie udaje gołąbka pokoju.

Korpus Rektorów Federacji Rosyjskiej wydał oświadczenie o poparciu dla „demilitaryzacji i denazyfikacji Ukrainy”. W dokumencie wyrażono „pełne zrozumienie i poparcie dla prezydenta Rosji”. „W tych dniach bardzo ważne jest wsparcie dla naszego kraju, naszej armii, która broni naszego bezpieczeństwa […]. Ważne jest, aby nie zapominać o naszym głównym obowiązku – prowadzeniu nieustannego procesu wychowawczego, zaszczepieniu w młodych patriotyzmu, chęci pomocy Ojczyźnie” – czytamy. Sygnatariuszom najpewniej nikt pistoletu do głowy nie przystawiał. Oświadczenie podpisało 260 rektorów uczelni wyższych, w tym Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego czy Petersburskiego Uniwersytetu Państwowego.

Studenci uczelni MGIMO – renomowanej państwowej uczelni kształcącej dyplomatów – nagrali apel do Wołodymyra Zełenskiego. Przypomnieli to, o czym prezydent Ukrainy sam mówił, zwracając się do Rosjan – że jego dziadek walczył w szeregach Armii Czerwonej. Tyle że Zełenski użył tej historii jako potwierdzenia tego, że nie jest faszystą i że nie rządzi faszystowskim krajem. Studenci MGIMO przeciwnie – zaapelowali, by właśnie z uwagi na rodzinną historię przerwał rozlew krwi, poddał się Rosji i pozwolił na denazyfikację… To bardzo charakterystyczne. Rosjanie przekonują, że każda ofiara operacji specjalnej leży na sumieniu rządu w Kijowie. Bo armia rosyjska chce tylko uratować bratni naród przed „faszystowskim gadem”, więc Zełenski ma wręcz moralny obowiązek to umożliwić. Ukraiński prezydent przedstawiany jest jako narkoman i nazista. Pojawiły się w Rosji głosy, by pozostawić go przy władzy na Ukrainie, przy uprzedniej aneksji sporej części ziem tego państwa. Tego typu propozycje padały ponoć również w ramach rozmów pokojowych. Prokremlowski politolog Siergiej Michiejew w popularnym programie telewizyjnym „Wieczór z Władimirem Sołowiowem” nie krył swojego oburzenia takimi pomysłami. Stwierdził, że to tak, jakby w 1945 r.

eprasa.pl f1d71c1b92

pozostawić przy władzy Hitlera lub Himmlera. Jego zdaniem „denazyfikacja" powinna być pełna. Tu widać, jak opór Ukraińców wywołuje pewne zgrzyty w rosyjskiej machinie propagandowej.

FASZEROWANI PROPAGANDĄ

Już wiele razy z ust najważniejszych osób w państwie Putina można było usłyszeć, że Rosja nigdy na nikogo nie napadała. Na Ukrainę też. To nie jest wojna, to nie jest nawet wojna sprawiedliwa. Tylko „operacja specjalna". Propaganda głosi, że celem jest denazyfikacja i demilitaryzacja państwa, które mordowało rosyjskojęzyczną cywilną ludność Donbasu przez osiem lat, a w ostatnim czasie planowało napaść na Rosję. Ma to być „wyzwolenie" państwa okupowanego przez nazistów i zaprzedanych Zachodowi zdrajców, którzy uczynili z Ukrainy anty-Rosję, przyszły lotniskowiec NATO. Putin uważa – przynajmniej oficjalnie – Ukraińców za część narodu rosyjskiego, którzy albo otwarcie pragną żyć w zgodzie i przyjaźni z Federacją Rosyjską, i przekonuje, że kijowska junta im tego siłą zabrania, albo pragną tego skrycie i dopiero operacja specjalna ma im to uświadomić.

Propaganda Kremla nie przyjmuje do wiadomości istnienia niezależnego narodu ukraińskiego, który broni się przed napaścią z zewnątrz. Kto się broni, ten nazista. Wszelkie zbrodnie na ludności cywilnej Ukrainy to dla Rosjan fejki produkowane przez Kijów i Zachód. W rzeczywistości Rosjanie bombardują jedynie bazy neonazistowskiego pułku „Azow". Tak się składa, że gdy rosyjska bomba spadnie na jakiś obiekt cywilny, zabijając niewinnych ludzi, to zaraz rosyjska propaganda ogłasza, że to była baza Azowców. Wielotysięczne protesty rosyjskojęzycznych Ukraińców przeciwko okupantom propaganda przemilcza. Za to co rusz swoich odbiorców karmi przekazem o rzekomym ludobójstwie mieszkańców republik Donieckiej i Ługańskiej, mordowanych nawet teraz przez banderowców. Nawet sami Ukraińcy mają być w myśl tej narracji ofiarami reżimu Zełenskiego. Oto bowiem armia Kijowa wykorzystuje cywilów jako żywe tarcze, ostrzeliwując Rosjan z domów mieszkalnych (ten sam zarzut pada z drugiej strony), a „Azow" bezwzględnie morduje tych, którzy nie chcą przeciwstawiać się rosyjskiemu „wyzwoleniu". Nawet na ulicach zniszczonego Mariupola propagandyści potrafią znaleźć jednostki, które przed kamerą mówią

Propaganda Kremla nie przyjmuje do wiadomości istnienia niezależnego narodu ukraińskiego, który broni się przed napaścią z zewnątrz

o terrorze kijowskiej junty. Oglądając kremlowską telewizję, można odnieść wrażenie, że gdyby nie operacja specjalna, ukraińscy naziści najpierw wymordowaliby Ukraińców, później mieszkańców Donbasu, a następnie napadliby na Rosję.

NATO TO TEŻ NAZIŚCI

Ukrainę Rosjanie „wyzwalają", słowa „wojna", „agresja" są zakazane, bo Moskwa traktuje to jako problem wewnętrzny. Ale już Zachód to problem zewnętrzny. Problem, który należałoby rozwiązać siłą, nie bawiąc się w eufemizmy typu „operacja specjalna". NATO to taki sam wróg jak naziści – ukraińscy dziś czy niemieccy kiedyś. Nieprzypadkowo właśnie tą obelgą tak chętnie Kreml szermuje. W kraju, którego największą dumą narodową jest pokonanie Hitlera, nie ma gorszego epitetu niż „faszysta" czy „nazista". Skuteczne wpojenie Rosjanom, że ich wróg hołduje właśnie takiej ideologii, pozwala wroga całkowicie zdehumanizować. Skoro więc nazizm, „okupujący" dziś Ukrainę, ma swe źródła na Zachodzie, dlaczego by tego Zachodu nie zniszczyć?

Władimir Sołowiow otwarcie stwierdził, że Ukraina to tylko etap na drodze do pełnego zapewnienia strategicznego bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Putin od dawna grozi światu bronią jądrową. Jego rzecznik Dmitrij Pieskow zapowiedział, że może być ona użyta, jeśli Rosja poczuje się zagrożona. Siergiej Michiejew stwierdził, że Polacy i Litwini stali się „bezczelni" w swojej antyrosyjskiej polityce, a powinni rozumieć, że Rosja „poradziłaby sobie z nimi szybciej niż z Ukrainą". Mianowicie – przeprowadziłaby „lokalną operację" celem „utworzenia korytarza do obwodu kaliningradzkiego". Groził też wprost atakiem jądrowym: „Dzielni Polacy, z waszej pięknej Warszawy w pół sekundy nic nie zostanie!".

Polsce poświęcił też obszerny tekst Dmitrij Miedwiediew. Morawieckiego i Kaczyńskiego, wizytujących Kijów, porównał z Leninem, który za niemieckie pieniądze pojechał w zaplombowanym wagonie do Piotrogrodu, by wywołać rewolucję. Po raz kolejny Zachód wysyła swoich agentów z zadaniem: zniszczyć wielkie imperium rosyjskie. Bo przecież Ukraina to jego nieodłączna część. Miedwiediew, wbrew prawdzie, stwierdził, że Polska, inaczej niż Rosja (sic!) zakłamuje własną historię, rugując z niej pamięć o przyjaźni z ZSRS. W jego opinii Warszawa nie potrafi się pogodzić z faktem, że przegrała z Moskwą walkę o to, kto będzie imperium. Te fantomowe bóle po dawnej potędze mają determinować polską „rusofobię".

Podobny punkt widzenia zaprezentował Ławrow. Próbując zdyskredytować „wyprawę kijowską", insynuował, że prawdziwym celem Polaków nie jest misja pokojowa, lecz „odzyskanie" Ukrainy Zachodniej. Rosja mierzy Polskę swoją miarą, przypisując jej to, co sama praktykuje od wieków – czyli imperializm i „zbieranie ziem" niegdyś zajmowanych. Kremlowscy propagandyści próbują przekonać, że przedmiotem sporu nie jest niepodległość Ukrainy (w końcu to część Rosji), ale podział stref wpływów między dobrą Rosję a złe NATO. Sojusz północnoatlantycki wypycha Rosję na wschód, pożerając jeden za drugim jej dawnych „sojuszników". Na szczęście „niedźwiedź się przebudził" i się broni.

Rosjanie robią właściwie wszystko to, o co oskarżają swoich wrogów na Zachodzie. Prowadzą agresywną, ekspansjonistyczną politykę, mordują cywilów, cenzurują swoich oponentów… Wreszcie: system Putina coraz bardziej przypomina nazizm. Z literą „Z" jako swastyką, Junarmią jako Hitlerjugend, z umacniającą się dyktaturą i przekonaniem o wyższości „rosyjskiego świata" nad Zachodem, z manichejskim sporem dobra i zła, gdzie dobro jest na literę „Z". Rosyjska dusza, pełna paradoksów, pozbawiona tonującej nastroje sfery neutralnej (w prawosławiu nie ma czyśćca), a więc co do zasady skłonna do radykalizmów, nie przeszła przez zachodnią szkołę racjonalizmu i humanizmu (te idee próbowano zaszczepiać odgórnie i powierzchownie – bez skutku), podatna jest na irracjonalne, zideologizowane myślenie, w którym wiara w wodza silniejsza jest niż wiedza o tym, co naprawdę się dzieje. Rosjanie, pytani o zbrodnie swojej armii, gdy już nie potrafią ich nijak zanegować, sięgają po najwyższą instancję. Stwierdzają mianowicie, że skoro Putin podjął decyzję o ataku, to musiał mieć swoje powody. Amen.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. WWW.YACHTWORLD.DE

JACHT OLIGARCHY UTKNĄŁ BEZ PALIWA

Władimir Strzałkowski, były agent KGB i znajomy Władimira Putina, ma olbrzymi jacht. Jego załoga właśnie utknęła w Norwegii. W porcie w Narwiku nikt nie chce tej jednostki zatankować. „Dlaczego mielibyśmy im pomagać? Mogą wiosłować do domu lub użyć żagli" – stwierdził w norweskich mediach Sven Holmlund, lokalny dostawca ropy. Wydaje się jednak, że odpłynąć o wiosłach jachtem o długości 68 m będzie jednak bardzo trudno. Żagla też na nim nie ma.

AGRESOR W MAJTKACH WROGA

Siły Zbrojne Ukrainy co jakiś czas publikują ciekawostki z frontu. Dzięki temu wiadomo m.in., że Rosjanie, którzy najechali ten kraj, przysłani zostali tam wiekowymi pojazdami, i że czasem głodują, więc okradają sklepy, a nawet zdarza im się ganiać za kurami. Okazuje się, że z wyposażeniem rosyjskiego agresora jest jeszcze gorzej. W ubiegłym tygodniu Ukraińcy pokazali w sieci wziętego do niewoli rosyjskiego podpułkownika i poinformowali, że miał na sobie ukraińską bieliznę.

NIEMCY CHCĄ STREF DLA UCHODŹCÓW

Podczas gdy w Polsce uchodźcy z Ukrainy znaleźli miejsca głównie w domach Polaków, w Niemczech związek zawodowy policjantów zaapelował o... tworzenie specjalnych stref dla uchodźców na dworcach kolejowych. Zdaniem policjantów pilnie potrzebna jest ochrona dla młodych kobiet i dzieci, bo kręcą się wciąż przy nich podejrzani osobnicy – mogą to być handlarze ludźmi i przestępcy seksualni.

ZWOLNIONY ZA FILM O WOJNIE

Ukrainiec – Ihor Hołod – miał zostać zwolniony z pracy w restauracji w Baden-Baden w Niemczech. Kulisy tego zwolnienia przedstawił zbulwersowany szef MSZ Dmytro Kułeba. Otóż Ukrainiec miał stracić pracę za to, że nagrał film skierowany do Rosjan w związku z wojną. A kierownictwo lokalu restauracyjnego nastawia się na rosyjskojęzyczną ludność Baden-Baden.

POPROSIŁ O AZYL NA BIAŁORUSI

Amerykanin uciekł ze swojego kraju. Ostoję znalazł... w kraju dyktatora Aleksandra Łukaszenki. Niejaki Evan Neumann otrzymał azyl na Białorusi. 48-latek twierdzi, że w USA był „prześladowany politycznie". W Stanach mężczyźnie postawiono sześć zarzutów – m.in. udział w głośnym szturmie na Kapitol i napaść na funkcjonariuszy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojna światowa druga i pół

Oficjalną datą rozpoczęcia drugiej wojny światowej jest 1 września 1939 r., gdy Niemcy zaatakowały Polskę. Przed 1939 r. nastąpiła jednak seria narastających napięć, które zwiastowały poważny międzynarodowy konflikt, jak np. atak Japonii na Mandżurię w 1931 r., inwazja Włoch na Abisynię w 1935 r., wojna domowa w Hiszpanii (1936–1938) czy aneksja Austrii w 1938 r.

Od ponad dekady my też jesteśmy świadkami narastających napięć i krwawych konfliktów. Putin już 15 lat temu wyjawił światu swoje plany. W 2007 r. w Monachium odrzucił architekturę bezpieczeństwa powstałą po zimnej wojnie i wprost ogłosił powrót do polityki imperialnej.

Zachód zupełnie te słowa zlekceważył. Rosja konsekwentnie realizuje zaś plan odbudowy imperium. Zaatakowała Gruzję w 2008 r., w 2014 r. dokonała aneksji Krymu i rozpoczęła wojnę w Donbasie (w konflikcie tym przed 2022 r. zginęło 14 tys. osób, a 30 tys. zostało rannych). W 2015 r. Rosja rozpoczęła operację w Syrii, gdzie przećwiczyła krwawą taktykę systematycznych ataków na szpitale i cele cywilne w celu złamania ducha oporu. W Syrii ponad sto razy użyto też broni chemicznej (najczęściej chloru, rzadziej sarinu), co pozwoliło Al-Asadowi wygrać wojnę. Do długiej listy należy dopisać m.in. konflikt w Jemenie, czyli wojnę zastępczą między Arabią Saudyjską a Iranem. Coraz mocniej tli się też japońsko-rosyjski konflikt o Kuryle.

Zanim w 2022 r. Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę, użyła też zakazanej broni (nowiczoka) w Wielkiej Brytanii, a wkrótce atak chemiczny, biologiczny lub/i jądrowy może przypuścić na Ukrainie. Putin nie zna bowiem biegu wstecznego. Gdyby teraz zakończył wojnę, straciłby władzę (i życie). Kolejny atak umocni go zaś w kraju i w oczach innych dyktatorów. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. FACEBOOK.COM/UKR.INTERNATIONAL.LEGION

Legion Ukrainy

Teresa Stylińska

Juris Jurass, deputowany Nowej Partii Konserwatywnej, jest dziś daleko od Rygi. Gdzie dokładnie – nie wiadomo. W Kijowie, Odessie, może w bazie Jaworów koło Lwowa? Jedno wiadomo: Jurass zamienił swe miejsce w ławach łotewskiego parlamentu na niepewny los ochotnika na wojnie. Pojechał na Ukrainę, odpowiadając na wezwanie Wołodymyra Zełenskiego, gdy ogłosił on utworzenie Legionu Międzynarodowego

W sporym gronie ochotników – według władz ukraińskich zgłosiło się ok. 20 tys. osób z 52 krajów – Jurass nie jest jedynym politykiem. Oprócz niego są dwaj Gruzini – Aleko Elisaszwili, założyciel i deputowany partii Obywatele, niegdyś dziennikarz, oraz Irakli Okruaszwili, minister obrony za prezydenta Micheila Saakaszwilego. Kariera polityczna Okruaszwilego była burzliwa, funkcje oficjalne przeplatały się z woltami politycznymi i wyrokami za korupcję, ostatecznie jednak został on ułaskawiony przez obecną prezydent Salome Zurabiszwili i, jak podało jego biuro, jest już na Ukrainie.

Brytyjczyk Ben Grant politykiem nie jest, ale ze światem polityki ma bliskie rodzinne związki, bo jego matka, Helen, jest deputowaną Partii Konserwatywnej. On sam ma za sobą pięcioletnią służbę w korpusie Royal Marines, co jest bezspornym atutem, bo stronie ukraińskiej najbardziej zależy na legionistach z doświadczeniem wojskowym, a jeszcze lepiej bojowym.

SPALIŁEM ZA SOBĄ MOSTY

Ich decyzje bledną jednak w porównaniu z determinacją Siergieja Łojki – Rosjanina. Znany dziennikarz, od blisko 30 lat korespondent amerykańskiego dziennika „Los Angeles Times" i autor książek o wydarzeniach w Rosji i na Ukrainie w 2014 r., m.in. „Flight" („Lot"), historii zestrzelenia malezyjskiego samolotu pasażerskiego, wstąpił do legionu, by walczyć ze swym własnym krajem i jego zbrodniczym wodzem.

W nagraniach zamieszczonych w Internecie Łojko – w pełnym rynsztunku, z karabinem, w otoczeniu ukraińskich żołnierzy – tłumaczy, dlaczego to zrobił. „Jako dziennikarz byłem na wielu wojnach, nigdy jednak nie stałem po żadnej ze stron. Ta wojna jest inna. Jestem w Kijowie nie jako dziennikarz, ale jako bojownik, by wziąć udział w walce dobra ze złem. To armagedon. Jestem tutaj, by bronić Ukrainy przed moją ojczyzną i przed Putinem, współczesnym Hitlerem". I dodaje: „Biorę udział w wojnie, bo chcę zabić Putina. Nasze zwycięstwo bowiem będzie oznaczać jego koniec". Wie też, że jeśli kiedyś wróci do Rosji, to będzie traktowany jak zdrajca. „Spaliłem za sobą mosty" – mówi otwarcie.

Łojko ma 69 lat i za sobą lata kariery, która przyniosła mu sukcesy i nagrody. Szkot Rob Grady, nieco tylko młodszy, jest zwykłym człowiekiem, budowlańcem z zawodu i – jak sam o sobie mówi – „szkockim dziadkiem na wojnie". „Mam 61 lat – mówi w nagraniu wideo, również w mundurze, z karabinem, z dwoma ukraińskimi żołnierzami u boku. – Pojechałem na Ukrainę, by pomóc jej walczyć z Rosjanami i ocalić ją przed Putinem. Ukraina potrzebuje wszystkich. Ochotnicy, przybywajcie!".

Trudno oprzeć się wrażeniu, że duch Williama Wallace'a – w świecie, za sprawą słynnego filmu, znanego jako Braveheart – żyje, skoro z małej, zaledwie pięcio-

eprasa.pl f1d71c1b92

milionowej Szkocji do legionu zgłosiło się ok. stu osób. A przecież dla Szkotów Ukraina to zupełna egzotyka. Szkocji nigdy, przez całą jej historię, nie łączyły z Ukrainą nie tylko żadne głębsze więzy, lecz także nawet luźne, powierzchowne kontakty.

O potrzebie bronienia wolności narodu ukraińskiego, a zarazem całej Europy i całego świata, mówią wszyscy ochotnicy, pytani przez rozmaite media, dlaczego zdecydowali się zostawić spokojne życie, dom i rodzinę. Niejeden zapewne traktuje wyjazd nie tylko w kategoriach powinności, lecz także męskiej przygody. Brytyjski ekszołnierz, cytowany przez dziennik „Guardian", tak tłumaczył decyzję swych kolegów z pułku spadochroniarzy, z których kilkudziesięciu już podobno wyruszyło do Kijowa: „Są świetnie wyszkoleni, wiele razy mieli okazję sprawdzić się w akcji. Wyjazd na Ukrainę oznacza dla nich cel, poczucie koleżeństwa, a także to, w czym są dobrzy: uczestnictwo w walce". W ślad za kolegami – uważa ów żołnierz – na Ukrainę może wyjechać nawet kilkuset brytyjskich żołnierzy.

INACZEJ NIŻ W HISZPANII

Pomysł powołania Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy (w skrócie: ILDU) zrodził się już w pierwszych dniach wojny. „Każdy, kto chciałby bronić bezpieczeństwa Europy i świata, może przyjechać i wraz z Ukraińcami stawić opór najeźdźcom z XXI w." – apelował prezydent Zełenski.

Skojarzenia z Brygadami Międzynarodowymi walczącymi w hiszpańskiej wojnie domowej były oczywiste. Mniej oczywisty jest paradoks: legion ukraiński walczy dokładnie z tym samym wrogiem, który dla brygad hiszpańskich był patronem. Nastąpiło odwrócenie ról, a zmiana nazwy kraju – tam Związek Sowiecki, tu Rosja – nie ma znaczenia. Zresztą żołnierze rosyjscy na Ukrainie poczynają sobie tak samo, jak niegdyś poczynali sobie czerwonoarmiejcy: palą, gwałcą, rabują, za nic mając wszelkie konwencje i cierpienia ludności cywilnej.

Władze ukraińskie nie zdradzają ani dokładnej liczby ochotników, ani nawet krajów, z których pochodzą. Również dlatego, by legionistów nie narażać na kłopoty, które tu i ówdzie nie są abstrakcyjne. Nie każde państwo bowiem zezwala swym obywatelom na udział w konfliktach zbrojnych za granicą. Zapowiedź utworzenia legionu bardzo dobrze odebrano w kilku państwach, takich jak Dania czy Łotwa, których władze nie zamierzają stawiać ochotnikom żadnych przeszkód. Do pomysłu z pełną aprobatą odniosła się również minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Liz Truss, zaraz jednak okazało się, że jej zdania nie podzielają ani premier, ani minister obrony, ani szef sztabu. Uważają bowiem, że Brytyjczycy więcej zdziałają dla Ukrainy, jeśli zajmą się na przykład organizowaniem pomocy. A to mogą z powodzeniem robić na miejscu, we własnym kraju.

Pomysł powołania Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy (ILDU) zrodził się już w pierwszych dniach wojny

Apele i ostrzeżenia nie są chyba jednak zbyt skuteczne, skoro obywatele brytyjscy liczebnie zajmują wśród legionistów drugie miejsce. Z dostępnych szacunków, zebranych przez portal telewizji Al-Dżazira, wynika, że najwięcej jest Amerykanów, bo stanowią oni aż 31 proc. Brytyjczycy stanowią 18 proc., Niemcy – prawie 7 proc., Kanadyjczycy – blisko 5 proc. Za nimi są ochotnicy z Indii, Chorwacji, Izraela, Łotwy, Danii, Holandii i Polski.

Obywatele Kanady nie są wprawdzie grupą najliczniejszą, ale na tyle dużą i zwartą, że – jak dowiedziała się kanadyjska telewizja – zostaną uformowani w odrębny batalion, którego żołnierze będą mieć wyróżniającą naszywkę: liść klonu, nad którym widnieje trójząb. To dlatego, że w Kanadzie żyje duża, blisko półtoramilionowa społeczność ukraińska. I wielu jej członków rwie się do walki w obronie Ukrainy.

NIENAJEMNICY

Nie wiadomo, czy ukraińskie pochodzenie ma Kanadyjczyk, który szybko stał się jednym z najbardziej znanych legionistów. Nie ujawniono jego nazwiska, wiadomo tylko, że ma ok. 40 lat, pochodzi z Quebecu, a w kraju zostawił żonę i małego synka. Ma duże doświadczenie bojowe, wyniesione z Afganistanu, gdzie był dwukrotnie, i z Iraku, gdzie walczył z ISIS. Podczas obu misji był snajperem, podobno – tak mówią ludzie dobrze go znający – jednym z najlepszych na świecie. Według kanadyjskiego dziennika „National Post" 22. pułk piechoty, w którym służył w misjach zagranicznych, w szkoleniu snajperów nie ma sobie równych.

„Zadzwonił do mnie kolega, który w Donbasie zajmuje się organizowaniem pomocy humanitarnej. Powiedział, że potrzebują snajpera. Zareagowałem jak strażak na dzwonek alarmowy. Musiałem pojechać" – opowiada.

Pod pseudonimem Wali Kanadyjczyk opisuje w Internecie swe ukraińskie doświadczenia, wojenne i okołowojenne. Jest pełen podziwu dla przemyślności zwykłych mieszkańców Ukrainy, którzy nie tylko starają się jakoś przetrwać, lecz także potrafią prostymi sposobami wywieść Rosjan w pole. Jak ów człowiek, który traktorem odholował czołg pozostawiony na chwilę przez żołnierzy, czy mieszkańcy kijowskiego budynku, którzy żołnierzy zablokowali w windzie, po prostu odciąwszy dopływ prądu.

Legioniści z takim doświadczeniem, jakie mają Kanadyjczyk „Wali" czy pewien niemiecki eksspadochroniarz o imieniu Siegfried, który na Ukrainie dowodzi plutonem, są najbardziej pożądani. Damien Magrou, rzecznik prasowy legionu, mówi otwarcie, że obecnie przyjmowani są wyłącznie ci, którzy mają za sobą służbę wojskową, a zatem odpowiednie przeszkolenie. Jeszcze lepiej, by wcześniej uczestniczyli w działaniach wojennych, bo to oznacza, że wiedzą, jak sobie radzić w ekstremalnej sytuacji. Nie wymagają przy tym szkolenia od podstaw, są obeznani z wojskiem i bronią. Wystarczy im zatem tylko krótkie zapoznanie z rodzajami broni, która jest w użyciu w działaniach na Ukrainie.

To oznacza, że ochotnicy bez doświadczenia wojskowego są – bez względu na swe chęci i gotowość do walki – odsyłani. Dzieje się to albo już na etapie składania wniosków – czym zajmują się przede wszystkim ukraińskie ambasady, a także organizacje rekrutujące chętnych – albo też na miejscu w Kijowie, gdy przyjadą na własną rękę (co podobno wcale nie jest rzadkie). Nie wszyscy jednak dadzą się odesłać. Niejeden postanawia zostać w Kijowie, włączyć się w szykowanie sprzętu wojskowego czy organizowanie pomocy humanitarnej i tak czekać w pełnej gotowości na ów moment, gdy wreszcie okaże się potrzebny.

Legioniści nie są przecież – władze ukraińskie mocno to podkreślają – najemnikami. Nie są wynagradzani. Nie chodzi im o pieniądze. Walczą o przyszłość świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. ADOBE STOCK

Drogo, wojna, coraz drożej

Jakub Wozinski

Polacy już dziś mogą czuć się zszokowani cenami wielu artykułów i usług, a to niestety nie koniec niespodzianek

Zapowiadając „dużą gospodarczą zawieruchę", premier Mateusz Morawiecki jako jej główny element składowy wskazał kilkunastoprocentową inflację. Według szefa rządu szansę na jej spadek dać może dopiero koniec wojny. Oznacza to, że najbliższe tygodnie i miesiące upłyną pod znakiem szoków cenowych w wielu obszarach gospodarki: począwszy od żywności, poprzez paliwa i materiały budowlane, a skończywszy na węglu.

Polska jest na szczęście krajem w sporej mierze samowystarczalnym pod względem produkcji rolniczej, lecz ceny żywności wzrosną także u nas. Obarczające silnie producentów nawozów podwyżki cen gazu sprawiają, że wielu rolników zwyczajnie nie stać na ich zakup. Stosowana zawsze w ogromnych ilościach jako podstawowy nawóz wiosenny saletra amonowa kosztuje już nawet ponad 6 tys. zł za tonę, choć jeszcze rok temu można ją było nabyć za ok. 1,2 tys. zł. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę światowe ceny mocznika wzrosły aż o 200 dol. zaledwie w jeden dzień. Rząd w ramach tzw. tarczy antyputinowskiej zamierza dopłacać rolnikom 500 zł do każdego hektara użytków rolnych i 250 zł do łąk i pastwisk. Przy rosnących wciąż cenach może to jednak nie zrekompensować konieczności ponoszenia tak znacznych kosztów.

Polska jest w stanie wyprodukować na potrzeby własnego rynku wystarczającą ilość nawozów lub nabyć je z krajów zachodnich, lecz wiele krajów może mieć większy problem. Nie dość, że produkcja nawozów w Europie jest mocno uzależniona od rosyjskiego gazu, to na dodatek Rosja i Białoruś wstrzymały znaczną część swojego eksportu. Jeśli dodatkowo uwzględnimy fakt, że Ukraina i Rosja eksportowały do tej pory 22 proc. światowej pszenicy, 80 proc. oleju słonecznikowego, a sama Ukraina odpowiadała za eksport aż 17 proc. kukurydzy, to nie powinno dziwić to, że żywność będzie niedługo jeszcze droższa niż obecnie. Już w lutym światowy indeks cen żywności wzrósł o 20,7 proc. rok do roku, a w marcu można się spodziewać jeszcze większych wzrostów. Dla zwykłego Kowalskiego oznacza to, że bochenek chleba, który dziś kosztuje ok. 5 zł, może za kilka miesięcy mieć już cenę zbliżoną do 10 zł.

Według danych GUS ceny artykułów rolnych w skupie rosną już od dłuższego czasu, a już w styczniu odnotowały wzrost o 28,5 proc. w porównaniu z analogicznym okresem poprzedniego roku. Daje to pewną miarę podwyżek, których możemy się spodziewać w przypadku wielu podstawowych artykułów spożywczych, takich jak mleko, mięso drobiowe czy też mąka. Kolejne dane, które uwzględnią już częściowo wybuch wojny, pokażą zapewne, że np. za litr mleka nie zapłacimy już 3,1 zł, lecz zdecydowanie ponad 4 zł do końca roku.

MATERIAŁOWA NĘDZA

Problemowi wzrostu cen artykułów rolnych dałoby się w znacznej mierze zaradzić, znosząc narzucone przez Unię Europejską limity produkcyjne. W podobny sposób znaczną część odpowiedzialności za wzrost cen artykułów przemysłowych ponosi forsowana przez Unię Europejską polityka dążenia do zeroemisyjności. Wysokie koszty zakupu praw do emisji CO_2 spowodowały, że od dłuższego czasu produkcja stali czy cementu była przenoszona do takich krajów jak Ukraina, Rosja czy też Turcja. Polska importowała do niedawna aż 20 proc. stali właśnie z Ukrainy i niewiele mniej z Rosji, dlatego wskutek wojny jej ceny poszybowały do poziomu 9 tys. zł za tonę, choć jeszcze w 2020 r. wynosiły ok. 2,5 tys.

Horrendalnie wysokie ceny stali to nie tylko wielkie zmartwienie dla wszystkich budujących własny dom, lecz także spore wyzwanie dla całej branży budowlanej. Obecnie na rynku występują bowiem

eprasa.pl f1d71c1b92

poważne braki (w wielu miejscach wprowadzono racjonowanie sprzedaży, przez co nie można kupić więcej niż 5 t), a przy wyższych stopach procentowych, spadku inwestycji i ubytku pracowników z Ukrainy pomyślna koniunktura w budownictwie może się wkrótce skończyć. Ceny materiałów budowlanych w lutym wzrosły o 27 proc., a od czasu wybuchu wojny przybyło dodatkowo kilka czynników, które mogą jeszcze bardziej je wywindować. Dotyczy to w szczególności chemii budowlanej, która może się stać o 40 proc. droższa. Nawet ceny tak podstawowego artykułu jak styropian wzrosły od 2019 r. niemal trzykrotnie.

Biorąc pod uwagę to, że stopy procentowe poszły ostatnio zdecydowanie w górę, zakup mieszkania czy budowa domu mogą się stać w najbliższych miesiącach dużo bardziej kosztowne. Co prawda, do tej pory popyt w budownictwie mieszkaniowym rósł nieustannie nawet pomimo dużego wzrostu cen, lecz przy zahamowaniu wzrostu płac oraz zaostrzaniu kryteriów przyznawania kredytów przez banki praw ekonomii nie da się oszukać. Najlepsze czasy na kredyty hipoteczne już zdecydowanie minęły.

Trwający konflikt ograniczy z pewnością także dostępność wszelkiego rodzaju aut. Kluczowe metale, potrzebne przy ich produkcji materiały już teraz stały się bardzo drogie albo bardzo słabo dostępne. Rosja eksportowała do tej pory m.in. znaczne ilości wykorzystywanego w katalizatorach palladu, niezbędnego w akumulatorach aut elektrycznych niklu, czy też aluminium, bez którego nie da się wykonać karoserii. Z kolei Ukraina była kluczowym dostawcą wiązek przewodów. W sytuacji, gdy na nowe auta trzeba będzie czekać jeszcze dłużej niż do tej pory i płacić za nie jeszcze więcej, Polacy będą niestety mieli dodatkowo problem z importem używanych aut ze względu na drogie euro.

PALIWO – TOWAR LUKSUSOWY

Wielkim problemem Polski jest bez wątpienia również to, że jeszcze w ubiegłym roku aż 72 proc. importu ropy naftowej pochodziło z Rosji. Obecnie trwają intensywne wysiłki na rzecz zapewnienia nowych źródeł dostaw, lecz na efekty przyjdzie jeszcze poczekać. Na początku marca ceny paliw osiągnęły rekordowy w najnowszej historii poziom, nawet pomimo obniżki stawki VAT z 22 proc. do 8 proc. Niestety, wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że jeszcze niedawno szokująca dla wszystkich cena nawet 8 zł za litr oleju napędowego nie będzie w najbliższym czasie niczym nadzwyczajnym. Tuż po wybuchu wojny na Ukrainie eksperci rynku paliwowego zakładali, że tak wysoki pułap cenowy zostanie osiągnięty dopiero na przełomie marca i kwietnia, lecz rekord padł już na początku marca.

Rezygnacja z zakupów rosyjskiej ropy naftowej przy jednoczesnym niewystarczającym wzroście wydobycia przez kraje OPEC doprowadzi zapewne do sytuacji, w której ceny paliw już na stałe pozostaną na wyższym poziomie. Jeszcze sześć lat temu spadały nawet poniżej 4 zł, lecz w obecnej sytuacji jest to już praktycznie nie do pomyślenia. Pewne nadzieje wiąże się z odblokowaniem przez Stany Zjednoczone sankcji na Wenezuelę i Iran, lecz na efekty ich wzmożonego wydobycia przyjdzie nieco poczekać.

Jako że aż 15 proc. spalanego w Polsce węgla pochodziło do niedawna z Rosji, wzrost cen dotyczy również najbardziej popularnego materiału opałowego. Większość mediów, donosząc o drogich surowcach, skupiła się ze zrozumiałych względów na ropie i gazie ziemnym, lecz drożyzna dała o sobie znać również w przypadku węgla, który wedle analityków rynkowych może w ciągu najbliższych miesięcy stać się niemal dwukrotnie droższy niż pod koniec ubiegłego roku. Polskie spółki węglowe biją na warszawskiej giełdzie prawdziwe rekordy popularności, gdyż w powszechnym odbiorze polski węgiel będzie w najbliższym czasie wyjątkowo pożądanym towarem. Cena popularnego ekogroszku od początku rosyjskiej agresji zwiększyła się nawet o 1 tys. zł i na ogół przekracza już 2,5 tys. zł za tonę. Niewykluczone przy tym, że wkrótce wzrośnie jeszcze o kilkaset złotych.

Rząd stara się uzyskać zgodę Brukseli na to, aby polskie kopalnie mogły zwiększyć wydobycie i nie zwracać środków uzyskanych na ich zamknięcie. Rekarbonizacji dokonuje zresztą niemal cała Europa: począwszy od Rumunii i Czech, a skończywszy na Niemczech. Wszystko to powinno ostatecznie wpłynąć na zmniejszenie ceny węgla, choć wiele zależy od tego, na ile Bruksela będzie się kurczowo trzymała swojej zielonej ortodoksji. Za obiecujące można uznać z pewnością słowa unijnego komisarza ds. klimatu Fransa Timmermansa, który w obliczu rosyjskiej agresji zapowiedział, że poszczególne kraje będą mogły korzystać w większym stopniu z węgla bez naruszania unijnej polityki klimatycznej.

GŁÓD I NĘDZA

Polska jako kraj aspirujący do grona rozwiniętych gospodarek z pewnością poradzi sobie z „dużą gospodarczą zawieruchą". Na świecie jest jednak wiele miejsc, gdzie nadchodzące miesiące mogą być bardzo wymagające. Według szacunków Organizacji Narodów Zjednoczonych w krajach o niskich dochodach ludność wydaje aż 60 proc. wszystkich dostępnych jej środków na żywność (dla porównania: w krajach bogatych z reguły mniej niż 10 proc.). Jeśli do tego uwzględnimy wysokie ceny energii i paliw, w niektórych rejonach świata poziom życia może naprawdę gwałtownie się obniżyć.

Świadomość tego mają zachodni przywódcy, jak choćby Emmanuel Macron, który stwierdził niedawno wprost, że w ciągu 12–18 miesięcy w Afryce i na Bliskim Wschodzie może dojść do kryzysu żywnościowego. Regiony te są w największym stopniu uzależnione od dostaw z Rosji i Ukrainy, choć znacznie uzależnione są także niektóre kraje azjatyckie. W tym kontekście warto więc przypomnieć, że Unia Europejska wciąż nie zawiesiła wdrażania swojego Zielonego Ładu w rolnictwie, który w sposób planowy ma w najbliższych latach ograniczyć produkcję rolniczą całej wspólnoty. Polski komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski, który do tej pory zawzięcie bronił całego programu, od momentu wybuchu wojny stara się nieustannie namówić Komisję Europejską do wstrzymania go i pozostania przy bazowym programie Wspólnej Polityki Rolnej. Przeciwko temu występuje jednak odpowiedzialny za cały Zielony Ład Frans Timmermans, który pragnie wdrażać zasady zrównoważonej gospodarki rolnej nawet pomimo bezprecedensowych wyzwań.

W obecnej sytuacji wypada tylko mieć nadzieję, że inflacyjny szok wywołany wojną surowcową potrwa możliwie jak najkrócej, a decydenci pójdą wreszcie po rozum do głowy i zawieszą znaczną część Zielonego Ładu. Ostatecznie leży to także w ich interesie, gdyż o zwycięstwo w wyborach w warunkach „gospodarczej zawieruchy" nigdy nie jest łatwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Z dwojga złego

Jak wiadomo, rząd ostatnio jeden wielki wydatek budżetowy po drugim wyprowadza poza budżet państwa i ukrywa w dziwnych funduszach specjalnych.

Tak było z przesadnymi wydatkami podczas walki z COVID-19, ukrytymi m.in. w Funduszu Przeciwdziałania COVID-19, PFR i BGK, tak teraz ma być – zgodnie z Ustawą o obronie Ojczyzny – z wydatkami na rozwój armii, które będą finansowane m.in. z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych utworzonego w BGK, a także z wydatkami na pomoc uchodźcom z Ukrainy, które z kolei mają pochodzić z tworzonego w BGK Funduszu Pomocy. Te groźne dla finansów państwa sztuczki rządu sprawiają, że uchwalana przez parlament ustawa budżetowa z każdym rokiem w coraz mniejszym stopniu oddaje prawdziwy stan budżetu Polski – a dokładniej: prawdziwą skalę wydatków państwa.

Gwałtownie powiększającą się różnicę miedzy wydatkami zapisanymi w coraz bardziej fikcyjnym budżecie Polski a jej faktycznymi wydatkami dobrze odzwierciedla luka między poziomem zadłużenia Polski mierzonym metodą unijną a poziomem tegoż zadłużenia mierzonym metodą polską. O ile jeszcze w 2019 r. wynosiła ona „zaledwie" 2,4 proc. PKB, o tyle w 2020 r. już aż 9,7 proc. PKB, w 2021 r. – 11,6 proc. PKB, a w 2022 r. miała wynieść 12,8 proc. PKB, czyli ponad 347 mld zł. Miała wynieść, bo teraz, po dopisaniu nowych wydatków związanych ze zwalczaniem inflacji, powstaniem Funduszu Pomocy (uchodźcom), a zwłaszcza Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, wyniesie z pewnością dużo więcej; aż strach się bać, ile więcej.

Aż tu nagle, ni stąd, ni zowąd – z niedzieli na poniedziałek – rząd zaproponował opozycji wspólną zmianę konstytucji Polski – która wyłączałaby z limitu zadłużenia państwa (60 proc. PKB) wydatki na rozwój sił zbrojnych. Cóż, z dwojga złego, czyli zadłużania państwa poza kontrolą parlamentu – jak, w coraz większym stopniu, dzieje się to teraz, i zadłużania państwa pod kontrolą parlamentu – dużo bezpieczniejszy wydaje się ten drugi wariant. A że szybki rozwój armii to w obecnej sytuacji cel wprost kluczowy i jeśli nie da się tego zrobić inaczej, niż dalej zadłużając polskie państwo, to zdecydowanie lepiej, żeby odbywało się to pod kontrolą parlamentu. I w ogóle najlepiej byłoby, gdyby dotyczyło to nie tylko wydatków na armię, lecz także po prostu wszystkich wydatków państwa.

Nie łudźmy się bowiem, że to, czego nie dostrzegają opozycja i opinia publiczna, ujdzie uwadze „rynków finansowych", które dyktują, po ile państwom pożycza się pieniądze. I że przegapią one moment, w którym pieniądze te przestaną być Polsce pożyczane – jeśli uznają, że z powodu nadmiernego zadłużenia Polski przestało to być dla kredytodawców bezpieczne. A to zazwyczaj moment, który oznacza bankructwo państwa. Może więc lepiej, żeby i obywatele nie byli wtedy zaskoczeni? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Chór zamiast kabaretu

Nie będzie kabaretu. Będzie chór!" – oznajmił mieszkańcom bloku przy ul. Alternatywy 4, zgromadzonym w piwnicy przerobionej na Klub Lokatora, gospodarz domu Stanisław Anioł w serialu Stanisława Barei. Zmieniła się mądrość etapu.

Nie będzie ulgi dla kasy średniej – będzie obniżka PIT w pierwszym progu do 12 proc. przy zachowaniu podwyższonej wcześniej kwoty wolnej i granicy progu. To ogłosił premier. Zarazem ogłaszając właściwie koniec Polskiego Ładu, a w każdym razie jego naczelnych założeń. Składka na ubezpieczenie zdrowotne co prawda zostaje, ale prawo do jej odliczenia dostają niektóre z grup, które go dotąd nie miały.

Po co było tworzyć na chybcika absurdalnie skomplikowany projekt, obciążający polskich przedsiębiorców

To nie są złe pomysły co do zasady, bo ze wstępnych wyliczeń wynika, że na nowym systemie stracą ludzie zarabiający wyraźnie więcej, niż to było przy poprzednich rozwiązaniach. Problem w tym, że będzie to już kolejna zmiana systemu podatkowego w bardzo krótkim czasie. W kraju, który i tak postrzegany jest przez inwestorów jako ryzykowny, bo sąsiadujący z obszarem konfliktu zbrojnego. Przedsiębiorcy, którzy mieli ciężko przez epidemię, dostali następnie po głowie składką zdrowotną w ramach Polskiego Ładu i koszmarnym skomplikowaniem mechanizmów, a teraz mieliby kolejny już raz przyswajać sobie nowe zasady. O ile będzie je w ogóle można wprowadzić w życie przed końcem roku podatkowego, bo w jego trakcie – zgodnie z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego – można zmieniać system podatkowy jedynie na korzyść podatników. Miejmy nadzieję, że tak to właśnie teraz wygląda – nikt nie straci, wszyscy zyskają.

Tylko po co było tworzyć na chybcika absurdalnie skomplikowany projekt, obciążający polskich przedsiębiorców, który był do tego stopnia sknocony, że także na chybcika trzeba go było fastrygować, a teraz znów trzeba będzie zmieniać? Tu już właściwie nie ma dobrego wyjścia – pozostawienie poprzednich rozwiązań byłoby fatalne; szybkie wprowadzanie zupełnie innych, nawet lepszych, też nie jest dobre, bo już całkowicie niszczy stabilność systemu.

Tymczasem w planach rządu majaczy, na razie zapowiadana ogólnikowo, kiedyś już rozważana idea jednolitej daniny. Czyli kolejna głęboka zmiana. Co po chórze? Balet? ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

Gospodarczy Czempioni Polski

Najprężniejsze, najsłynniejsze, najbardziej stabilne polskie firmy

PARTNER GŁÓWNY DODATKU:

Lasy Państwowe

PARTNERZY DODATKU:

PGNiG

TAURON

KDPW

G2A ARENA
Centrum Wystawienniczo-Kongresowe Województwa Podkarpackiego

eprasa.pl f1d71c1b92

Narodowi czempioni

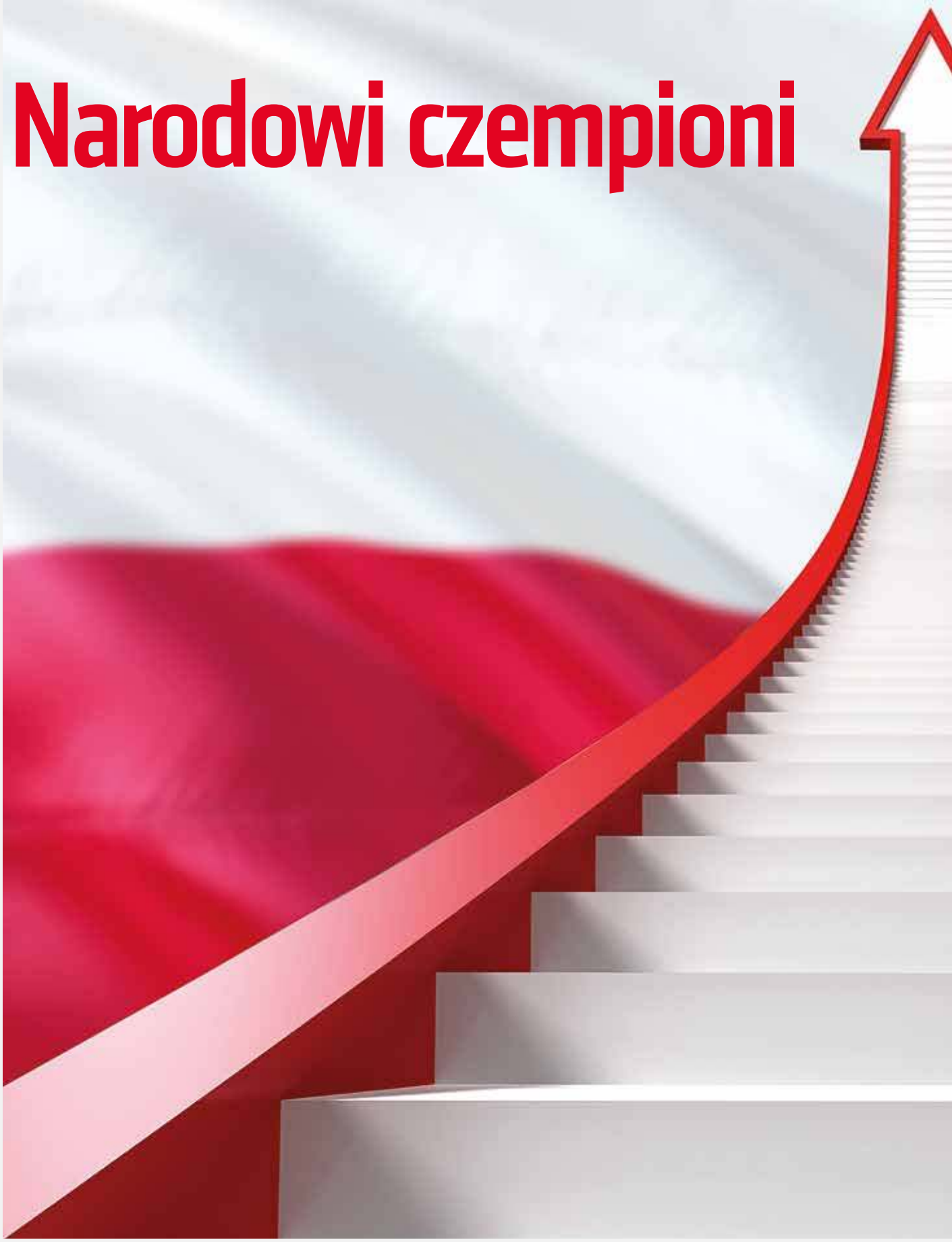

eprasa.pl f1d71c1b92

na niespokojne czasy

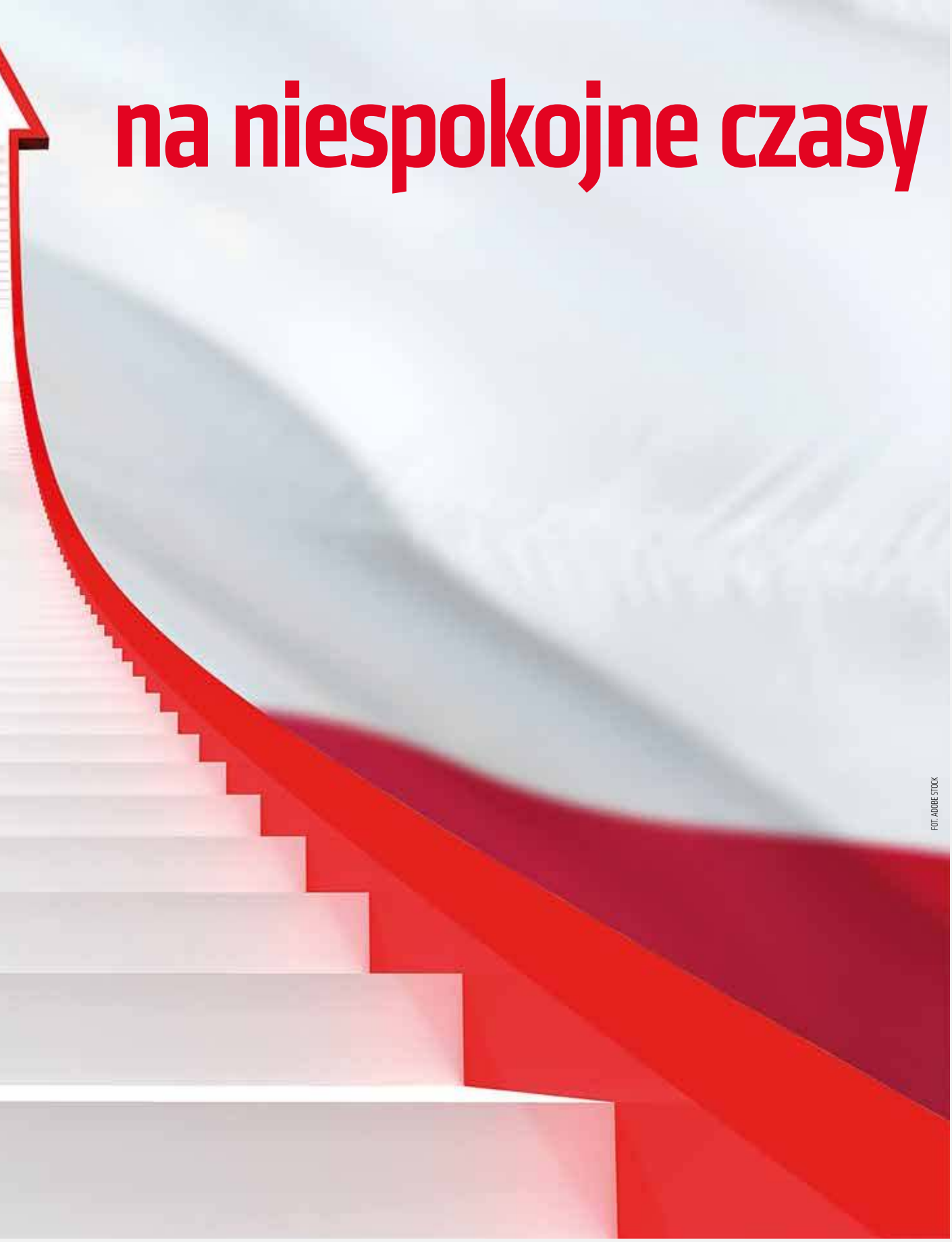

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl f1d71c1b92

Wojciech Simon

Produkt krajowy brutto w Polsce wzrósł w ostatnim kwartale 2021 r. o 7,3 proc. To oznacza, że pod koniec 2021 r. polska gospodarka była już silniejsza niż przed pandemią, której skutki wciąż odczuwa wiele państw na świecie. Świetnie radziły sobie też spółki Skarbu Państwa. Gdyby nie wojenne spowolnienie, Polska mogłaby zacząć starania o miejsce w G20

W rok 2022 polska gospodarka weszła bardzo mocno rozpędzona. Wzrost za ostatni kwartał 2021 r. wynoszący aż 7,3 proc. był lepszy od oczekiwań ekonomistów. Jeszcze większe wrażenie robił PKB oczyszczony z wpływu czynników sezonowych, który w czwartym kwartale ubiegłego roku był aż o 7,6 proc. większy niż rok wcześniej i o 1,7 proc. większy niż w trzecim kwartale.

Tak wysoki wynik w ujęciu rocznym to m.in. efekt niskiej bazy z czwartego kwartału roku 2020 – wówczas PKB Polski skurczył się o 2,5 proc., co w pandemicznym okresie i tak nie było najgorszym wynikiem, ponieważ wiele innych państw, w których aktywność gospodarczą tłumiły restrykcje związane z drugą falą epidemii COVID-19, odnotowało wówczas jeszcze głębszą recesję.

Analitycy banku Pekao, komentując dane podane przez Główny Urząd Statystyczny na początku lutego, zauważyli, że wzrost o 7,3 proc. de facto oznacza, że polska gospodarka była „w końcówce zeszłego roku o 5 proc. większa niż przed pandemią i o 3,3 proc. mniejsza, niż gdyby pandemii nie było".

POLSKA WCIĄŻ WŚRÓD LIDERÓW W UNII EUROPEJSKIEJ

Według szacunków Głównego Urzędu Statystycznego podanych pod koniec lutego 2022 r. nominalnie produkt krajowy brutto wyniósł 2603 mld zł w całym roku 2021, a 751 mld zł w czwartym kwartale ubiegłego roku. Przyczynił się do tego m.in. dobry wynik branży transportowej. Jedną z największych wartości dodanych – 13,3 proc. – wygenerował szybko rosnący przemysł. Polską gospodarkę napędzała również szybko rosnąca konsumpcja prywatna (wzrost o 7,9 proc. rok do roku). Stosunkowo nieźle – zważywszy na obserwowane na całym świecie przerwy w łańcuchach dostaw oraz galopujące ceny surowców – radził sobie także polski eksport, który w całym roku 2021 zwiększył się o 6 proc.

Bardzo wysoki wzrost PKB sprawił, że Polska znów zasłużyła na miano najszybciej rosnącej gospodarki w całej Unii Europejskiej. Po podaniu przez unijny urząd statystyczny (Eurostat) wstępnych danych za ubiegły rok Polska była zdecydowanym liderem (wzrost o 7,3 proc. rok do roku). Na podium znalazły się również Węgry (wzrost w czwartym kwartale 2021 r. wyniósł nad Dunajem 7,1 proc. w ujęciu rocznym) oraz Włochy (6,4 proc.). Wśród najszybciej rozwijających się państw były też m.in. Szwecja (6,1 proc.), a także Holandia (6 proc.) oraz Cypr (6 proc.). Według danych Eurostatu z połowy lutego dynamika rozwoju gospodarczego wśród 20 z 27 krajów UE wyniosła średnio 4,8 proc.

Według grudniowych danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego pod względem wielkości produktu krajowego brutto Polska znalazła się na 23. miejscu na świecie oraz szóstym w Unii Europejskiej. Wśród unijnych państw pod względem wielkości gospodarek wyprzedzają nas jeszcze Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania oraz Holandia. W całej Europie większą wartość PKB niż Polska miały jeszcze w roku 2021 takie kraje jak Wielka Brytania, Rosja i Szwajcaria. W ubiegłym roku Polska w rankingu MFW wyprzedziła już jednak m.in. Szwecję, Belgię, Irlandię oraz Austrię.

POLSKA W G20?

Według danych MFW polski PKB osiągnął w ubiegłym roku wartość ok. 660 mld dol. Dla porównania największa gospodarka świata, a więc Stany Zjednoczone, odnotowały wartość produktu krajowego brutto na poziomie 23 bln (!) dol. Depczące Amerykanom po piętach Chiny miały w 2021 r. PKB warte 16,9 bln dol., a Japonia 5,1 bln, wyprzedzając pierwszy kraj z Europy – Niemcy – gdzie wartość produktu krajowego brutto w ubiegłym roku wyniosła według MFW 4,2 bln dol. Z państw europejskich w pierwszej dziesiątce gospodarczych potęg znalazły się również Wielka Brytania, Francja oraz Włochy.

Polsce do gospodarek tych państw jeszcze sporo brakuje, ale eurodeputowany PiS Zbigniew Kuźmiuk argumentował w grudniu, że nasz kraj powinien już teraz zacząć ubiegać się o miejsce w grupie G20, a więc w prestiżowej grupie państw reprezentujących aż 90 proc. światowego PKB i 80 proc. światowej wymiany handlowej. Jego zdaniem w ciągu najbliższych lat – przy założeniu średniego tempa wzrostu na poziomie ok. 4 proc. rocznie – Polska mogłaby wyprzedzić pod względem wielkości produktu krajowego brutto takie kraje jak Tajwan, Szwajcaria czy Turcja.

Wprawdzie wojna za miedzą może spowolnić rozwój gospodarczy w Polsce, ale zdaniem niektórych ekonomistów już za kilka lat wartość polskiego PKB może przekroczyć wartość produktu krajowego brutto Rosji, której gospodarka przez wojnę oraz nałożone na agresora sankcje spadła do ekonomicznej trzeciej ligi.

WYSOKA KONSUMPCJA I DUŻE INWESTYCJE

Ekonomistów cieszył w ubiegłym roku nie tylko wysoki wzrost polskiego produktu krajowego brutto – który jest miarą wielkości gospodarki, pokazującą łączną wartość dóbr i usług wytworzonych na terenie Polski przez wszystkie podmioty krajowej gospodarki – lecz także wysoka konsumpcja oraz rosnące w dwucyfrowym tempie inwestycje. Poziom konsumpcji oraz inwestycji jeszcze lepiej niż PKB pokazują bowiem stan gospodarki danego państwa, są również świetną prognozą na kolejne miesiące.

Na tych polach Polska również miała się czym pochwalić. W ostatnim kwartale 2021 r. wartość inwestycji wyniosła aż 162 mld zł i była realnie – już po korekcie o wzrost cen – aż 11,7 proc. wyższa niż rok wcześniej. Analitycy finansowi podkreślają, że realna wartość inwestycji w polskiej gospodarce w czwartym kwartale 2021 r. zwiększyła się najbardziej od pierwszego kwartału 2015 r.

eprasa.pl f1d71c1b92

FOT. ADOBE STOCK

Bardzo wysoka była również konsumpcja gospodarstw domowych. W całym 2021 r. Polacy wydali na zakupy 1454 mld zł (realnie wzrost wyniósł 6,2 proc. rok do roku), a w samym czwartym kwartale 2021 r. 373 mld zł (realny wzrost w ujęciu rocznym o 7,9 proc.).

PERŁY W KORONIE POLSKI

Rok 2021 był bardzo dobry również dla zdecydowanej większości dużych spółek z udziałem Skarbu Państwa. Regularnie media informowały o „oszałamiających zyskach państwowych spółek". Najpierw mówiono, że rekordowy był pierwszy kwartał 2021 r. – wówczas likwidowano bowiem w spółkach rezerwy zawiązane z pandemią COVID-19. W październiku analitycy przecierali oczy ze zdumienia, gdy światło dzienne ujrzały wyniki za drugi kwartał. Wynik netto 20 największych spółek państwowych nie tylko był wyższy niż w analogicznym okresie roku 2020. Dwadzieścia spółek, wśród których znajdują się tacy czempioni jak KGHM, Lotos, PGE, PKN Orlen, zarobiły w drugim kwartale aż 15,4 mld zł, a więc rekordowo dużo. Aż siedem z 20 spółek odnotowało zaś istotnie wyższe zyski, niż wskazywały na to prognozy.

W grudniu ubiegłego roku Ministerstwo Aktywów Państwowych znów miało zaś powody do zadowolenia. Z raportu opublikowanego przez MAP wynikało, że 17 analizowanych przedsiębiorstw na czysto zarobiło w trzecim kwartale 9,6 mld zł. Trzynaście z tych 17 firm poprawiło swój wynik netto w ujęciu rocznym. Łączny zysk badanych spółek w porównaniu z analogicznym kwartałem 2020 r. poprawił się zaś aż o 133 proc.

Dla przykładu: grupa kapitałowa Tauron w pierwszych trzech kwartałach ubiegłego roku wypracowała niemal 497 mln zł zysku netto wobec 395 mln zł w analogicznym okresie 2020 r. Dzięki znaczącym przychodom z rynku mocy, wzrostowi przychodów w segmencie OZE oraz wyraźnym wzrostom wolumenów produkcji i dystrybucji energii elektrycznej zysk EBITDA grupy Tauron za trzy kwartały roku 2021 przekroczył 3,7 mld zł w porównaniu z 3,4 mld zł w pierwszych trzech kwartałach 2020 r.

Przychody grupy kapitałowej Tauron w pierwszych trzech kwartałach 2021 r. wzrosły o 17 proc. rok do roku do poziomu 17,9 mld zł.

Z kolei grupa kapitałowa PGNiG miała w czwartym kwartale 2021 r. 32,5 mld zł przychodów, 8,2 mld zł EBITDA, 6,7 mld zł zysku operacyjnego oraz 2,92 mld zł zysku netto. Spółka poinformowała w raporcie rocznym, że w analogicznym okresie 2020 r. miała 11,8 mld zł przychodów, zysk netto wynosił 1,3 mld zł, a EBITDA 2,3 mld zł. W całym 2021 r. grupa PGNiG miała 70 mld zł przychodów ze sprzedaży wobec 39,2 mld zł przed rokiem, zysk netto wyniósł zaś 6 mld zł wobec 7,3 mld zł rok wcześniej. Wynik EBITDA w 2021 r. wzrósł do 15,6 mld zł z 13 mld zł przed rokiem, a EBIT wyniósł 11,6 mld zł wobec 9,6 mld zł w 2020 r.

Świetnie radziły sobie również Lasy Państwowe, które już w 2020 r. – mimo pandemii i lockdownów – osiągnęły dużo wyższy zysk niż przed pandemią. Wyniósł on w roku 2020 ponad 515 mln zł, a więc o 76 proc. więcej niż w roku 2019. Bardzo wysoki zysk spółka odnotowała również w roku 2021.

WOJNA SPOWOLNI EUROPEJSKIE GOSPODARKI

Bestialska rosyjska napaść na Ukrainę sprawiła, że próba precyzyjnego prognozowania wskaźników tempa rozwoju gospodarczego na rok 2022 jest szalenie trudna. Z dużą dozą

eprasa.pl f1d71c1b92

prawdopodobieństwa można przyjąć jedynie, że wojna będzie miała negatywny wpływ na rozwój gospodarczy Polski i obniży tempo wzrostu PKB nad Wisłą zarówno w tym, jak i przyszłym roku. Jak bardzo?

Eksperci banku ING w połowie lutego, czyli jeszcze przed wybuchem wojny, prognozowali, że rok „2022 przyniesie wyhamowanie PKB". Wojna ma zdaniem analityków ING Economics odjąć „minimum 1,3 pp. od dotychczasowej prognozy PKB na 2022 r., która wynosiła 4,5 proc." „Możliwe są dalsze rewizje. Po pierwszej fali rewizji mediana prognoz najprawdopodobniej ukształtuje się w okolicach 3–3,5 proc." – czytamy w komunikacie z 28 lutego. Ekonomiści Credit Agricole prognozowali zaś pod koniec lutego, że całkowite wygaśnięcie polskiego eksportu do Rosji i Ukrainy odejmie od polskiego produktu krajowego brutto 2,5 pp.

Z marcowych szacunków Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że w tym roku PKB naszego kraju może rosnąć w tempie bliskim 3,5 proc. Analitycy PIE przed rosyjską inwazją na Ukrainę spodziewali się, że w tym roku tempo wzrostu gospodarczego wyniesie 4,3 proc., a w roku przyszłym – 4,5 proc. Podobnie sądzą eksperci Banku BNP Paribas, którzy w opublikowanej w połowie marca analizie zauważyli, że „wzrost gospodarczy w Polsce w tym roku może okazać się niższy niż 3,5 proc., zwłaszcza jeśli w wyniku wojny w Ukrainie znacząco osłabnie aktywność w strefie euro".

Bezprecedensowa niepewność związana z niespodziewanym wybuchem wojny w Europie nie służy dużym inwestycjom. Galopujący wzrost cen w połączeniu ze strachem o przyszłość pogarsza nastroje zarówno wśród konsumentów, jak i wśród przedsiębiorców. Jedni i drudzy prawdopodobnie ograniczą więc wydatki, choć oczywiście obecność ponad 2 mln uchodźców z Ukrainy powinna zwiększyć wartość wydatków konsumpcyjnych. Pomóc polskiej gospodarce może również jak najszybsze uruchomienie olbrzymich środków z Krajowego Planu Odbudowy (KPO).

Szok energetyczny, dalsze podnoszenie cen surowców (a niewykluczone, że również przerwy w ich dostawie) oraz wyraźnie widoczny spadek siły nabywczej nie poprawiają w tym roku nastrojów ani konsumentów, ani właścicieli firm. I to nie tylko w Polsce. Istotnemu ograniczeniu ulegnie więc wartość polskiego eksportu. „Scenariusz 4-procentowej dynamiki PKB w tym roku wydaje się na ten moment wariantem bardzo optymistycznym i mało prawdopodobnym. Bardziej realna perspektywa to 1,5 do 2,5 proc. wzrostu PKB, choć biorąc pod uwagę skalę czynników i dynamizm sytuacji, nie można wykluczyć, że i te prognozy będą musiały być rewidowane" – oceniła w swoim komentarzu pod koniec lutego 2022 r. główna ekonomistka Banku Pocztowego Monika Kurtek.

WIARYGODNA POLSKA

Wszystkie najważniejsze agencje ratingowe wciąż dobrze oceniają wiarygodność kredytową Polski. Według Moody's rating naszego kraju to „A2", nieco niżej Polska znajduje się w rankingach agencji Fitch oraz S&P, których eksperci oceniają wiarygodność kredytową naszego kraju na „A-". We wszystkich przypadkach perspektywy ocen są określone jako „stabilne".

Rok 2021 był bardzo dobry dla większości dużych spółek Skarbu Państwa. W 2022 r. one najszybciej odpowiedziały na apel o pomoc dla uchodźców

Agencja S&P Global Ratings w raporcie z 8 marca 2022 r. obniżyła prognozę wzrostu PKB Polski w 2022 r. z 5,0 proc. do 3,6 proc. Według analityków tej agencji w przyszłym roku gospodarka Polski ma urosnąć o 3,2 proc., a w roku 2024 – o 2,7 proc. Eksperci S&P zakładają, że skutki największego konfliktu zbrojnego w Europie od zakończenia drugiej wojny światowej odczuje cały Stary Kontynent. „Niepewność związana z prognozami gospodarczymi jest duża i na tym etapie uważamy, że konflikt w Ukrainie może obniżyć wzrost strefy euro o 1,2 pkt PKB. Biorąc pod uwagę kanały handlu, import energii i zaufanie rynków, spodziewamy się, że Niemcy i Włochy odczują skutki nieco bardziej niż Hiszpania czy Francja. O ile nie dojdzie do dalszej eskalacji, nowy szok nie powinien przeszkodzić europejskiej gospodarce we wzroście o 3,2 proc. w tym roku" – prognozował w komentarzu Sylvain Broyer, główny ekonomista dla regionu Europy, Bliskiego Wschodu oraz Afryki (EMEA) w S&P Global Ratings.

CZEMPIONI POMAGAJĄ I SZYKUJĄ SIĘ NA WOJNĘ

W takich warunkach Radę Polityki Pieniężnej czeka niełatwe zadanie podjęcia próby zdecydowanego ograniczenia inflacji, aby uniknąć długoterminowej stagflacji. Na szczęście narodowi czempioni polskiej gospodarki w ostatnich dekadach wielokrotnie pokazywali, że potrafią radzić sobie z trudnymi warunkami prowadzenia działalności dużo lepiej niż przedsiębiorcy w innych krajach Europy.

W obecnej sytuacji nie chodzi jednak wyłącznie o wybitnie zdolności menedżerskie. Spółki Skarbu Państwa były jednymi z pierwszych instytucji, które odpowiedziały na apel wicepremiera Jacka Sasina i zorganizowały pomoc dla uchodźców w bardzo różnym wymiarze.

Podobnie jak w przypadku pandemii, również wojna wymaga przygotowania do nowej rzeczywistości. Jak poinformowała w ubiegłym tygodniu „Rzeczpospolita", „PGNiG, Poczta Polska i Lasy Państwowe szykują pracowników na wojnę". Według dziennika państwowa spółka Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – kluczowa spółka dla bezpieczeństwa Polski, która zajmuje się m.in. wydobyciem gazu ziemnego i ropy naftowej, a także importem gazu do kraju – rozpoczyna szkolenia obronne dla kilku tysięcy swoich pracowników. Wojskowy trening mają wdrażać również takie spółki jak Poczta Polska czy Lasy Państwowe. Jak napisał Zbigniew Lentowicz z „Rz", obronne przeszkolenie pracowników załogi to inicjatywa szefa PGNiG. Prezes gazowej spółki Paweł Majewski chce bowiem zwiększyć proobronne kompetencje załogi. Szkolenia z zakresu bezpieczeństwa i obronności, a także udzielania pierwszej pomocy ma przejść co najmniej 4,7 tys. osób zatrudnionych w spółce, która dostarcza gaz do 6,5 mln klientów w Polsce. Według „Rz" ochotnicy wśród menedżerów w PGNiG mogą wziąć również udział w dobrowolnych zajęciach na strzelnicach. Szkolenia wojskowe rozwijają również Lasy Państwowe, choć akurat w tej spółce większości pracowników nie trzeba tłumaczyć zasad obsługi broni palnej, ponieważ wśród leśników wielu jest pasjonatów łowiectwa. Jak podała „Rzeczpospolita", szkolenia z obronności dla pracowników Lasów Państwowych już od dwóch lat prowadzą m.in. oficerowie Wojsk Obrony Terytorialnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

ZAJMUJEMY SIĘ WASZYM **BEZPIECZEŃSTWEM ENERGETYCZNYM**

DYWERSYFIKUJEMY DOSTAWY GAZU

Kończymy z uzależnieniem Polski od dostaw ze wschodu. **Wydobywamy** gaz u wybrzeży Norwegii, stale zwiększając liczbę koncesji. **Importujemy** LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

AKTYWNIE **DZIAŁAMY** NA RZECZ BEZPIECZEŃSTWA ENERGETYCZNEGO EUROPY

Walczymy z monopolizacją rynku unijnego, angażujemy się w arbitraże i zawieramy nowe kontrakty. Przekonujemy europejskich partnerów do uniezależnienia Europy od wschodniego gazu. Jesteśmy regionalnym **liderem** zróżnicowania źródeł błękitnego paliwa.

REALIZUJEMY I **WSPIERAMY** STRATEGIĘ ENERGETYCZNĄ POLSKI

Magazynujemy gaz, wytwarzamy ciepło i prąd, inwestujemy w paliwa alternatywne, myślimy o Polsce w perspektywie **dekad**, nie miesięcy.

PGNiG

FOT. PKN ORLEN

Giganci rosną w siłę

Wojciech Simon

PKN Orlen, PGE, PGNiG, KGHM Polska Miedź, Grupa Lotos, Tauron Polska Energia oraz Enea – to największe polskie spółki przemysłowe, które z powodzeniem konkurują z zagranicznymi podmiotami. W wyniku fuzji państwowych gigantów – Orlenu, PGNiG i Lotosu – powstanie zaś multienergetyczny koncern z przychodami na poziomie ponad 200 mld zł rocznie

Według rankingu opracowanego przez analityków portalu WNP.pl miejsca w pierwszej piętnastce największych firm przemysłowych zajmowały przed rokiem w kolejności: PKN Orlen, PGE Polska Grupa Energetyczna, PGNiG, KGHM Polska Miedź, PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna, Grupa Lotos, Tauron Polska Energia, Enea, Volkswagen Poznań, ArcelorMittal Poland SA, Energa SA, Grupa Azoty, FCA Poland, Tauron Sprzedaż oraz Budimex.

Już jednak wiadomo, że tę listę czeka poważne przetasowanie. W styczniu 2022 r. oficjalnie prezes PKN Orlen Daniel Obajtek ogłosił bowiem, że partnerem w fuzji PKN Orlen i Lotosu będą węgierski koncern MOL, saudyjski Saudi Aramco oraz polski Unimot. Zgodnie z umową wartą 2,41 mld zł Węgrzy przejmą 417 stacji paliw sieci detalicznej Lotos znajdujących się na terenie Polski, a jednocześnie PKN Orlen przejmie ponad 140 stacji węgierskiego MOL na Węgrzech i ponad 40 na Słowacji. Nabycie przez płocki koncern naftowy stacji paliw od węgierskiej spółki MOL oznacza, że PKN Orlen stanie się wkrótce czwartym graczem na węgierskim rynku pod względem liczby stacji paliw, uzyska również ok. 8 proc. udziału w węgierskim rynku paliw. Transakcja umożliwia także polskiemu koncernowi wejście na rynek słowacki, co wzmocni rozpoznawalność marki Orlen w Europie Środkowej.

Z kolei 30 proc. udziałów w gdańskiej rafinerii Lotosu ma kupić koncern Aramco Overseas Company z Arabii Saudyjskiej, a więc największy producent ropy na świecie, lider rozwoju nowoczesnej petrochemii, który zatrudnia niemal 70 tys. osób, zarządza zasobami surowca na poziomie 260,8 mld baryłek i który dziennie produkuje ok. 10 mln baryłek ropy. Zgodnie z kontraktem arabska ropa popłynie do wszystkich rafinerii Orlenu, zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Czechach. Unimot Investments przejmie z kolei logistykę paliw. W ten sposób polska spółka wypełni warunki zaradcze określone przez Komisję Europejską i będzie mogła zrealizować fuzję z Lotosem. Już wcześniej, w 2020 r., PKN Orlen sfinalizował zaś

eprasa.pl f1d71c1b92

przejęcie gdańskiego koncernu energetycznego Energa.

PIERWSZA LIGA

„W kontekście pojawiających się głosów dotyczących fuzji PKN Orlen i Grupy Lotos przypominamy, że proces połączenia i powstania jednego koncernu to polska racja stanu. Tylko jeden silny koncern multienergetyczny może zagwarantować bezpieczeństwo krajowej gospodarki w obszarze paliw i energii" – oznajmił w wydanym w marcu komunikacie płocki koncern PKN Orlen, podkreślając, że połączenie dwóch największych spółek paliwowych w naszym kraju „wzmocni bezpieczeństwo energetyczne nie tylko Polski, lecz także całego regionu". Również przedstawiciele Lotosu przekonują, że wyniki spółki potwierdzają zasadność planowanego połączenia z Orlenem.

Fuzja Lotosu z PKN Orlen – zgodnie z planem powinno do niej dojść na przełomie czerwca i lipca – to jednak tylko jeden z etapów budowy potężnego koncernu. W połowie marca UOKiK wydał już również warunkową zgodę na koncentrację PKN Orlen z PGNiG, pod warunkiem wyzbycia się kontroli nad Gas Storage Poland. Prezes Orlenu Daniel Obajtek liczy na to, że fuzję paliwowej spółki z PGNiG uda się sfinalizować do końca obecnego roku, tak aby jak najlepiej wykorzystać proces synergii.

W wyniku fuzji państwowych spółek paliwowych i energetycznych – Orlenu, Energi i Lotosu oraz PGNiG – ma powstać potężny koncern o kapitalizacji wynoszącej ok. 80 mld zł, z przychodami na poziomie ponad 200 mld zł rocznie i zyskiem EBITDA wynoszącym ponad 20 mld zł rocznie.

Wśród zalet stworzenia energetycznego giganta prezes Obajtek wymienia również m.in. zróżnicowane źródła zysków „od produkcji rafineryjnej czy petrochemicznej, przez wytwarzanie energii, w tym zeroemisyjnej, do sprzedaży detalicznej do 100 mln klientów w Europie Środkowej". Według szefa płockiej spółki Fuzja Orlenu z PGNiG jest kluczowa ze względu choćby na obecną sytuację międzynarodową. „Ta decyzja oznacza także, że wchodzimy do pierwszej ligi europejskich firm w branży energetycznej w regionie. Tylko połączenie i jeden multienergetyczny koncern oparty na zdywersyfikowanych fundamentach zapewni stabilną energię dla gospodarki i klientów w akceptowalnej cenie" – oznajmił prezes Obajtek. Tak duży podmiot ma również łatwiej i skuteczniej negocjować nowe kontrakty i wchodzić na międzynarodowe rynki.

FOT. TAURON

ZIELONE REKORDY

Połączenie spółek ma również umożliwić zaoferowanie Polakom dostępu do przystępnej cenowo zielonej energii. Zielonym rekordem za 2021 r. już teraz może się pochwalić m.in. Grupa Tauron, która w ubiegłym roku przyłączyła do swojej sieci elektroenergetycznej ponad 127,3 tys. mikroinstalacji o mocy niemal 1 GW. Tym samym liczba współpracujących z Tauronem prosumentów, a więc osób, które instalując np. na dachach swych domów specjalne panele, tworzą mikroźródła zielonej energii, wzrosła do 300 tys.

W 2021 r. Tauron Dystrybucja przyłączył do swojej sieci również 89 odnawialnych źródeł energii, innych niż mikroinstalacje, o łącznej mocy 123,959 MW. Z tej liczby zdecydowana większość – aż 79 – to farmy słoneczne o mocy 66,455 MW. I chociaż nowe instalacje to dobra wiadomość dla ekologów, to bardzo szybko rosnąca liczba mikroźródeł wytwórczych wymaga od firm takich jak Tauron inwestycji w bezpieczeństwo sieci, która pierwotnie była projektowana z myślą o przepływach jedno-, a nie dwukierunkowych.

Rozwiązaniem może być budowa instalacji fotowoltaicznych wyposażonych we własne magazyny energii. Jedną z takich inwestycji Tauron oddał w marcu w zakopiańskiej Księżówce. Dzięki uzupełnieniu instalacji fotowoltaicznej składającej się ze 120 paneli monokrystalicznych o magazyn energii o mocy 40 kWh zarówno gromadzenie produkowanej w warunkach przydomowych energii, jak i jej zużywanie odbywa się „na miejscu", a więc bez konieczności odbioru prądu z paneli przez sieć przesyłową. W razie potrzeby pojemność akumulatora można zwiększyć do 140 kWh. Według producenta tego typu instalacja powinna bezproblemowo dostarczać energię przez ponad dwie dekady.

W ramach „Programu 200+" Tauron pracuje również nad przedłużeniem żywotności bloków klasy 200 MW, co ma zwiększyć stabilność działania sieci i wzmocnić bezpieczeństwo energetyczne. Pierwsze efekty widoczne są już w elektrowni Jaworzno III. Jednocześnie Tauron analizuje możliwości budowy nowego bloku gazowo-parowego w Elektrowni Łagisza, który miałby uzupełniać niedobory mocy powstałe w konsekwencji wyłączenia najstarszych bloków węglowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1d71c1b92

Rynek kapitałowy wsparciem dla rozwoju gospodarki w każdych czasach

Maciej Trybuchowski, prezes zarządu KDPW i KDPW_CCP

Ostatnie lata to seria niekorzystnych zdarzeń, które mają realny wpływ na globalną gospodarkę: pandemia koronawirusa, rosnąca w wielu krajach inflacja, destabilizacja rynku surowców, wreszcie tragedia, jaką jest wojna na Ukrainie. Wszystko to napawa obawami o przyszłość i rodzi pytanie: Jak odbudować gospodarkę po tylu szokach? Wsparciem może być sprawnie działający rynek kapitałowy. Trzeba zacząć o tym myśleć już teraz, bo po każdej burzy w końcu wychodzi słońce

Głównym celem rynku kapitałowego jest wspieranie wzrostu gospodarczego przez finansowanie rozwoju najbardziej dynamicznych i innowacyjnych przedsiębiorstw, co jest głównym warunkiem wzrostu produktywności gospodarki i jej konkurencyjności. W burzliwych czasach banki ograniczają kredytowanie przedsiębiorstw, głównie ze względu na rosnący poziom ryzyka. W takiej sytuacji to właśnie rynek kapitałowy może odegrać pozytywną rolę w ograniczaniu skutków ostatnich kryzysów.

Polska gospodarka poradziła sobie relatywnie dobrze w pandemii, a w tym czasie wzrosło zainteresowanie rynkiem kapitałowym. Obserwujemy to zarówno po rosnącej liczbie inwestorów, zwiększających się obrotach na GPW, jak i liczbie spółek pozyskujących kapitał na giełdzie. Według danych, które KDPW otrzymuje z banków oraz domów i biur maklerskich, na koniec 2021 r. liczba rachunków maklerskich wyniosła 1 mln 373 tys. To o ok. 40 tys. więcej niż na koniec 2020 r. i aż o ponad 100 tys. więcej wobec danych z końca roku 2019. Liczba spółek, które zadebiutowały na GPW w 2021 r., była ponad dwukrotnie wyższa niż dwa lata wcześniej (16 wobec 7), a wartość obrotu w tym okresie wzrosła z niecałych 200 mld zł do ponad 330 mld zł. Tylko w ubiegłym roku spółki pozyskały z rynku giełdowego ponad 6 mld zł kapitału na rozwój.

Jednym z kluczowych czynników sukcesu rozwoju polskiego rynku kapitałowego jest jego infrastruktura transakcyjna i posttransakcyjna. Ta pierwsza pozwala na zawieranie transakcji, druga zaś – być może mniej dostrzegana na co dzień – gwarantuje bezpieczne, terminowe ich rozliczenie i rozrachunek oraz rejestrację wszystkich dopuszczonych do obrotu papierów wartościowych.

Dla dalszego rozwoju rynku kapitałowego istotne jest wprowadzenie wielu rozwiązań zapisanych w Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego. Zwłaszcza w obszarze zwiększającym atrakcyjność rynku dla emitentów i inwestorów. Kapitał niezbędny jest bowiem do wzmacniania gospodarki po pandemii oraz finansowania projektów inwestycyjnych, w tym związanych z zieloną transformacją gospodarki, inwestycjami w energetykę, obronność i przemysł.

Znaczenie rynku kapitałowego zauważyła także Komisja Europejska. Zainicjowana kilka lat temu przez KE Unia Rynków Kapitałowych ma na celu stymulowanie zrównoważonego wzrostu gospodarczego oraz wzrostu zatrudnienia, a w konsekwencji zwiększenie innowacyjności i konkurencyjności gospodarki Unii Europejskiej. Wpisuje się to także w działania związane z odbudową gospodarki po pandemii, zarówno przez UE, jak i poszczególne jej kraje członkowskie.

Plany polskiego rządu zakładają skierowanie polskiej gospodarki na zupełnie nowe tory rozwoju. Poza kwestiami społecznymi, jak ochrona zdrowia czy rynek pracy, kładziony jest nacisk na głęboką transformację polskiej gospodarki. Ma się ona stać mniej energochłonna, oparta na nowoczesnych technologiach i neutralna dla środowiska naturalnego. Będzie to wymagało wysokich nakładów inwestycyjnych, co stanowi dużą szansę dla polskiego rynku kapitałowego, aby zaczął odgrywać większą rolę w finansowaniu rozwoju gospodarczego.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f1d71c1b92

Dodatkowe 300 mln zł na kontrakty

eprasa.pl f1d71c1b92

Lasy Państwowe po raz kolejny w tym roku zwiększają pulę środków przeznaczonych na finansowanie prac leśnych. Łączna kwota wydatków na ten cel będzie przynajmniej o 300 mln zł wyższa niż w latach poprzednich. Możliwe są dalsze wzrosty

W pierwszej dekadzie transformacji ustrojowej Lasy Państwowe przeszły gruntowną wewnętrzną reformę organizacyjną. Państwowe przedsiębiorstwo działające w systemie gospodarki centralnie planowanej przeszło bezbolesną restrukturyzację w kierunku organizacji, która profesjonalnie zarządza przyrodą, reaguje na zmieniające się potrzeby społeczne i dostarcza surowca dla gospodarki. Socjalistyczne priorytety musiały ustąpić nowoczesnemu, ekologicznemu podejściu. To dzięki temu organizacja przetrwała ten burzliwy okres i oparła się m.in. komercjalizacji.

Jedną z kluczowych reform była prywatyzacja usług leśnych. Z PRL Lasy Państwowe wychodziły jako armia niemal 130 tys. pracowników, z których większość stanowili robotnicy leśni. Dziś to 26 tys. dobrze wykształconych profesjonalistów, specjalistyczna kadra zarządzająca i menedżerska. Dyrektor Józef Kubica, który obecnie kieruje Lasami Państwowymi, w tamtym czasie pracował w terenie w lasach na Śląsku: – Tamten system był skrojony na potrzeby lat 70. XX w. i innego ustroju. W nowoczesnej rynkowej gospodarce poleglibyśmy z kretesem – wspomina.

Gdy na Śląsku strajkowała kopalnia za kopalnią, o zmianach w Lasach telewizja milczała. Dlaczego? – Bo zmiany, w tym redukcja kadry w Lasach, odbywały się stopniowo, w duchu partnerstwa i przy asekuracji nadleśnictw. Nasi dotychczasowi pracownicy zakładali własne firmy, a my pomagaliśmy im, sprzedając i udostępniając sprzęt, wdrażając w tajniki księgowości i rozliczeń – mówi Kubica.

W ten sposób powstał sektor usługowy w leśnictwie. To kilka tysięcy wyspecjalizowanych zakładów usług leśnych, czyli firm wykonujących roboty na rzecz nadleśnictw. Działających w ramach zamówień publicznych. W sumie prawie 60 tys. ludzi, dla których las to codzienne miejsce pracy.

eprasa.pl f1d71c1b92

Co roku poszczególne nadleśnictwa same kontraktują usługi leśne w zależności od potrzeb wynikających m.in. z bieżących zadań sformułowanych w planach urządzenia lasu. O ostatecznych cenach usług leśnych decydują procesy rynkowe. W uzasadnionych przypadkach nadleśnictwa mają możliwość wyboru ofert przekraczających wartość, jaką zamierzały przeznaczyć na sfinansowanie zamówienia.

Obecna niestabilna sytuacja gospodarcza i polityczna wpływa na funkcjonowanie zarówno prywatnych firm, jak i państwowych podmiotów. Nie inaczej jest w przypadku Lasów Państwowych i zakładów usług leśnych. Specyficzna i bardzo zmienna koniunktura, odczuwalna w postaci rosnącego poziomu inflacji i wzrostu wielu kosztów, m.in. cen paliw, skłania do podejmowania dodatkowych działań, dostosowanych do obecnych warunków rynkowych.

– Stąd też nasza decyzja o znaczącym zwiększeniu puli środków na finansowanie prac leśnych – mówi dyrektor Kubica.

Już na etapie prowizorium budżetowego na rok 2022 na pokrycie kosztów tych prac Lasy Państwowe przeznaczyły o 150 mln zł więcej niż wydatkowano w roku poprzednim. W wyniku analizy i przyjęcia części ofert złożonych w przetargach przekraczających pierwotnie zakładane wartości szacunkowe uznano, że w stosunku do prowizorium konieczne będzie przekroczenie planów dodatkowo o ponad 150 mln zł. Łącznie kwota przeznaczona na usługi leśne będzie przynajmniej o 300 mln zł wyższa niż w poprzednim roku.

Jak podkreśla dyrektor Józef Kubica: „Dostrzegamy powagę sytuacji, dlatego działania podejmowane przez Lasy Państwowe mają na celu uniknięcie destabilizacji rynku usług leśnych. Kolejne kroki podejmowane w tym obszarze będą zależały od rozwoju sytuacji gospodarczej, a także wniosków, jakie pojawią się na etapie rozstrzygania przetargów na kontraktowanie umów z Zakładami Usług Leśnych. Lasy Państwowe pozostają w stałym roboczym kontakcie z przedstawicielami sektora świadczącego usługi leśne. Dialog między tymi podmiotami jest teraz bardzo istotny".

Lasy Państwowe chcą rozmawiać o bieżącej sytuacji, w tym związanej ze wzrostem kosztów zakupu paliw. Wszelkie rozwiązania, które mogą się pojawić, będą miały charakter czasowy, adekwatny do zmiany cen paliw. Nie mogą być pretekstem do omijania procedury zamówień publicznych.

eprasa.pl f1d71c1b92

LASY PAŃSTWOWE W LICZBACH

O NAS

Lasy Państwowe to organizacja, która **od prawie stu lat opiekuje się większością polskich lasów.** Działa na zasadzie **samofinansowania,** czyli wszystkie koszty pokrywa z własnych przychodów, uzyskanych ze sprzedaży drewna. Ochrona lasów przed pożarami, usuwanie skutków klęsk żywiołowych, budowa infrastruktury turystycznej, ochrona przyrody – **te i wiele innych działań finansują Lasy Państwowe.**

Należycie prowadzona gospodarka leśna jest potwierdzona **międzynarodowymi certyfikatami PEFC i FSC.**

UDZIAŁ LASÓW CERTYFIKOWANYCH WŚRÓD WSZYSTKICH LASÓW

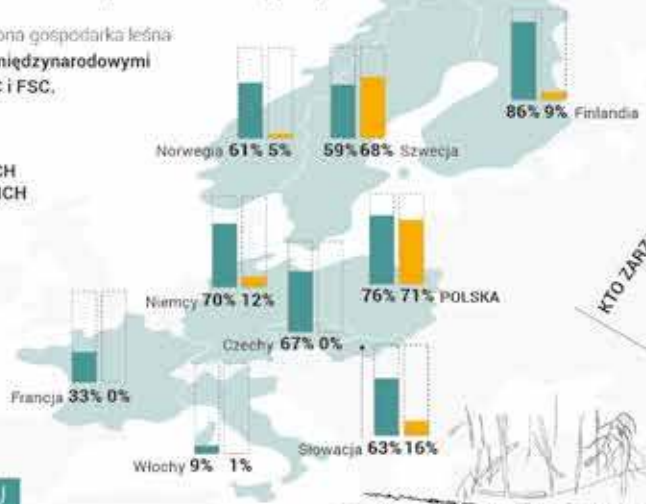

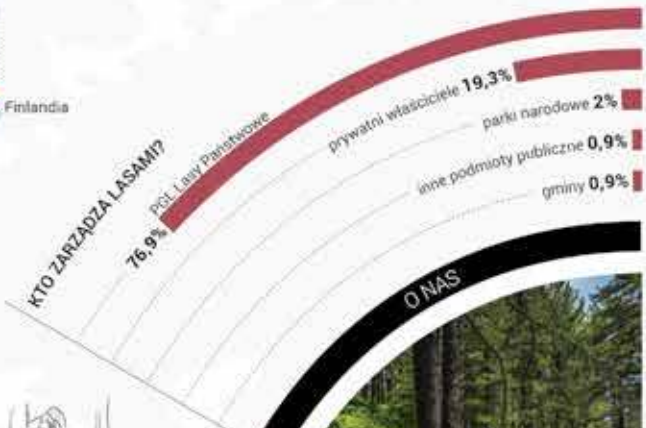

DLA KLIMATU

W lasach trwa wielka przebudowa, tak aby były one bardziej odporne na zmiany klimatu. Stabilny i trwały las musi się składać z drzew **różnych gatunków, w różnym wieku** i **dopasowanych do siedliska**. Dzięki działaniom leśników w Polsce znacznie wzrósł udział drzew liściastych.

WZROST UDZIAŁU DRZEW LIŚCIASTYCH

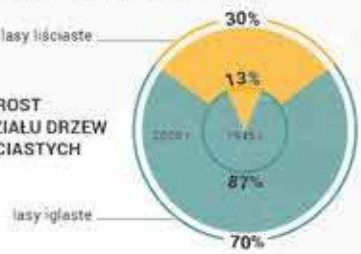

ZATRZYMAĆ WODĘ W LASACH

Ważnym elementem troski o klimat jest dbanie o to, by las zatrzymywał jak najwięcej wody. Dlatego od lat 90. XX w. na terenie Lasów Państwowych prowadzone są programy tzw. **małej retencji**. Jej nadmiar jest gromadzony w niewielkich zbiornikach i oczkach wodnych, a jej odpływ jest spowalniany. Na terenie lasów wybudowano **15 tys. obiektów** służących tym dwóm celom. Szacowana ilość zgromadzonej wody (z projektów realizowanych tylko w latach 1998–2015) to ok. **53 mln m³.**

DLA LUDZI

Lasy państwowe są dostępne dla wszystkich i stają się coraz częstszym celem wycieczek. Leśnicy **przygotowali i nadal rozwijają infrastrukturę turystyczną** w lasach, tak by ułatwić korzystanie z nich.

- ośrodków i izb edukacji leśnej **314**
- ośrodków szkoleniowo-wypoczynkowych **45**
- ośrodków wypoczynkowych **318**
- zielonych klas **271**
- zagród pokazowych **11**
- miejsc biwakowania i kempingów **518**
- pól biwakowych **18**
- punktów wodowania i cumowania sprzętu wodnego **37**
- **1467** miejsc odpoczynku
- **85** placów zabaw dla dzieci
- **4347** miejsc postoju pojazdów i parkingów leśnych
- **7** ogrodów botanicznych
- **317** punktów widokowych
- **18** arboretów

eprasa.pl f1d71c1b92

Lasy Państwowe

DLA PRZYRODY

Leśnicy prowadzą gospodarkę tak, by **dostarczać na rynek drewno bez szkody dla przyrody.** Liczebności populacji dzikich zwierząt są stabilne lub z roku na rok rosną. Średni wiek lasów także się zwiększa.

ŚREDNIA WIEKU DRZEW

49 lat 1978 r. — **64 lata** 2020 r.

LASY PEŁNE ŻYCIA Populacja wybranych gatunków zwierząt

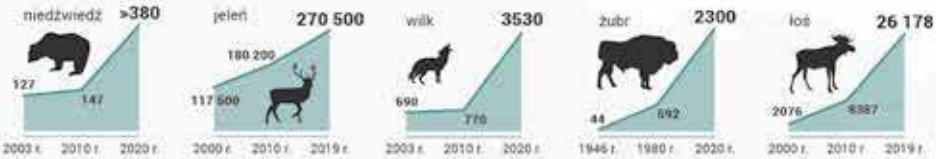

Rozkładające się drewno jest **miejscem życia dla wielu rzadkich organizmów.**

ILOŚĆ MARTWEGO DREWNA W LASACH

Na terenach zarządzanych przez Lasy Państwowe znajduje się:

SUROWIEC DOSKONAŁY

Co roku w Lasach Państwowych pozyskuje się **ok. 70 proc. drewna, które w tym czasie przyrasta.** Reszta zwiększa zasoby w lasach.

ZUŻYCIE PAPIERU ROCZNIE

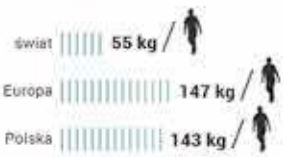

Dostarczane przez Lasy Państwowe drewno ma ogromny wpływ na rozwój polskiej gospodarki. **PKB wytwarzany przez przemysł drzewny wynosi 2,3%.**

ZUŻYCIE DREWNA NA JEDNEGO POLAKA

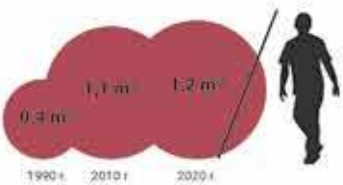

Mimo że drewno towarzyszy ludziom od milionów lat, to wciąż jest jednym z najważniejszych surowców. Dziś **jest pierwszym wyborem świadomych konsumentów.**

W DOBRYCH RĘKACH

Polska jest na 3. miejscu, po Portugalii i Hiszpanii, pod względem liczby powstających w lasach pożarów. Jednak już powierzchnia przeciętnego pożaru jest u nas dużo mniejsza. To dowód, że **system zabezpieczenia lasów przed tym żywiołem jest bardzo skuteczny.**

SKUTECZNA OCHRONA PRZED POŻARAMI

Co roku leśnicy sadzą blisko **500 mln drzew**

Opracowanie: Polska Grupa Infograficzna (infograficy.pl)

eprasa.pl f1d71c1b92

Las to samo zdrowie

Nie na wynikach nam zależy, tylko na rozwoju polskich lasów. Możemy więc życzyć sobie wszyscy tego samego – aby Polska była jak najbardziej zielona. Bo las to samo zdrowie

– mówi Sekretarz Stanu Ministerstwa Klimatu i Środowiska Edward Siarka

Lasy Państwowe za dwa lata będą obchodziły stulecie istnienia. Przedsiębiorstwo przetrwało wojnę, a w czasach PRL, gdy narzucano odgórnie normy i wielkość pozyskiwanego surowca, co często stało w sprzeczności z zasadami racjonalnej gospodarki leśnej, leśnikom mimo wszystko udawało się uchronić bogactwo naszych lasów. Co zadecydowało o powodzeniu istnienia przedsiębiorstwa?

Ludzie. Leśnicy. Ich doświadczenie, pasja, odpowiedzialność. Ich umiłowanie przyrody. To wydają się być banalne sprawy, ale to właśnie oni, polscy leśnicy, stoją na straży polskiej przyrody, polskich lasów od prawie stu lat, przekazując z pokolenia na pokolenie „leśny gen", którego nikt nie jest w stanie usunąć z ich serc. Podkreślam to z całą mocą, bo żaden przepis, żadne prawo na nic się zdadzą, jeśli nie będzie zaangażowania człowieka. Ale oczywiście także dobre prawo odegrało tu rolę – mam na myśli przełomową ustawę o lasach z 1991 r., nadającą Lasom Państwowym samodzielność finansową. Dzięki tej ustawie można było dokonać prawdziwej restrukturyzacji przedsiębiorstwa i uczynić z niego sprawnie zarządzaną, efektywną, niezależną firmę, która może dbać o lasy zgodnie z opracowanymi przez naukowców zasadami zrównoważonej gospodarki.

Krytycy zarzucają Lasom Państwowym nadmierną wycinkę drzew i ciągłe zwiększanie pozyskiwanego drewna. Czy są to zarzuty uprawnione?

To oczywiście nieprawda, celowo powtarzana przez różne środowiska, które doskonale wiedzą, jaka jest prawda. I jeśli mówi tak np. organizacja ekologiczna, to trzeba zadać pytanie, jaki ma w tym interes. Bo prawda jest taka, że działalność Lasów Państwowych, w tym zwłaszcza pozyskiwanie drewna, jest ściśle określona w ogólnodostępnych przepisach. I każdy może sprawdzić, że nadleśnictwa mają ściśle określone limity pozyskania drewna. I że te limity, plany urządzenia lasu są określane raz na 10 lat przez ekspertów, zatwierdzane przez ministerstwo i nie można ich przez te 10 lat zmieniać. Wiele nadleśnictw pracuje na podstawie 10-letnich planów zatwierdzanych jeszcze za poprzednich rządów. Każdy może też sprawdzić, że leśnicy pozyskują tylko dwie trzecie rocznych przyrostów, czyli co roku jedną trzecia rocznego przyrostu zwiększa powierzchnię lasów. I każdy też może sprawdzić, choćby w rocznikach staty-

eprasa.pl f1d71c1b92

stycznych, że z roku na rok ta powierzchnia lasów rzeczywiście w Polsce wzrasta.

Przedsiębiorstwo Lasy Państwowe opiera się na zasadzie samofinansowania. Lasy nie korzystają z pieniędzy podatników. Z czego więc finansowane są koszty działalności przedsiębiorstwa?

Lasy Państwowe osiągają przychody z gospodarki leśnej i całość przychodów inwestują w lasy. Formuła przedsiębiorstwa jest tak skonstruowana, że nie musi maksymalizować zysków, co odbiłoby się negatywnie na środowisku, tylko prowadzi zrównoważoną gospodarkę, która zapewnia m.in. trwały wzrost lesistości. Dzięki temu Lasy Państwowe nie korzystają np. z pieniędzy podatnika, gdy trzeba likwidować skutki klęsk żywiołowych czy pożarów. Dzięki temu, że nie działają na zasadach komercyjnych, nie zwiększają podaży drewna, gdy jego cena na światowych rynkach wzrasta, bo nie o zysk tu chodzi, tylko o ochronę przyrody i wsparcie gospodarki.

Jakie wyzwania stoją przed Lasami Państwowymi w najbliższych latach? W jaki sposób już dziś starają się państwo zapobiec potencjalnym problemom?

Poszukujemy alternatywnych źródeł finansowania, skupiając się na energetyce odnawialnej. Lasy Państwowe zarządzają jedną czwartą powierzchni Polski, to także tereny nieprzydatne do prowadzenia gospodarki leśnej, ale za to nadające się do zagospodarowania na farmy fotowoltaiczne, siłownie wiatrowe czy magazyny energii. Rozwijamy też sieć „Dobre z Lasu" – powstają nowe sklepy i stoiska w regionalnych dyrekcjach. To przede wszystkim promocja zdrowej żywności opartej na tym, co daje nam polski las.

Sytuacja ekonomiczna Lasów Państwowych była w 2020 r. lepsza niż przed pandemią. Czekamy na podsumowanie danych za 2021 r. Jak według pańskich przewidywań zakończy się poprzedni rok?

Sytuacja finansowa jest na tyle dobra, że zdecydowaliśmy się już teraz rozpocząć ogólnopolską akcję skupowania prywatnych gruntów pod nowe lasy. Oferujemy atrakcyjne stawki i akcja spotyka się z dużym odzewem. Rozwijamy także projekty wspomagające lokalne społeczności – finansujemy budowę dróg, to w skali kraju kilkanaście tysięcy kilometrów, doposażamy ochotnicze straże pożarne, budujemy zbiorniki retencyjne…

Wynik finansowy za 2020 r. był efektem m.in. ograniczenia kosztów. Nie wpłynęło ono na prawidłową gospodarkę leśną.

Ograniczenia dotknęły inwestycje, które nie wpływają bezpośrednio na kondycję przedsiębiorstwa. Nie oszczędzamy na lesie i ludziach. Przeciwnie, w tegorocznej edycji przetargów dla zakładów usług leśnych zwiększyliśmy pulę środków o 300 mln zł!

Przedsiębiorstwo Lasy Państwowe zostało odnotowane w raporcie „Czempioni Polskiej Gospodarki". Czego można życzyć przedsiębiorstwu, by w kolejnych latach osiągało równie spektakularne wyniki?

Nie na wynikach nam zależy, tylko na rozwoju polskich lasów. Możemy więc życzyć sobie wszyscy tego samego – aby Polska była jak najbardziej zielona. Bo las to samo zdrowie.

eprasa.pl f1d71c1b92

Lasów nigdy nie jest za dużo

Będziemy zwiększać lesistość, by Polska była jeszcze bardziej zielona. Dla dobra przyrody, dla komfortu życia Polaków, dla rozwoju naszej gospodarki
– mówi Józef Kubica, Dyrektor Generalny Lasów Państwowych

Jakie są największe wyzwania, z którymi mierzą się obecnie Lasy Państwowe? Zmiany klimatyczne, nowe wyzwania polityki klimatycznej, a może zupełnie inne?

Zanim jeszcze zaczęto tyle mówić na temat zmian klimatu, polscy leśnicy już wykonali tytaniczną pracę. Od zakończenia drugiej wojny światowej aż o połowę podnieśliśmy lesistość kraju. A więcej lasów to większy obszar, który trwale pochłania dwutlenek węgla. Do tego od lat roczne pozyskanie drewna jest mniejsze niż jego przyrost. W efekcie doprowadziliśmy do tego, że dziś mamy w lasach trzykrotnie więcej drewna! Co to oznacza? Że w lasach jest trzykrotnie więcej zmagazynowanego CO_2.

Stale też zwiększamy odsetek drzew liściastych. W ubiegłym roku mieliśmy też rekordowy odsetek tzw. odnowień naturalnych, czyli młodych drzew pojawiających się z naturalnego obsiewu. To są realne działania, by uodparniać lasy na zaburzenia klimatyczne.

W lutym Lasy Państwowe rozpoczęły ogólnopolską akcję skupu gruntów pod nowe lasy. W jaki sposób chcą zwiększyć państwo powierzchnię ogólnodostępnych państwowych lasów?

Choć udało nam się zwiększyć lesistość w stopniu bezprecedensowym w skali europejskiej, to nie spoczywamy na laurach. W Polsce wciąż jest dużo nieprzydatnych dla rolnictwa gruntów, które warto zalesić. Lasy Państwowe są organizacją samofinansującą się, co oznacza, że przychody inwestujemy w las. Nie ma lepszego narzędzia dla zatrzymywania CO_2 jak drzewa. Warto też pamiętać, że tereny w zarządzie Lasów Państwowych to gwarancja dostępności i wielofunkcyjnego charakteru lasów. Nie zamieniamy ich w działki budowlane. Do naszych lasów swobodny wstęp mają obywatele. W odróżnieniu od parków narodowych czy rezerwatów – po lasach wielofunkcyjnych można chodzić, gdzie się komu podoba.

Do kogo jest skierowana oferta wykupu? Ile Lasy zapłacą właścicielom?

Już widzimy, że nasza oferta idealnie trafiła w oczekiwania. Zmiany społeczne na wsi spowodowały, że wielu ludzi zostało z gruntami, z którymi nie ma co zrobić. To osoby w podeszłym wieku albo takie, które wyjechały do dużych miast czy za granicę. Oferują nam tereny do zalesienia i lasy, bo widzą, że trafią one w ręce profesjonalistów. Mają też pewność uczciwej ceny. Nadleśnictwo to nie agencja nieruchomości. Tu nie ma targowania się, jest profesjonalna wycena przez niezależnego rzeczoznawcę.

Z założeń Krajowego Programu Zwiększania Lesistości wynika, że do 2050 r. lesistość Polski zwiększy się do 33 proc. Czy to wartość docelowa czy też Lasy Państwowe będą dążyły do dalszego zwiększania powierzchni lasów?

Lasów nigdy nie jest za dużo i nawet gdy osiągniemy 33 proc. lesistości, nadal będziemy ją zwiększać, by Polska była jeszcze bardziej zielona. Dla dobra przyrody, dla komfortu życia Polaków, dla rozwoju naszej gospodarki… Mogę tu zdradzić, że jesteśmy bliżej tego poziomu, niż się wszystkim wydaje. Od lat finansujemy Wielkoobszarową Inwentaryzację Stanu Lasu, systemowy monitoring, który pokazuje nam, jakie są polskie lasy. To dzięki temu wiemy, że faktyczna lesistość jest o ponad 2 proc. większa od tej oficjalnej. Bo las porasta także nieużytkowane grunty rolne, które w statystykach nadal widnieją jako pola czy łąki.

Szukamy też nowych dróg na to, by, mówiąc kolokwialnie, zazielenić jak najwięcej Polski.

Jakie to drogi?

Jesteśmy największym producentem sadzonek w kraju. Podczas dwóch edycji akcji „#SadziMY" z udziałem pary prezydenckiej udostępniliśmy do rozdania 2 mln młodych drzewek. Rozdajemy bezpłatnie sadzonki, by ludzie zasadzili je sami. Na swoich podwórkach, działkach rekreacyjnych, tworząc śródpolne zadrzewienia. Drzewa są nam niezbędne i to dzięki Lasom Państwowym jest ich coraz więcej.

eprasa.pl f1d71c1b92

G2A ARENA
Centrum Wystawienniczo-Kongresowe Województwa Podkarpackiego

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

Poznaj naszą przestrzeń otwartą na Twój biznes

- » konferencje
- » koncerty
- » kongresy
- » eventy
- » wydarzenia sportowe
- » produkcje telewizyjne

Kontakt
+48 790 707 384
+48 533 391 412
sprzedaz@g2aarena.pl
www.g2aarena.pl

eprasa.pl f1d71c1b92

Tak robi się Zielony Zwrot. Pięć pomysłów

Wiatr, woda, słońce – opierając się na tych źródłach, dzieje się rewolucja, która ma istotny wpływ na życie milionów Polaków. Zielona energia to już nie tylko moda, lecz także przejaw bardzo praktycznego podejścia do życia. W Polsce jest już ponad milion prosumentów, a moc zainstalowana pochodząca z modułów fotowoltaicznych to ok. 8 GW. Pierwsze miejsce w ekspresie do sukcesu zajmuje na pewno Tauron, który ogłosił niedawno, że wybuduje w Mysłowicach gigantyczną farmę o mocy 100 MW

#1 WSPARCIE DLA PROSUMENTÓW

Tauron konsekwentnie wspiera klientów w ich ekologicznych inwestycjach. Od kilku lat firma oferuje zakup i montaż instalacji fotowoltaicznych, zapewniając przy tym atrakcyjne formy finansowania inwestycji oraz eksperckie doradztwo m.in. w zakresie doboru optymalnej mocy instalacji czy wsparcie w pozyskaniu dofinansowania tego typu inwestycji.

– Zielony Zwrot to jednak nie tylko fotowoltaika – to również nowoczesne systemy grzewcze. Firma uruchomiła niedawno program dofinansowań dla klientów, którzy decydują się na wymianę ogrzewania na bardziej ekologiczne rozwiązanie. Program ma wspierać i zachęcać właścicieli nieruchomości do ekologicznych inwestycji – mówi Artur Warzocha, członek zarządu Grupy Tauron.

W ramach programu klienci, którzy wymienią dotychczasowe urządzenia grzewcze na takie o wyższej klasie efektywności energetycznej, mogą liczyć nawet na 4,2 tys. zł bezzwrotnego dofinansowania. Najwyższą kwotę mogą otrzymać ci, którzy zdecydują się na pompę ciepła, która jest jednym z najbardziej ekologicznych sposobów ogrzewania domów. Dofinansowanie w programie Taurona można połączyć z innymi programami dopłat, m.in. z „Czystym Powietrzem".

#2 NA OSIEDLU TEŻ MOŻE BYĆ ZIELONO

Rewolucyjne rozwiązania Tauron uruchomił – na razie tylko testowo – w Bytomiu. Chodzi o mikrosieć, czyli

eprasa.pl f1d71c1b92

małą sieć elektroenergetyczną pozwalającą na zagwarantowanie, nawet w sytuacjach ekstremalnych, dostaw energii elektrycznej dla odbiorców do niej przyłączonych. To pierwsza taka instalacja w Polsce i jedno z pierwszych tego tupu rozwiązań w Europie.

System dysponuje mocami wiatrowymi, panelami fotowoltaicznymi oraz stabilizującymi system magazynem energii i agregatorem gazowym. Sercem całej instalacji jest System Zarządzania Mikrosiecią (SZM) koordynujący pracę wszystkich elementów mikrosieci. Zbudowany w Bytomiu system ma unikalną zdolność do pracy sieciowej i poza siecią elektroenergetyczną.

– Cały czas szukamy rozwiązań zapewniających stabilne dostawy energii elektrycznej wszystkim klientom, niezależnie od miejsca zamieszkania. W sytuacji gwałtownego rozwoju rozproszonych źródeł energii mikrosieci mają ogromny potencjał szczególnie w miejscach trudno dostępnych, znajdujących się na końcach sieci elektroenergetycznej. Mikrosieć to zaawansowana technologicznie odpowiedź na coraz bardziej zauważalny trend do integracji źródeł rozproszonych w większe struktury. Zdolność do pracy wyspowej zapewni dostęp do energii nawet w przypadku blackoutu albo przerw w dostawie energii wywołanych gwałtownymi zjawiskami pogodowymi – wyjaśnia Artur Warzocha.

#3 LICZY SIĘ SIEĆ

Jednak, żeby zielone źródła mogły powstawać, konieczne są gigantyczne inwestycje w sieć dystrybucyjną. TAURON przeznacza na ten cel każdego roku aż 2 mld zł – najwięcej w kraju. Jak wskazuje energetyczny lider, tylko w zeszłym roku realizowano 60 tys. projektów.

– Zielona transformacja energetyki przebiega przede wszystkim po liniach niskiego i średniego napięcia. To one, w dobie fotowoltaicznego boomu, stanowią wąskie gardło. Sieć projektowana do tego, by przesyłać prąd z elektrowni do domu, teraz funkcjonować musi dwukierunkowo, odbierając energię produkowaną przez prosumentów. Dlatego jednym ze strategicznych priorytetów – zaraz obok budowy zielonych mocy wytwórczych – jest modernizacja sieci dystrybucyjnej tak, by potrafiła przyjąć jak największe wolumeny energii, bez strat dla prosumentów – mówi Jerzy Topolski, wiceprezes Grupy Tauron.

#4 INTELIGENTNE LICZNIKI

Jednak sieć dystrybucyjna to nie tylko linie przesyłowe. Tauron rozpoczął masową wymianę liczników energii na inteligentne. Dzięki nim w perspektywie kilku lat klienci nie będą musieli już podawać odczytów ani przyjmować w domu zajmujących się tym inkasentów.

– Wdrożenie na masową skalę liczników zdalnego odczytu da nam możliwość efektywniejszego monitorowania stanu i pracy sieci w czasie rzeczywistym. Pozyskamy w zautomatyzowany sposób wiedzę o parametrach zużycia energii i pracy sieci bez konieczności dokonywania odczytów przez inkasentów. Nasi klienci uzyskają również dostęp do dużego pakietu wiedzy o swojej strukturze korzystania z energii, a tym samym możliwość zarządzania swoim poborem energii elektrycznej – dodaje wiceprezes Topolski.

#5 GIGANTYCZNA FARMA

W ostatnich miesiącach katowicki koncern mocno zaangażował się również w budowę farm fotowoltaicznych. Powstająca właśnie w Mysłowicach farma będzie największą w kraju, a jej moc osiągnie 100 MW.

O skali przedsięwzięcia świadczą liczby. Na miejscu zainstalowanych zostanie 94 tys. paneli fotowoltaicznych, a farma ma powierzchnię 16 ha, co odpowiada 22 boiskom do piłki nożnej. Instalacja wyprodukuje 39 tys. MWh zielonej energii, czyli tyle, ile w ciągu roku potrzebuje 16 tys. gospodarstw domowych. Co bardzo istotne, dzięki temu, że prąd produkowany będzie przez fotowoltaikę, do atmosfery nie trafi 30 tys. ton dwutlenku węgla.

Od kilku lat Turon intensyfikuje inwestycje w OZE. W 2019 r. Tauron podwoił moce wiatrowe przez akwizycję pięciu farm w północnej Polsce. Firma aktualnie dysponuje dziewięcioma takimi elektrowniami, w których energię elektryczną wytwarzają 182 turbiny wiatrowe o łącznej mocy ponad 380 MW. W grudniu 2020 r. Tauron kupił projekt farmy wiatrowej o docelowej mocy 30 MW. Na elektrownię zlokalizowaną na terenach gmin Wolbórz i Moszczenica w powiecie piotrkowskim składać się będzie łącznie 15 turbin wiatrowych, każda o mocy 2 MW. Farma planowo wyprodukuje 90 GWh rocznie, co zaspokoi zapotrzebowanie na energię elektryczną ok. 35 tys. gospodarstw domowych. W czerwcu 2021 r. Tauron rozpoczął budowę kolejnej farmy wiatrowej w województwie warmińsko-mazurskim.

ZRÓB Z NAMI ZIELONY ZWROT!

W Tauronie, by sprostać nowym, ekologicznym wyzwaniom, powstała spółka Tauron Zielona Energia, konsolidująca kompetencje w zakresie rozwoju odnawialnych źródeł energii. Podmiot odpowiada za przygotowanie inwestycji OZE, akwizycje projektów, a także prowadzi nadzór nad farmami fotowoltaicznymi i lądowymi farmami wiatrowymi. Jeżeli chcesz zostać naszym partnerem, to wejdź na stronę tze.tauron.pl i skontaktuj się z nami.

eprasa.pl f1d71c1b92

PGNiG – czempion polskiego bezpieczeństwa energetycznego

Systematyczna dywersyfikacja źródeł i kierunków dostaw, ciągłe zwiększanie zdolności magazynowych i kolejne, pozwalające na uniezależnienie się od dostaw ze wschodu, inwestycje. PGNiG od lat konsekwentnie realizuje strategię, której bezcenną wartość dziś widzimy szczególnie wyraźnie.

24 lutego 2022 r. to data, którą zapamiętamy wszyscy. Ci, którzy jeszcze poprzedniego dnia spokojnie położyli się spać, rano obudzili się w zupełnie nowym świecie. Rosyjska inwazja na Ukrainę postawiła przed nami wiele wyzwań, zrodziła też wiele pytań m.in. o bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju. Czy jesteśmy bezpieczni? Dzięki wieloletniej pracy m.in. PGNiG odpowiedź na to pytanie może być twierdząca.

DYWERSYFIKACJA, CZYLI BEZPIECZEŃSTWO

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) od lat konsekwentnie realizuje strategię dywersyfikacji. To ważne, bo zróżnicowanie źródeł i kierunków dostaw to podstawa bezpieczeństwa energetycznego kraju. Efekty? Doskonale widoczne na przykładzie gazu ziemnego. Jeszcze w 2015 r. 90 proc. gazu dostarczanego na terytorium Polski pochodziło z Rosji. Dziś to już 60 proc. Systematyczna budowa i umacnianie zdywersyfikowanego portfela gazu ziemnego w ciągu zaledwie kliku lat przyniosło doskonałe efekty. Składowe sukcesu? Po pierwsze, PGNiG od lat optymalizuje wydobycie surowca ze złóż krajowych. Po drugie, rozbudowuje magazyny gazu (dwa razy większa pojemność w ciągu 10 lat). Po trzecie, jako użytkownik wykorzystujący powstającą infrastrukturę do sprowadzania gazu do Polski uczestniczy w kluczowych dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego kraju projektach infrastrukturalnych. Skuteczna dywersyfikacja wymaga odpowiedniej infrastruktury. Dziś taką infrastrukturę mamy.

BEZCENNE INWESTYCJE

Jedną z ważniejszych inwestycji ostatnich lat, w kontekście bezpieczeństwa energetycznego kraju, jest Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, umożliwiający Polsce odbieranie skroplonego gazu ziemnego

eprasa.pl f1d71c1b92

Platforma wydobywcza na złożu Gina Krog FOT. PGNIG

drogą morską, praktycznie z dowolnego kierunku na świecie. Wyłącznym użytkownikiem inwestycji jest PGNiG, a dostarczany tu gaz trafia do nas m.in. z USA i Kataru. Od 2015 r., czyli od początku swojego funkcjonowania, terminal (popularnie nazywany gazoportem) przyjął już ponad 150 statków o łącznym wolumenie 17 mld m sześc. gazu. W tym roku dostawy zostały zintensyfikowane (od początku 2022 r. PGNiG dysponuje zwiększoną mocą regazyfikacji, na poziomie 6,2 mld m sześc., co w praktyce oznacza możliwość importu średnio jednego ładunku na tydzień). Każdy docierający do Świnoujścia statek to średnio 100–120 mln m sześc. gazu (paliwo wystarczające, aby zasilić wszystkie korzystające z gazu polskie gospodarstwa domowe przez osiem dni z rzędu).

– W marcu odbierzemy w Terminalu im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego aż pięć ładunków LNG. To rekord, nigdy wcześniej w ciągu jednego miesiąca nie przyjęliśmy tylu dostaw skroplonego gazu ziemnego. Możliwość importu LNG od rzetelnych, godnych zaufania partnerów nabiera w obecnej sytuacji szczególnego znaczenia – ogłosił kilka dni temu prezes PGNiG Paweł Majewski. Terminal LNG w Świnoujściu już dziś przyjmuje rekordową liczbę statków, a to nie koniec, bo trwają już prace nad jego rozbudową i jeszcze w tym roku będą tu mogły być rozładowywane nawet dwa gazowce jednocześnie. Ważną inwestycją jest także Terminal LNG w Zatoce Gdańskiej. Projekt zakłada umiejscowienie w rejonie Gdańska pływającej jednostki FSRU (ang. Floating Storage Regasification Unit), zdolnej do wyładunku LNG, procesowego składowania i regazyfikacji LNG, a także do świadczenia usług dodatkowych, takich jak przeładunek LNG na mniejsze jednostki czy bunkrowanie statków. Terminal będzie przystosowany do odbioru co najmniej 4,5 mld m sześc. gazu rocznie (z możliwością zwiększenia mocy regazyfikacyjnych w momencie wzrostu zapotrzebowania na gaz ziemny w regionie).

NORWESKI SZELF KONTYNENTALNY

Gaz ziemny to paliwo niezbędne w gospodarstwach domowych, ale przede wszystkim w przemyśle (korzysta z niego nie tylko energetyka, lecz także wiele polskich fabryk). Szacuje się, że obecnie Polska zużywa średnio 20 mld M sześc. gazu ziemnego rocznie. Wydobycie krajowe to ok. 4 mld m sześc., dlatego większość zapotrzebowania pokrywa import. Do niedawna prawie w całości z Rosji. Ten niekorzystny, z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego kraju, bilans zmieniły inwestycje takie jak terminal w Świnoujściu, jednak dla pełnego uniezależnienia się od Rosji potrzeba znacznie więcej. To zapewni nam Baltic Pipe – inwestycja, która przez Danię połączy Polskę z norweskimi złożami gazu. Co ważne, ten przełomowy dla Polski projekt nie tylko ruszy już na przełomie lat 2022 i 2023, lecz także, dzięki intensywnej działalności inwestycyjnej PGNiG w Norwegii, zostanie w dużej części wypełniony gazem z własnego wydobycia spółki. PGNiG, po ubiegłorocznej transakcji zakupu aktywów koncernu chemicznego INEOS, weszło do pierwszej dziesiątki firm z największymi zbadanymi zasobami gazu na norweskim szelfie kontynentalnym i w chwili obecnej posiada tam już 62 koncesje. To gaz, który już wkrótce wypełni Baltic Pipe (pozostała część przepustowości zostanie wypełniona przez gaz zakupiony na rynku; PGNiG zawarło już kontrakty m.in. z duńską firmą Orsted).

BEZPIECZNA PRZYSZŁOŚĆ

Pewność dostaw błękitnego paliwa powiększa ciągła rozbudowa infrastruktury. Gaz-System finalizuje budowę połączeń gazowych z Litwą oraz ze Słowacją. Ostatnie lata to czas wytężonej pracy gazowych spółek na rzecz bezpieczeństwa energetycznego Polski i Europy. Pytanie, czy dziś, po rosyjskim ataku na Ukrainę, możemy czuć się bezpieczni? Po pierwsze, PGNiG na bieżąco monitoruje dostawy gazu ziemnego do Polski. Po drugie, jesteśmy przygotowani. Spółka posiada zdywersyfikowany portfel gazu ziemnego oparty na własnym wydobyciu oraz kontraktach importowych, a dzięki zarezerwowanym mocom przesyłowym w gazociągach krajowych i transgranicznych może realizować dostawy z różnych kierunków. Może dokonać także rezerwacji dodatkowych mocy przesyłowych i zakupów. Posiada także zapasy gazu ziemnego. Obecnie stan wypełnienia magazynów to 62 proc. (stan na 22 marca) – dla porównania, w analogicznym okresie 2021 r. było to „jedynie" 47 proc. Dzięki odpowiedniemu przygotowaniu możemy zdać egzamin nawet w trudnych czasach. Jeden egzamin, z solidarności, już zdaliśmy.

PGNiG było jednym z pierwszych przedsiębiorstw, które odpowiedziały na apel wicepremiera Jacka Sasina i włączyły się w organizację pomocy dla szukających schronienia w Polsce, uciekających przed wojną obywateli Ukrainy. Spółka, razem m.in. z Fundacją PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza, zorganizowała natychmiastowe wsparcie przygranicznych punktów recepcyjnych. Przekazała także 2 mln zł na rzecz organizacji niosących pomoc uchodźcom (Polski Czerwony Krzyż, Caritas, Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce). Jednak prawdziwie bezprecedensowa akcja to ewakuacja z objętych wojną terenów pracowników Natfogazu i ERU. – W tych trudnych dniach czujemy się odpowiedzialni za rodziny i dzieci pracowników ukraińskich firm, z którymi współpracujemy – tłumaczył Paweł Majewski, dając kolejny dowód tego, że PGNiG to partner, z którym można czuć się bezpiecznie.

eprasa.pl f1d71c1b92

TEST „DO RZECZY": HOOVER H-FREE 500 HF522YSP

Wytrzymała bateria, możliwość odkurzania oraz mopowania podłóg, a także podświetlenie LED na głównej szczotce, które pokazuje kurz, o którym bez podświetlenia można byłoby nawet nie wiedzieć – to główne zalety bezprzewodowego odkurzacza z kategorii „pięć w jednym" amerykańskiej firmy Hoover, przeznaczonego do odkurzania i mycia podłóg, mebli etc.

Stosunkowo niewielki, plastikowy odkurzacz (jego wymiary to 252 x 1079 x 195 mm, a waga wynosi 2,6 kg) można łatwo zaparkować w pozycji pionowej, a po zakończeniu sprzątania złożyć tak, aby cała konstrukcja miała nie więcej niż 69 cm wysokości. Urządzenie jest też bardzo proste w obsłudze. Sprzątanie ułatwia możliwość szybkiego odłączenia odkurzacza ręcznego z końcówką do kurzu oraz szczelinówką do sprzątania w wąskich zakamarkach. W zestawie są również szczotka do odkurzania mebli oraz miniturboszczotka do zbierania psiej i kociej sierści. Bardzo przydatne podświetlenie LED na szczotce pozwala łatwo dostrzec kurz i inne zabrudzenia pod szafkami, krzesłami, biurkami etc. Podświetlenie może również uchronić użytkownika przed wciągnięciem do zbiornika wartościowego przedmiotu typu pierścionek, który przypadkiem znalazł się na podłodze.

Moc ssania generowana przez silnik obracający się z prędkością 100 tys. obrotów na minutę wynosi 75 W. To wystarcza, aby odkurzacz bez problemu zbierał wszelkie zabrudzenia. Do odświeżania podłóg – choć nie do mycia – przydatna jest także funkcja mopowania, która pozwala na jednoczesne odkurzanie i mopowanie podłóg.

Bateria w trybie standardowym wystarcza na ok. 45 minut sprzątania na jednym ładowaniu. Nie jest więc źle. Szkoda tylko, że w trybie turbo akumulator czasem odmawia współpracy już po paru minutach. Zaletą testowanego modelu jest jednak możliwość ładowania akumulatora podłączonego do odkurzacza, jak również odpięcie go i ładowanie niczym smartfon i inne urządzenia. Naładowanie akumulatora do pełna według producenta zajmuje niecałe 2,5 godziny. Można również dokupić samą baterię i wówczas przedłużyć czas sprzątania bez konieczności robienia przerw.

Wady? Podczas sprzątania stosunkowo często trzeba używać trybu turbo – wówczas moc ssania jest naprawdę niezła – a ten tryb jest dość głośny. Nieco za mały jest również zbiornik na brud. 0,45 l to za mało na wygodne sprzątanie. Trzecia wada to łatwość w rysowaniu się plastikowych elementów odkurzacza, które na szczęście, choć porysowane, okazują się dosyć trwałe.

Mimo tych minusów testowany odkurzacz hybrydowy ma naprawdę niezły stosunek ceny do jakości oraz funkcji. Za ten model Hoovera trzeba obecnie zapłacić ok. 1,2 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

MASZYNKA DO ZASYPIANIA

LectroFan Micro2 to niewielkie urządzenie (ma tylko 5 cm wysokości) emitujące tzw. biały szum, a więc jednostajny, spokojny i równomierny dźwięk wykorzystywany do m.in. usypiania niemowląt. W teorii gadżet ma być lepszy od wielu aplikacji z nagranym białym szumem, który pomaga w zagłuszeniu wszelkich irytujących dźwięków. LectroFan Micro2 ma wgranych kilka rodzajów dźwięków, przypominających wentylator lub turbinę. Urządzenie można też ponoć wykorzystać jako przenośny głośniczek lub niewielkich rozmiarów zestaw głośnomówiący. Cena: ok. 200 zł.

INTELIGENTNE ROLETY

Szwedzka IKEA wprowadziła do oferty nową elektryczną roletę o nazwie PRAKTLYSING. Roleta filtruje światło i – jak zapewnia producent – izoluje przed przeciągami i ciepłem słonecznym. To, co ją wyróżnia wśród tysięcy innych rolet tego typu, to bateryjne zasilanie i możliwość automatycznej obsługi za pomocą pilota. Nowy produkt Szwedów można również połączyć z kupowaną oddzielnie bramką TRÅDFRI (kosztuje 149 zł) i sterować roletami przy użyciu aplikacji IKEA Home smart lub np. za pomocą popularnych asystentów głosowych, takich jak Amazon Alexa, Apple HomeKit lub Hej Google. Roleta sprzedawana jest w dwóch rozmiarach. Pierwszy: 120 x 195 cm kosztuje 649 zł, a za drugi 140 x 195 cm trzeba zapłacić 699 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f1d71c1b92

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

„Z żuru chłop jak z muru"

Z każdej podróży czy krótkiego wypadu na weekend staramy się przywieźć miłe wspomnienia i ciekawe przepisy. Jeśli możemy sobie na to pozwolić, to na rodzinnych wyjazdach nie gotujemy. Korzystamy z gościnności regionalnej gastronomii, co daje podwójną korzyść. Przede wszystkim naprawdę odpoczywamy, a przy okazji poznajemy kuchnię lokalną – nowe potrawy, napitki i smakołyki.

Ostatni nasz rodzinno-siostrzany wypad odbył się w Beskid Śląski, do Istebnej, Wisły i Ustronia. Oprócz bardzo ciekawych spotkań ze wspaniałymi kobietami w Istebnej, gdzie ugoszczono nas pysznym śledziem w cebuli i genialnymi pierogami, jeździłyśmy też na nartach, każdy dzień finiszując grillowanym oscypkiem z żurawiną. Pycha!!!

W jednej z wiślańskich karczm góralskich miałyśmy okazję zjeść żur. Pierwszy raz jadłyśmy żur z białą kiełbasą, boczkiem i pieczarkami. Gęsty, esencjonalny, bardzo sycący. Idealny w górskim klimacie, ale nie tylko.

U mnie (u Magdy) w domu żurek z kiełbasą jada się minimum raz na dwa tygodnie obowiązkowo. Żur to tradycyjna potrawa na Śląsku, nazwa zupy pochodzi od niemieckiego słowa „sauer", czyli kwaśny, zakwaszony, ukiszony. W naszym domu jada się ciężką, treściwą zupę na wkładce z wędzonki i białej kiełbasy z ziemniakami i obowiązkowo jajkiem na twardo. Zupa jest intensywna w smaku i kwaśna. Teraz – po nowym doświadczeniu z karczmy w Wiśle – będę od czasu do czasu urozmaicać ją podsmażonymi pieczarkami. Widziałam również wersję z suszonymi grzybami. Z żurkiem bardzo ściśle związana jest polska tradycja wielkanocna, a dokładnie okres Wielkiego Postu. Kiedyś w tym czasie jadano go prawie codziennie, ale w wersji bardzo, bardzo odchudzonej. Jako cieniutką zupę, która nie zawierała ani kawałeczka mięsa i nie była zbyt smaczna, za to była zdrowa.

Z czasem zupa przeszła konkretną metamorfozę i doczekała się zaszczytnego miejsca na naszym wielkanocnym stole jako danie, bez którego nie możemy wyobrazić sobie Świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Należałoby też odróżnić żurek od barszczu białego, który to barszcz był przyrządzany dawniej z chwastu nazywanego barszczem, dzięki któremu uzyskiwano kwaśny smak. Teraz właściwie używa się tych nazw wymiennie, choć znalazłyśmy też definicję, która określa żur jako zupę czystą bez dodatków, a barszcz biały jako gęstą potrawę z kawałkami ziemniaków lub boczku.

Zwał, jak zwał – podajemy przepis na tradycyjny żurek.

Składniki:

• zakwas dobrej jakości (najlepszy w butelce) • 1 litr wody, spory kawałek wędzonego boczku • 2 marchewki • 1 pietruszka • 1 cebula • 4 ząbki czosnku

Wszystko razem gotujemy, następnie dodajemy białą surową kiełbasę, 4 sztuki pokrojonych w kostkę ziemniaków, przyprawy: sól, pieprz, esencję warzywno-mięsną. Gotujemy jeszcze 20 min, a na końcu zalewamy zakwasem. Gotujemy jeszcze chwilkę i doprawiamy majerankiem oraz oczywiście dodajemy jajko na twardo pokrojone w ćwiartki. Można też po beskidzku dodać podsmażone pieczarki.

Smacznego! ©℗

FOT. MAGDALENA M. KRUPA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bliscy ludzie

FOT. ADOBE STOCK

Banalna sprawa. Palec przyciśnięty drzwiczkami samochodu. Wrzód, ropa, cięcie u chirurga. Rana się nie goi, chociaż robię, co doktor kazał. Tu do akcji wkracza nasza Ukrainka Tatjana. – Pani Aniu, nie można tego moczyć. Trzeba ranę wysuszyć! Jak byłam mała, to u nas na wsi rany posypywano takim żółtym proszkiem. – Jasne, dermatol! – doznaje olśnienia pan Bojańczyk, mój lekarz prowadzący. U niego w domu również stosowano żółty proszek.

Tania jest z nami od dziewięciu lat. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, czterdziestoparolatka niewyglądająca na swój wiek, chociaż jest po paru przejściach. Podniosła się po rozwodzie, sama, własnymi rękami (dosłownie) wybudowała dom. Za pieniądze zarobione w Polsce. Po polsku mówi świetnie, w zeszłym roku ożeniła syna, który został z żoną na Ukrainie. Ślub odbył się w cerkwi prawosławnej, wesele w rytuale mieszanym: trochę ludowym (Tania była w pięknym stroju ludowym, jak wiele innych pań), trochę podpatrzonym w zachodnich filmach. Młodzi chcą zostać na Ukrainie, gdzie synowa Tani otworzyła mały zakład kosmetyczny. Nieźle działał przez tych kilka miesięcy. Jak się teraz życie potoczy? Czy bandyta dojdzie na Zachód?

Rodzina z Ukrainy, do której należy Tania, jest związana z naszą sporą rodziną od kilkunastu lat. Pochodzą z wioski niedaleko Czerniowców. Pierwszą poznaliśmy Julię, potem jej mamę Marusię i jej siostrę Tanię. Dalej dwie pozostałe siostry Julii, córki Marusi: Lilię i Marinę, ich brata Iwana. Julia, Lila i Marusia wychowywały i nadal wychowują dzieci naszych synów. Dzielni, zaradni, pogodni, sumienni. Julia i Lilia wyszły za mąż za Polaków, mówią po polsku bez śladu akcentu. Związki rodzinne są między nimi bardzo silne: wspierają się i kochają, pomagają sobie. Trudności się nie boją. Pamiętam opowieść pani Marusi, która przyjechała do pracy do Polski zaraz po roku 2000. Na Ukrainie została jej kilkunastoletnia córka Julia, która miała pod opieką młodsze rodzeństwo, dom i gospodarstwo. Przed wyjściem do szkoły musiała oporządzić zwierzęta, potem przypilnować sióstr i brata. Po powrocie do domu to samo. Przyjechała do Polski w roku 2005, tu skończyła studia pedagogiczne, wyszła za mąż. Jest dziewczyną wielkiego uroku i nie mniejszej inteligencji.

Trzymamy za Was kciuki, kochani! Zasługujecie na dobry los!

PS Dermatol działa. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Jaworów, letnia rezydencja Sobieskiego

Moskiewskie rakiety spadły na ośrodek szkoleniowy w Jaworowie, między Przemyślem a Lwowem, nie uszkadzając na szczęście miasteczka, które związane jest z królem Janem III Sobieskim. Był on bowiem od 1644 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

starostą jaworowskim, a starostwo odziedziczył po ojcu Jakubie.

Przeszłość tego miejsca była doprawdy chwalebna. W XVII w. przeniesiono tu z Dobromila drukarnię, w miasteczku znajdowały się klasztor Dominikanów z kościołem św. Mikołaja założony przez Piotra Milewskiego, kanonika lwowskiego, oraz kościół, który dziś nosi wezwanie św. Piotra i Pawła – wzniesiony przez Filipa Rykowskiego. Spośród trzech murowanych cerkwi dwie są z XVII w. – jedna pod wezwaniem Narodzenia Bogurodzicy, druga Zaśnięcia Bogurodzicy, a trzecia – św. Jura – jest znacznie późniejsza. W Jaworowie był też klasztor Bazylianek; „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów…" podaje, że założono go w 1621 r., jednak zabudowania pochodzą z XIX w., obecnie jest to szpital.

Z Sobieskim najbardziej związany był zamek zbudowany jeszcze za panowania Kazimierza Jagiellończyka. Było w nim: „Pokojów cztery z oknami gdańskimi, drzwi stolarskiej roboty, sztukami złocistymi sadzone. Posadzka w jednym pokoju marmurowa, w drugim gdańska polewana; izba stołowa i dolne mieszkanie. Na górce szala, w której okien osiem; na rogu skarbiec murowany, łaźnia na sadzawce, kuchnia na stawie, dla kuchmistrza mieszkanie, stawów 2 dla ryb". Dziś po zamku nie pozostał żaden ślad.

Sobieski przebywał tutaj wielokrotnie, pierwszy udokumentowany pobyt miał miejsce w 1658 r. W Jaworowie mieścił się… harem hetmana. Tak przynajmniej można wywnioskować z listów do Marysieńki, z czasów, kiedy nie była jeszcze jego żoną. Sobieski utrzymywał w Jaworowie tabun Wołoszek albo Czerkiesek, które miały być uciekinierkami z Ukrainy. Hetman „zaopiekował się nimi", a one zapewne nim, co budziło podejrzliwość, wręcz zazdrość Marysieńki, ciągle przecież zamężnej z Zamoyskim, a już nawiązującej romans z Sobieskim.

Po ślubie Sobieski często przebywał w Jaworowie razem z żoną. W czerwcu 1663 r. odwiedził ich król Jan Kazimierz z Ludwiką Marią. Potem na długo Jaworów stał się polową rezydencją hetmana planującego kampanie przeciwko Tatarom i Kozakom. I wreszcie 11 czerwca 1675 r. podpisano tutaj tajny traktat jaworowski z królem Francji Ludwikiem XIV, w którym władca zobowiązywał się do pomocy Sobieskiemu w odzyskaniu Prus Książęcych i zakończeniu wojny z Turcją. Traktat, jak wszystkie w XVII w. sojusze z Francją, pozostał na papierze, choć gdyby udało się spełnić jego założenia, zmieniłby historię tej części Europy, doprowadzając do zniszczenia Prus.

Wydarzeniem stały się poselstwa wysłane przez litewską szlachtę w 1678 r. do Jaworowa, które chciały skłonić króla Sobieskiego, aby stanął na czele konfederacji zmierzającej do obalenia władzy Michała Kazimierza Paca, hetmana wielkiego litewskiego i jego rodu. Król nie podjął jednak wyzwania.

W Jaworowie Sobieski odpoczywał w 1684 r., po wyprawie wiedeńskiej. Tutaj także 27 marca ratyfikował dokumenty Świętej Ligi – przymierza austriacko-polsko-weneckiego przeciwko Turcji zakładającego odebranie jej wszystkich ziem zagarniętych w XVI i XVII w. Do końca panowania króla Jaworów stał się jednym z głównych miejsc życia politycznego i dworskiego, jako drugi lub trzeci po podwarszawskim Wilanowie. Tutaj wystawiono sztukę „Andromacha" Jeana Baptiste'a Racine'a, a sam drewniany zamek przebudował król na barokową rezydencję z ogrodem. W Jaworowie 6 lipca 1684 r. odbył się przygotowany w altanie obiad na cześć posła cesarskiego, który uwieczniony został na obrazie, być może Fransa Geffelsa, znajdującym się obecnie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu.

Po śmierci Sobieskiego Jaworów zaczął podupadać. Starostwo objęła Maria Kazimiera i przekazała synowi Jakubowi, któremu z kolei odebrał je król August II Sas. W 1771 r. zamek był już zrujnowany. Dwa lata później, po rozbiorze, przeszedł na własność rządu austriackiego, który zupełnie nie dbał o rezydencję swego wybawcy. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zełenski – nie idźcie tą drogą

Prezydent Ukrainy, Zełenski, ogłosił początek reform podatkowych. Niektórzy obstawiają, że na czas wojny, inni – że to na poważnie i na stałe. Jemu tam łatwiej, bo ma wojnę i tego rodzaju reformy mogą być wprowadzone szybko i bez zbędnych debat, zwłaszcza że ukraiński aparat podatkowy miał u swoich obywateli opinię tylko niewiele lepszą od Putina. Był narzędziem łupienia małych i średnich przez oligarchów, którzy wykańczali każdą konkurencję gumowymi przepisami oraz przewlekłymi kontrolami.

Prezydent likwiduje te pierwsze dwa hamulce rozwoju. Przechodzi na prościutki system (żadnych VAT-ów czy CIT-ów), tylko 2 proc. od obrotu, żadnych też kontroli. Rozległo się więc, przynajmniej „w kołach" w Polsce, liberalne cmokanie, że właśnie tak, że my też tak powinniśmy, że Nowy (skomplikowany i opresyjny) Ład won i… że trzeba aż wojny, by uprościć system podatkowy. A więc – bez wojny uczmy się. No sam pomysł jest zacny i znany u nas od dawna. Bo oni tam w czasie wojny sobie upraszczają i miejmy nadzieję, że jeśli to się (dobrze) skończy, to będą mieli ten system nie tylko na czas wojenny. Uproszczenie i transparentność to właściwy kierunek, bo też widać, że ci, którzy są przeciwko temu, lubią takie skomplikowanie przepisów, by można było wyciągać tłuste karpie z tak mąconej wody. Tak czy siak – będziemy się temu mogli przyglądać i może Ukraina pokaże światu, jak w COVID Szwecja, że logiczne rozwiązania, a nie wspierana ideologia prowadzą do dobrych rezultatów.

No i już było tak fajnie tam u nich, na tej Ukrainie, ale co za dużo, to niezdrowo. Zarówno cały system, jak i wprowadzone „tarcze pomocowe" dla tych firm, które stracą z powodu wojny (nie było tego dużo w samym COVID) mają być uzależnione od „statusu szczepiennego" tego, komu ma się pomóc. Ministerstwo Transformacji Cyfrowej Ukrainy, które puściło taki wist, powiedziało, że szczegóły tego rozwiązania pokaże niedługo. Ale to oznacza, że kierunek jest wytyczony. Jeszcze tego brakowało, by sobie Ukraińcy zafundowali tego rodzaju eksport „wartości" z Zachodu. Może niech się zapytają „braci Polaków", jakie skutki dla gospodarki i jej potencjału wzrostu przynosi selekcja sanitarna stosowana w gospodarce. Nie wszystko, co z Zachodu, jest dobre. Co widać choćby na przykładzie zachodnioeuropejskiego wyposażenia rosyjskiej armii, dostarczonego mimo embarga. ©℗

Nowy system podatkowy na Ukrainie ma zależeć od „statusu szczepiennego"

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Koniec iluzji pacyfizmu

Od miesiąca mam nieodparte wrażenie, że żyjemy w dwóch porządkach. Z jednej strony, zaangażowanie Polski w pomoc Ukrainie jest bez precedensu. Przyjęcie potężnej fali uchodźców, ofensywa dyplomatyczna i logistyka dostaw uzbrojenia sytuują Polskę jako lidera wsparcia dla walczącej Ukrainy. Ten potężny wysiłek nie bierze się tylko z sąsiedzkiej solidarności, naturalnej reakcji na tragedię i cierpienie, ale ma u podstaw instynkt samozachowawczy. Każdy dzień skutecznej ukraińskiej obrony, każdy zniszczony czołg i samolot agresora oddala groźbę rosyjskiego ataku na nasz kraj. Polacy czują, że rosyjska inwazja na Polskę jest realna.

Skoro tak, dlaczego nie przygotowujemy się do obrony? Przyjęta w pośpiechu Ustawa o obronie Ojczyzny ma wiele wad, a procedowanie nad nią praktycznie uniemożliwiło nie tylko merytoryczną dyskusję, lecz także zapoznanie się z obszernym tekstem przez głosujących. Konstytucja nakłada na każdego z nas obowiązek obrony ojczyzny. Ustawa przewiduje że „przygotowanie ludności [...] na wypadek wojny [...] w ramach powszechnego obowiązku obrony należy do wszystkich organów władzy i administracji rządowej [...], organów samorządu terytorialnego, [...] a także do każdego obywatela".

Skoro ustawa nas zobowiązuje, to chciałbym z moimi dorosłymi dziećmi przejść szkolenie z zakresu posługiwania się bronią i podstaw ratownictwa pola walki, a może nawet podstaw łączności. Niestety, oprócz buńczucznych zapowiedzi nie znam ani jednej inicjatywy władz, która by pozwoliła nam na realizację „powszechnego obowiązku obrony". Kolega z Gdańska, który ma uprawnienia instruktora i dysponuje sprzętem do strzelania „na sucho" z użyciem trenażera laserowego, w pierwszym tygodniu wojny wysłał do wszystkich wojewodów ofertę zorganizowania szkoleń. Do dziś odezwał się tylko Rzeszów, ale bez konkluzji.

W Polsce żyje kilka milionów sprawnych mężczyzn, którzy wchodzili w dorosłość, gdy już zniesiono pobór, i nigdy nie mieli styczności z bronią. Rezerwiści od dawna nie mieli regularnych szkoleń, a policjanci i wojskowi oddają rocznie od 12 do 36 strzałów, najczęściej z pozycji leżącej. Kompetencje tych ludzi są często gorsze niż żołnierzy WOT. Nie licząc specjalsów, umiejętności pozostałych najczęściej są żałosne. Zapowiadane wprowadzenie przysposobienia obronnego do szkół zakłada tylko elementy szkolenia strzeleckiego. To za mało. Położenie geopolityczne wymaga od nas stworzenia prawdziwego, spójnego programu wieloletniej edukacji proobronnej z elementami survivalu, strzelaniem na trenażerach i przede wszystkim kształtowaniem postaw patriotycznych. Najwyższa pora skończyć z iluzją pacyfizmu. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Żeby jakby dopiąć

Są frazy wypowiadane, wypisywane przez polityków, które przyklejają się do nich szczelnie, niczym nastoletnie misski do dziadów miliardowych. Weźmy Tuska Donalda. Na stałe do polszczyzny z mrugającym okiem weszło i jest przywoływane jego twitterowe: „Przykra sprawa. Nie lekceważę jej. W poniedziałek o 15 odniosę się do niej publicznie na konferencji prasowej". Wpis z roku 2014 był reakcją na początek afery taśmowej, która zrujnowała wkrótce jego rząd. Ta wypowiedź jest ironicznie cytowana w kontekstach: „Nie wiem, co powiedzieć, chcę zyskać na czasie, co by tu zrobić z tym potwornym odorem?".

Teraz nasz były premier ma kolejną szansę na tego rodzaju bon mot. Kiedy od wielu miesięcy toczyły się boje o pieniądze dla Polski z Unii Europejskiej, Donald Tusk był – delikatnie mówiąc – zwolennikiem, żeby jednak rzekomą praworządnością przyduszać Polskę, a pieniądze na Krajowy Plan Odbudowy to może jednak powoli. Kiedy okazało się, że w wyniku wielu różnych działań, negocjacji rządu, przyjęcia uchodźców, nieformalnych nacisków Stanów Zjednoczonych te pieniądze są w zasięgu ręki, Tusk wystąpił publicznie, mówiąc, że osobiście udaje się do Brukseli, „żeby jakby dopiąć sprawę polskich pieniędzy".

O co chodzi? Nie wiadomo. Co niby miałby zrobić, żeby pieniądze trafiły do Polski? Nie wiadomo. Wiadomo, że zamysł był taki, żeby zasugerować zakulisowe działania w tej sprawie, które mogą potem ewentualnie doprowadzić do tego, że weźmie się na siebie (no co robić?) sukces, gdyby pieniądze przyszły.

Przed zaanektowaniem sukcesu przyszło się autorowi tych słów zmierzyć z lekkimi (w zasadzie jednak kłamię, pisząc „lekkimi") kpinami. Powstała cała seria wpisów, dokąd kto się udaje w najbliższym czasie, „żeby jakby dopiąć" coś. Niektóre prawie równie absurdalne. W sumie rozumienie tych słów, zapewne wbrew intencji autora, zostało ustalone na poziomie „konia kują, żaba nogę podnosi". Niestety, bardzo mi przykro, co robić.

Odnotować trzeba kolejny pojedynek, który miał miejsce na Twitterze. Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „Gazety Polskiej", napisał: „W środę demonstracja przed ambasadą Niemiec w Warszawie. Zapraszamy wszystkich patriotów!". Cezary Tomczyk odparował: „A czemu nie pod ambasadą rosyjską? U swoich nie wypada?". Na co Sakiewicz skontrował: „Byliśmy kilkukrotnie pod ambasadą rosyjską, tylko pana tam nie widziałem. Był pan w środku?". No i takie tam jeszcze złośliwostki. Pozwoliłem sobie opisać w skrócie ten pojedynek, żeby unaocznić, że można już nie tylko okładać Niemcami, lecz także Niemców w pewien sposób bronić. Troszku się nam zmienia... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Tuskowy mir

Małgośka, mówią mi, wojna to krzyk mordowanych. Owszem, a pierwszą ofiarą wojny jest Prawda. Jeśli nawet papież Franciszek miał przez długi czas problem z ustaleniem, kto jest agresorem, a kto ofiarą, to co mówić o innych? Biedna Prawda, nikt jej nie chce znać! Ma zbyt palące spojrzenie, bo wciąż pyta o ewentualny współudział. W dodatku depcze jej po piętach dezinformacja, a propaganda usiłuje ją zabić.

Osiemdziesiąt lat temu hasło: „Rosja jest winna!" było najczęstszym zawołaniem w Hiszpanii. Zanim tysiące ochotników hiszpańskich wyruszyło u boku armii Hitlera na front wschodni, słychać było echa przemówienia szwagra gen. Franco, ministra Serrano Suñera: „Rosja jest winna naszej wojny domowej. Winna śmierci Jose Antonio i śmierci tak wielu żołnierzy, którzy polegli w tej wojnie z powodu agresji komunizmu. Zagłada Rosji jest wymogiem historii i przyszłości Europy".

Dziś – o dziwo – spadkobiercy pamięci o Błękitnej Dywizji i frankiści wykrzykują na manifestacjach identyczne hasła jak ich śmiertelni wrogowie (czyli liczni tam komuniści) o tym, że Rosja jest niewinna! Ich zdaniem po prostu Putin broni się przed jankeskim imperializmem i globalizmem Zachodu. Ekstrema zawsze się łączą – jak głosi przysłowie hiszpańskie.

Na polskim podwórku podobnie, choć w innej skali: od środowiska Konfederacji czuć tą samą siarką ruskiego mira co od starych polskich postkomunistów w typie Millera i Cimoszewicza. Ale – jak dobrze wiemy – to ekipa Tuska pracowała ze stachanowską wydajnością u boku Merkel, tyle że już nie w ramach Błękitnej Dywizji, ale na rzecz niemiecko-rosyjskiego paktu dla błękitnego paliwa. Nie zobaczymy jednak nigdy Tuska bijącego się we własne piersi, bo on ma chroniczny nawyk walenia tylko w cudze. I to z główki, bo takie ma tiki w ramach proponowanego przez siebie pojednania narodowego, czyli Tuskowego mira w obliczu wojny.

Na szczęście nawet jeśli jego wyborców zawodzi pamięć, to sam Miedwiediew raczył ostatnio przypomnieć, kto reprezentuje najbardziej rusofobiczną partię w Polsce: PiS! I jak tu zakrzyczeć prawdę? Podskakującym Giertychem z megafonem? No więc piewcom Tuskowego mira przypominam: między bezbożną dyktaturą Putina a bezbożną demokracją Brukseli leży katolicka Polska, na którą trzeba wspólnie postawić. To jest Polska bez gwiazdy czerwonej, bez gwiazdek unijnych i bez waszych ośmiu gwiazdek pogardy. Kto stoi masowo w kolejkach po paszporty, żeby nawiać z kraju? Żegnajcie, rodacy od gwiazdek. Wystarczy, że zostaną ci od orła. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mała Italia

Eleganckie, modernistyczne kamienice w sercu Warszawy, zarekwirowane podczas okupacji przez Niemców, dzięki czemu ocalały, stały się po wojnie łupem komunistów. Kilka z nich przy ul. Wiejskiej (jeszcze wtedy Daszyńskiego) 12, 14, 16 i sąsiedniej ul. Frascati 1 przejął Jerzy Borejsza, jeden z ówczesnych dyrygentów polskiej kultury, „czerwony Hearst", i ulokował tu swoje imperium, wielki medialny koncern Czytelnika. I to nie tylko biura, lecz także redakcje Czytelnikowskich pism, np. „Odrodzenia", oraz ich redaktorów, dziennikarzy, którzy tu również zamieszkali. Stworzył po prostu, jak mówiono, własną stajnię, dwór, ale tylko dla swoich.

W 1945 r., w Czytelnikowskiej agencji API zaczepił się młody Leopold Tyrmand i dostał nawet, w zburzonej Warszawie, prawdziwy skarb – małą klitkę w dawnej służbówce przy ul. Wiejskiej 16, „o powierzchni niewiele większej od łóżka", skąd Borejsza szybko go jednak, jak pisał, „wykopał", podobnie jak i z posady, gdy tylko okazało się, że do jego stajni nie pasuje. Pasował natomiast Julian Tuwim z żoną, najcenniejsze zdobycze Borejszy, których ściągnął do Polski w czerwcu 1946 r. Skusił ich luksusem. Z Gdyni, dokąd przypłynęli statkiem (z nieznaną jeszcze w Polsce lodówką i zapasem papieru toaletowego), sprowadził ich do Warszawy rządowym samolotem. Na Wiejską 14, do najbardziej luksusowego apartamentu na piątym piętrze, po bardzo bogatym żydowskim przemysłowcu, z pięcioma pokojami, wielkim tarasem, cennymi antykami, uzupełnionymi jeszcze szabrem z Wrocławia. Oprócz tego z pabiedą z żółtymi firankami, prywatnym kierowcą, gosposią.

Na malowniczo położonej na Skarpie, prześlicznej, choć jeszcze wtedy zrujnowanej Frascati, w luksusowej kamienicy pod jedynką, z kilkupokojowymi mieszkaniami z łazienką, stworzył Borejsza pierwszy powojenny mały dom literatów ze swojej stajni. Ulokował tu m.in. Tadeusza Brezę z żoną, współpracownika „Odrodzenia", w którym drukował dobrze oceniane przez władzę „Mury Jerycha", krytyczny rozrachunek z Polską przedwojenną, które usytuowały go jako czołowego prozaika Polski Ludowej. „Breza mieszka w bloku »Czytelnika«. Zachowuje się jak dygnitarz. Potrzebował ciszy do pisania i przeszkadzała mu nawet winda. Napisał do »Czytelnika«, domagając się skasowania windy, i skasowano. Gdy kot sąsiadów zamiauczał, pies zaszczekał, Brezowa zgłaszała do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, które zabierało właścicielom ulubione zwierzę" – pisała w swoim dzienniku Maria Dąbrowska (1950).

W luksusowej kamienicy pod jedynką, z kilkupokojowymi mieszkaniami z łazienką, stworzył Borejsza pierwszy powojenny mały dom literatów ze swojej stajni

Mieszkali tu również wybrani redaktorzy Czytelnika, m.in. prawa ręka Borejszy, Irena Szymańska, ze swym pierwszym mężem, Zygmuntem z Czytelnikowskiej agencji API. Gdy wysłano ich na placówkę do Berlina, ich mieszkanie oddał Borejsza swojemu pupilowi i adiutantowi, młodemu Tadeuszowi Konwickiemu. Choć nie skończył jeszcze nawet studiów na krakowskiej polonistce, niczego jeszcze nie napisał, był w „Odrodzeniu" tylko korektorem, to Borejsza ściągnął go do Warszawy, do eleganckiego hotelu Bristol, a potem na Frascati, początkowo do dwupokojowego mieszkanka z wnęką kuchenną i łazienką, które dzielił z Myszką Stulgińską, redaktorką „Odrodzenia", i jej mężem, rzeźbiarzem, ale w zrujnowanej Warszawie były to warunki królewskie.

Oczywiście sam Borejsza również tu zamieszkał, razem z żoną Ewą (a właściwie partnerką, bo jako prawdziwi komuniści nie uznawali ślubów) oraz ich synem, Jerzym juniorem, który mówił do rodziców po imieniu. Budząc grozę sąsiadów, zawsze z liczną obstawą, odwiedzał często Borejszę jego brat, osławiony Jacek Różański, tzw. manikiurzysta, dyrektor Departamentu Śledczego MBP, skazany po Październiku za okrucieństwo. Borejsza chyba się go wstydził, bo korzystając z tego, że używali innych nazwisk, przedstawiał Jacka jako swego brata przyrodniego. Pod dziewiątką ulokował byłego naczelnego „Odrodzenia", Karola Kuryluka, z rodziną, wkrótce liberalnego ministra kultury w rządzie Cyrankiewicza, ambasadora w Wiedniu. W swojej książce pt. „Frascati" jego córka Ewa opisała ich bajkowe, wydawałby się, życie „czerwonej burżuazji" stalinowskiej Polski – pobyt na placówce w Wiedniu, wakacje nad Adriatykiem, zakupy w sklepach za żółtymi firankami, gdzie mogli kupić wszystko, elektroluks i cielęcą wątróbkę. Nie przemilczała też rodzinnych tragedii, które dosięgły ich na ślicznej uliczce, nazywanej przez nią „małą Italią" – przedwczesnej śmierci ojca, choroby psychicznej matki i brata, Piotrusia, jego gehenny w Tworkach i innych psychiatrycznych szpitalach. ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

UKRAINA.UE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mało wiemy na temat sytuacji w Rosji i osobistej sytuacji Putina. Czy naprawdę słabnie czy może udaje? Zbrodnie i okrucieństwa mają miejsce i tyle wiemy na pewno. Bezzębny Trybunał Międzynarodowy skazuje zbrodniarza Putina, a my się podniecamy, gdy tymczasem oni mogą Putinowi co najwyżej pomachać chorągiewką, a na wysłanie do niego płatnego zabójcy z wyrokiem się nie zdecydują. Czyli nic mu nie zrobią, a potem się pewnie jakoś dogadają. Zachód był wcześniej dogadany z masowym mordercą Stalinem, obecnie jest doskonale dogadany z mordercą chińskim. Wiele wskazuje na to, że odbywa się jakaś międzynarodowa ustawka na poziomie dużo powyżej naszej głowy.

***

Co się dzieje? O co chodzi? Za mało danych, ale kolega narysował mi taki diagram: z lewej strony kółko z napisem DAVOS, z prawej kółko ROSJA/PUTIN, a pomiędzy nimi trzy małe kółka: Polska + Ukraina + Białoruś i na nich napis RUINA. Też tak to widzę. W obecnym zamieszaniu wiele wskazuje na to, że jesteśmy przeznaczeni do zrujnowania. A potem na zrujnowane terytoria można wjechać i zająć je, wykupić, opanować, zagospodarować po swojemu.

Białoruś oraz obwód lwowski po drugiej wojnie światowej określano terminem „ziemie zabrane". Zabrane komu? Rzeczypospolitej. W zamian dostaliśmy Ziemie Odzyskane, czyli poniemieckie. I wtedy nastąpiły ogromne przesiedlenia ludności. Niemców wysiedlono na zachód, aby zrobić miejsce dla Polaków wysiedlonych z polskich ziem na wschodzie. Być może teraz jest podobnie – następuje wielkie wysiedlenie Ukraińców z Ukrainy po to, by zrobić puste miejsce dla… Nie wiem, dla kogo, bo to jest właśnie ta ustawka wysoko ponad naszą głową.

Opowieści o tym, że Ukraińcy, którzy uciekają przed wojną, wrócą kiedyś do siebie, traktuję podejrzliwie. Nie twierdzę, że nie wrócą, ale gdy posmakują życia w nowych krajach, gdzie dostają wysoki socjal, oraz gdy obejrzą w TV swoje kompletnie zrujnowane miasta, wielu uzna, że nie ma do czego wracać i zostaną.

***

Polski rząd chce się zachowywać porządnie, więc rozdaje PESEL-e i pomaga. A czy zastanawia się, co dalej? Co za pół roku? Co za dwa lata? Powinniśmy już teraz słyszeć, jaki jest oficjalny plan. Polskie władze popierają szybkie wejście Ukrainy do UE, czyli na odwrót w stosunku do naszej racji stanu, bo członkostwo Ukrainy w UE absolutnie nie leży w interesie Polski.

Ukraina w UE oznacza dla RP straty i ogromne koszty. W polityce myślenie emocjami prowadzi do złych rezultatów. Chcielibyśmy pomagać krajowi zaatakowanemu przez odwiecznego wroga Polski i skoro oni chcą do Unii, to my chcemy pomóc; skoro chcą do NATO, to my chcemy pomóc. To są emocje. A interes narodowy gdzie? Ktoś o tym myśli?

NIE leży w interesie Polski wejście Ukrainy do Unii, bo jej wejście oznacza dużo mniej pieniędzy płynących do Polski, za to dużo więcej pieniędzy wypływających z Polski na Ukrainę. Spora część wypłynie pośrednio – najpierw nasze składki do Brukseli, a potem Bruksela zeżre część, a resztki wyśle do Kijowa.

Dopłaty rolne. Ukraina to ogromne obszary upraw, czarnoziemy ukraińskie, dawny spichlerz polskich królów. Gdy Ukraina wejdzie do Unii, polscy rolnicy stracą dotacje (pulę pieniędzy trzeba będzie dzielić na więcej podmiotów). Polacy stracą też rynki zbytu, bo Europę zaleje ukraińska produkcja rolna.

Wszelkie programy pomocowe, infrastrukturalne będą potrzebne na Ukrainie, bo biedna, bo zniszczona wojną. Cokolwiek mieliśmy z Unii, odpłynie na Ukrainę. Już teraz nie ma pewności, czy więcej forsy wpłacamy czy dostajemy, a gdy Ukraina wejdzie do Unii, na sto procent zaczniemy dopłacać do tego interesu.

***

Naród ma pełne prawo myśleć i kierować się emocjami. Pomagać w potrzebie ludziom, których dotknęła wojna. Bo wojna to najbardziej okropna rzecz, jaką robią sobie ludzie. Zawiera wszystkie nieszczęścia i zbrodnie, które poza czasem wojny albo nie występują wcale, albo występują osobno. A na wojnie kumuluje się wszystko naraz: kradzież, zbrodnia, zabójstwo, gwałt, wywłaszczenie, głód, tortury, strach, rozłączenie rodzin, choroby, kalectwo.

Naród ma więc pełne prawo reagować emocjami i chęcią pomocy. Natomiast politycy mają obowiązek tego nie robić – nie myśleć emocjami, lecz kalkulować, co leży w interesie narodu, a co nie.

***

Gdy polscy politycy jeździli na Majdan, wydawało im się, że popierają demokrację, podczas gdy Ukraina nigdy nie była krajem demokratycznym. Rządy oligarchów takie same jak w Rosji. Zabójstwa polityczne i korupcja takie same jak w Rosji. Ten miły i bohaterski prezydent Zełenski w ramach ukraińskiej „demokracji" po wygranych wyborach zamknął przeciwników politycznych i zlikwidował media opozycyjne. To NIE jest przywódca demokratyczny. Możemy go lubić, bo dzielny i odważny, gdy postanowił zostać w bombardowanym mieście, ale to nie zmienia faktu, że był nielubianym we własnym kraju przedstawicielem niedemokratycznego rządu oligarchów.

To, że ktoś jest czarujący, nie oznacza, że demokrata. To, że ktoś jest bohaterem wojennym, nie oznacza, że dobry mąż albo że mąż stanu.

***

Rząd polski ma obowiązki WYŁĄCZNIE wobec Polaków. A gdy je wszystkie spełni i zostanie mu trochę grosza, powinien zaprzestać pobierania podatków od Polaków i zacząć oddawać, co zabrał, bo znaczy, że zabrał za dużo. Rząd polski powinien zawsze stawiać interes Polski i Polaków ponad wszystkimi innymi interesami międzynarodowymi.

Udzielanie pomocy Ukrainie powinno się wiązać z interesem Polski. Damy wam broń na kredyt, ale potem, po wojnie, chcemy dostać w zamian trochę ropy i gazu. Sprawa polskich grobów, pogromu na Wołyniu i pomników Bandery jest do załatwienia teraz. Albo obalicie pomniki tego faszysty i to już, albo dajecie argumenty Putinowi, który was morduje pod hasłem „denazyfikacji". ©℗

eprasa.pl f1d71c1b92

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~577 ZŁ~~

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 344 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f1d71c1b92

Fotowoltaika od Energa Obrót

Oszczędność mamy w naturze

Wybierz instalację fotowoltaiczną od Energa Obrót

- ☑ Produkuj własny prąd z odnawialnych źródeł i **obniżaj rachunki za energię elektryczną.**
- ☑ Umowę podpisujesz bezpośrednio z Energa Obrót Grupa ORLEN.

Zadzwoń na 555 555 505*
lub wypełnij formularz
na energa.pl

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

*koszt połączenia wg stawek Twojego operatora. Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl f1d71c1b92